

Iwona MEJZA

SPADEK NIEBOSZCZYKA



OFICYNKA
WYDAWNICTWO

TAJEMNICZE
ZNIKNIĘCIE
SPRZED LAT

Iwona MEJZA



**SPADEK
NIEBOSZCZYKA**



OFICYNKA
WYDAWNICTWO

Copyright © Oficynka & Iwona Mejza, Gdańsk 2022

Wszystkie prawa zastrzeżone.
Książka ani jej część nie może być przedrukowywana
ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana
w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2022

Opracowanie redakcyjne: Anna Marzec

Korekta: zespół

Skład: Dariusz Piskulak

Projekt okładki: Magdalena Zawadzka

Zdjęcia na okładce: © asharkyu/shutterstock.com
© Ammak/shutterstock.com; © AlexAndrews/pexels
© Ractapopulous/pixabay; © PellissierJP/pixabay

ISBN 978-83-67204-67-5



www.oficynka.pl
tel:691962519

e-mail:oficynka@oficynka.pl

WSTĘP



Od zakończenia sprawy „podwójnego nieboszczyka” minęło pięć lat. Pięć lat intensywnej policyjnej roboty, pięć lat sukcesów i porażek. Zdarzało się, że sukcesy zmieniały się w porażki, gdy kolejny raz sąd miał własne zdanie na temat winy oskarżonego albo okazywało się, że brak jednego świłka, który zaginął w trudny do sprawdzenia sposób, pozwala na wypuszczenie na wolność zdeklarowanego przestępcy. Gdybyż jeszcze taka sytuacja dotyczyła jednej sprawy, może dwóch, wtedy potraktowałyby ją jak wypadek przy pracy. Trudno, zdarza się, nie na wszystko można mieć wpływ. Jednak coraz częściej okazywało się, że ich praca nikomu nie jest potrzebna. Przestępcy, wiadomo, woleli mieć święty spokój, prokuratura miała zgoła inne sprawy na głowie, zwierzchnicy wymagali, ale jednocześnie nie doceniali, skupiając się na sprawach całkiem innego kalibru. Świat się zmieniał, ludzie niby ci sami, ale już nie tacy sami. Idealiści przegrywali w przedbiegach.

Sławomir Ożegalski od kilku minut siedział w samochodzie, obserwując z daleka pracę policjantów, bo wciąż nie chciał mu się wysiąść z auta i przyłączyć do ekipy. Zwłaszcza że nie była to sprawa, do której rozwiązania potrzebny by był funkcjonariusz jego rangi. Ale braki kadrowe nadal dawały się we znaki, dopił więc kawę i przyjechał. Widział kręcącego się na miejscu Maciejaka, który udawał, że nie dostrzega prywatnego wozu szefa. Zygmunt Maciejak, który awansował na podkomisarza, rozumiał Ożegalskiego jak mało kto, ale wpływu na to, co serwowało im życie, nie miał żadnego.

– Bierz się, chłopie, za siebie i do roboty – zmobilizował się werbalnie Sławomir Ożegalski, który także w ciągu ostatnich pięciu lat zdążył awansować, na nadkomisarza. I jak przypuszczał, był to jego ostatni awans w szeregach policji. Odpiął pasy, wyjął w końcu kluczyk ze stacyjki i przeciągnął się, aż mu chrupnęło w kościach. Zastał się, zasiedział. Westchnął przeciągle, od serca i zbierając całą energię, żeby to jego wysiadanie wyglądało profesjonalnie, otworzył drzwi samochodu.

– Co mamy? – zapytał zwięźle podkomisarza Maciejaka, gryzmołącego coś w notesie.

– Tyle co widać. – Maciejak skrzywił się, wskazując dłonią na zdewastowane drzwi do apteki, wygięte żaluzje i błyszczące w promieniach porannego słońca odłamki szkła.

– Tyle to i ja widzę! Ofiar brak, jak rozumiem. Co zginęło?

– To, co zawsze. Przecież wiadomo, kto to wszystko podpierzelił! – warknął rozeźlony podkomisarz.

Nadkomisarz Ożegalski skrzywił się zniesmaczony. Ostatnio Zygmunt Maciejak, zwany przez współpracowników Zygą, zbyt często dawał upust swoim emocjom w sposób, cóż, raniący uszy. Inna rzecz, że Ożegalski coraz częściej miał ochotę porzucić długoletnie nawyki i też przekląć ze smakiem. Ale się powstrzymywał, świadomy, że nic mu to nie pomoże, a działania, które musi podjąć, należą do dużo bardziej radykalnych.

– A skąd wiadomo? Wróżka ci powiedziała, złodziej liścik zostawił, może maila nam przysłał? – rzucił kąśliwie i nie czekając na odpowiedź naburmuszonego podkomisarza Maciejaka, ruszył w kierunku wejścia. – Można? – zapytał technika z ociąganiem zabezpieczającego ślady. Ten kiwnął głową, potakując.

– Tak, my już kończymy. Znowu ten sam odcisk buta, wiedzieli dokładnie, gdzie i czego szukać. Ale czego chceć, trzeci raz się tutaj włamują, jak do siebie prawie. Właścicielka powiedziała, że się na składki za ubezpieczenie nie wypłaci. Teraz to już ochronę zamówi. Jedyny sposób na tych... sam pan wie.

– Dokładnie, mówiłem jej przy pierwszym włamaniu, żeby zainwestowała, ale twierdziła, że ubezpieczenie pokryje, to ona nie będzie się takimi pierdołami przejmowała. Zwłaszcza że wtedy straty policzyła na kilka tysięcy.

– Fakt, pamiętam, ale teraz obrobili ją na grubo. Siedzi na zapleczu i liczy. Na moje oko będzie kilkadziesiąt tyśi i już na pewno część zdążyli przehandlować. Ze śladów wynika, że to grupa Farmaceuty, ale i tak wpadną płotki, on będzie miał niezbite alibi, prokuratura umorzy sprawę i wszystko rozejdzie się po kościach do następnego razu. – Technik kryminalistyki zwany Loleczkiem snuł własne przypuszczenia, wkładając pety po papierosach do woreczków strunowych. Identyczne pety, tej samej marki papierosów, zbierali z każdego miejsca włamania i mimo wyodrębnienia śladów nie byli w stanie namierzyć palacza. Nie mieli jego danych ani DNA w policyjnej bazie danych. A jednak ta powtarzalność powinna w końcu doprowadzić do schwytania osobnika. Czy to był ktoś stojący na czatach, czy może nadzorujący przedsięwzięcie? Tego jeszcze nie wiedzieli, ale z uporem godnym lepszej sprawy zabezpieczali wszystkie dowody, pewni, że kiedyś nadejdzie chwila, gdy się przydadzą i pomogą powiązać konkretną osobę z miejscami włamań.

Nadkomisarz Ożegalski skinął technikowi głową na pożegnanie i wszedł w świat pachnący lekami, w tym świeżo użytą walerianą. Po rozmowie z właścicielką apteki był przekonany, że trzecie włamanie nie było przypadkowe. Ale też dojrzewała w nim pewność, że to już nie jest jego problem. Niech się Maciejak męczy. Gdy wyszedł, wokół było już pusto, ekipa zabrała sprzęt i ewakuowała się do komendy. Postanowił pójść w ich ślady. Niespodziewanie dla siebie podjął decyzję.

Nie było na co czekać.

Już kilka miesięcy temu otrzymał trzy interesujące propozycje, z których mógł skorzystać po przejściu na emeryturę. Teraz tylko musiał przejść przez emerytalną papierologię i zastanowić się, którą z nich przyjąć. Lekiem na policyjne wypalenie zawodowe miała być praca, która dałaby mu poczucie radości i sensu życia. Był prawie pewien, z której propozycji skorzysta, ale szczegóły musiał uzgodnić z żoną.

Odetchnął pełną piersią, po raz pierwszy od miesięcy nie odczuwał stresu po przekroczeniu progu komendy.

Jednego był pewien, szykowało mu się całkiem inne życie.

OSTATNI DZIEŃ ROKU

31 grudnia 1962, nad ranem

Obudził ją wewnętrzny niepokój, tak jakby o czymś niezwykle ważnym zapomniała. Coś miała zrobić, a może porozmawiać z kimś?

Czyżby...? Wspomnienie sytuacji, która zmieniła radykalnie jej życie, wróciło jak błysk przed uderzeniem pioruna. Oddech, wyrównaj oddech, jesteś w domu, tutaj nic ci nie grozi – pomyślała rozsądnie. Rozszalałe serce powoli wracało do swojego normalnego rytmu, wewnętrzny paraliż pomału ustępował. Musiała odzyskać utraconą równowagę. W pokoju panowała nieprzenikniona ciemność, a ciszę zakłócało miarowe tykanie szafkowego zegara.

Jak w grobowcu, pomyślała i z powrotem przymknęła powieki. Nadal była śpiąca, nieco otumaniona majakami sennymi, które wróciły po krótkiej przerwie. Przełknęła ślinę i oblizła spierzchnięte usta – chciało się jej pić. Powinna wstać i pójść do kuchni. Ale jak zapali światło, to matka się obudzi i zacznie wypytywać.

Wytrzyma.

Ułożyła się wygodniej na boku, podkurczyła zziębnięte nogi, otulając je szczelnie pierzyną. Za chwilę powinna się ogrzać i wtedy zaśnie. Piec kaflowy już przestał oddawać ciepło, a przez nieszczęsne okna wdzierало się mroźne powietrze. Wprawdzie na parapetach piętrzyły się welniane koce, a szpary pozatykały resztkami watoliny z zimowego płaszcza ojca, ale to niewiele dawało. Tak jak niewiele dawały aksamitne bordowe zasłony z frędzlami, dla matki symbol luksusu. Powinny zmienić mieszkanie i przeprowadzić się do bloku, do normalnych warunków, i zacząć żyć jak inni ludzie, nowocześnie.

Nakryła głowę pierzyną, odcinając się od nieustępliwego tykania, które zaczęło ją męczyć. Tik-tak, tik-tak, tik-tak i tak przez całe życie. Do zaziwania. Na śmierć. Wtuliła policzek w wykrochmalone płótno poszewki i nie wiedząc kiedy, zaśnęła.

Skrzypnęły przedwojenne zawiasy i w szparze pomiędzy framugą a drzwiami pojaśniało.

– Śpisz, dziecko? – Matka jak co dzień uważała za swój obowiązek obudzić córkę o szóstej rano. Janka nie odpowiedziała, ale matka wiedziała, że już nie śpi. – Idę do sklepu, na kuchni masz wodę do mycia, grzeje się. Jak wstaniesz, to rozpał w pokoju, tylko musisz donieść węgla z komórki. I wody byś przyniosła. Ja już nie mam siły tak wszystkiego dźwigać. A potem przyjdź do sklepu, trzeba zanieść towar Kołeckiej. Zapamiętasz? – w głosie matki brzmiało zniecierpliwienie, tak jakby nie wiedziała, czy ta litania poleceń dotarła do córki, czy popłynęła gdzieś bokiem, pozostawiając ją sennie obojętną na żądania rodzicielki.

– Zapamiętam... – wymamrotała dziewczyna, wynurzając rozczochraną głowę spod pierzyny.

– To nie wylegaj się tak. Jak będziesz tylko spała, to do niczego nie dojdiesz. Pracy byś poszukała. Albo męża. Kolejny rok przeszedł, a ty jak ta śpiąca królewna. – Matka nigdy nie odpuszczała, ale Janka wiedziała, że zaraz zacznie się spieszyć do tego swojego sklepu, jak nazywała obskurny warzywniak.

Woda w garnkach wrzała, bulgotaniem unosząc pokrywki. Ich brzęk dochodził do sennej dziewczyny poprzez uchylone drzwi do kuchni. To też był codzienny rytuał. Matka Janiny wstawała zawsze pierwsza, nieraz o piątej rano, i rozpalala w kuchennym piecu. W szczególnie mroźne noce Leokadia Królikowska po raz ostatni podkładała do pieca po północy i bywało, że jak wstała, to w popiele połyskiwały skupiska żaru. Wtedy wystarczyło dołożyć kilka trzasek, które zawsze przygotowane zapamiętały wiklinowy koszyk ustawiony w pobliżu pieca. Matce jeszcze drżały ręce, musiała uważać, żeby żar nie wysypał się na blachę przybitą do pomalowanych na brązowo desek podłogi.

Wodę przynosiły ze studni usytuowanej na ich ulicy albo z tej w pobliżu synagogi. Matka używała koromysła, ale ona się wstydziła i dźwigała wodę w dwóch blaszanych wiadrach, uważając, żeby nie wychłapać po drodze. Najbardziej dokuczliwa była zima, przy tych mrozach woda zamarzała i sekunda nieuwagi skutkowałą poślizgnięciem się i upadkiem na skuty lodem bruk. Janka jeszcze teraz krzywiła się na wspomnienie bólu, który poczuła po uderzeniu głową w lodową górkę wyrosłą na jej codziennej trasie. Było to prawie rok temu – wiadra wyleciały jej z rąk, woda chlusnęła, zalewając płaszcz i kolana. Leżała bez ruchu dobrą chwilę, czując, że woda ścina lodem wełniane sploty płaszcza i nylon najlepszych pończoch. Z daleka słyszała pokrzykiwania dzieciaków, które urządziły sobie w pobliżu ślizgawkę. Prószył śnieg, powoli pokrywając ją śnieżną pierzynką. Miała wrażenie, że tak już zostanie na zawsze, zespolona w jedno z tą śniegową górą, a gdy przyjdą wiosenne roztopy, ktoś, najlepiej przystojny młody mężczyzna, odnajdzie jej doskonale zachowane pod warstwą lodu ciało i powiadomi matkę, że córka się odnalazła.

– Proszę pani, panienko, czy wszystko w porządku? Dobrze się panienka czuje? – Powiało w jej stronę czosnkiem i spirytusem, a chropawy głos nabrzmiały był troską.

Janka przemogła się i powoli, żeby nie rozpaść się na milion lodowych kawałków, poruszyła prawą ręką. Działała. Ośmielona uniosła ciężkie od śniegu powieki i z wysiłkiem skoncentrowała wzrok na zasłaniającej jej świat szarej masie. Masa ochraniała ją od wirujących płatków, ale jednocześnie budziła lęk swoją bliskością.

– Panienka pozwoli, że pomogę.

Poprzez rękawiczkę poczuła, że ktoś chwytą ją za ręce i powoli przyciąga ku sobie. Zmrożone plecy oderwały się od podłoża, a Janka zaczęła spazmatycznie chwytac powietrze.

– Chyba panienka zemdlala, ale nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Każdego by zmogło. No już, już, dziecko, jak się czujesz? Bledziutkie biedactwo... A może lekarza trzeba? To ja pójdę, zawołam, a panienka do sklepu wejdzie, wiaderka odstawimy... – Starszy mężczyzna krzątał się wokół niej, wyraźnie przejęty.

– Nic mi nie jest – wydukała, oddychając nerwowo. Bolała ją głowa, bolało ją całe ciało, zamarzała. Futrzana czapka wbita w śnieg nie nadawała się do użytku. Jej spojrzynie zatrzymało się na nikiącym pod śniegiem czarnym futerku.

– Wyschnie i będzie z powrotem dobra – starszek pocieszył ją dobrotliwie. – Niech się panienka oprze o mur, powoli, żeby złapać równowagę. O, a tutaj coś zaradzimy...

Ogłuszona upadkiem, ujrzała, jak zdejmuje z szyi piękny, żółty, puchaty szal i z namaszczeniem otula nim jej zbite w mokry kłęb włosy.

– Dziękuję panu – wyjąkała, jeszcze oszołomiona obrotem zdarzeń. Dopiero teraz mogła się przyjrzeć swojemu wybawcy, który niczym nie przypominał młodego, przystojnego mężczyzny z marzeń. Był jej wzrosto, szczupły w ramionach, pelisa z kołnierzem z nutrii wydawała się go przytłaczać. Z kołnierza wystawała pomarszczona, chuda szyja okolona kołnierzykiem płóciennej koszuli, w kolorze spranego błękitu. Na głowie miał brązową baranicę, odkrywającą małe, czerwone od zimna uszy. Wiotką skórę staruszek porastał kilkuniedniowy zarost, wskazujący, że albo dziewczyna ma do czynienia z abnegatem, albo po prostu jej wybawiciel zapuszcza brodę. Janka przypuszczała jednak, że właściciel tak pięknego, luksusowego w dotyku szala abnegatem być nie może.

– Bardzo panu dziękuję za pomoc – powtórzyła już pewniej i poruszyła głową. Zabolało. Dopiero teraz poczuła, jak ból po stłuczeniu rozlewa się po całym jej ciele. I jeszcze ta woda... Matka znowu będzie narzekać, że się obija. – Już wszystko w porządku, bardzo mi pan pomógł. – Uśmiechnęła się do niego blade. – Już pójdę. – Oderwała plecy od ściany budynku i postąpiła krok do przodu. W głowie jej wirowało, a sylwetka starszego pana zwielokrotniła się w jej oczach. Poczowała, że chwytą ją pewnie za ramię i wionąc ku jej twarzy trzęsącą mieszanką, coś mówi.

– Ja panienki nigdzie samej nie puszczę. Jeżeli nie pogotowie, to trzeba szybko do domu, ogrzać się, rodzinę zawiadomić.

Kątem oka zauważyła, że po drodze mężczyzna nachyla się i łapie w jedną rękę metalowe uchwyty obu wiadra. Dała się prowadzić bezwolnie, zadowolona, że nie jest sama. Wrzaski dzieciaków umilkły, zapewne poszły nad Sołę, ślizgać się na zamarzniętej lodowej tafli.

Dalszą drogę przebyli w milczeniu. Janka miała dziwne wrażenie, jakby to nie ona prowadziła go w kierunku kamienicy, tylko on ją wiódł, jakby wiedział, gdzie mieszka. Ale nie miała siły się nad tym zastanawiać. Przystanęli przed odrapanymi drzwiami prowadzącymi do wnętrza budynku. Starszy człowiek pchnął je jakby bez wysiłku i znaleźli się w ciemnej sionce, z której prowadziły schody na piętro. Janka z przerażeniem pomyślała, że nie wie, co powinna zrobić. Czy zaprosić do mieszkania wybawcę, czy już teraz jeszcze raz podziękować, odebrać wiadra i ostatkiem sił wdrapać się na górę.

Sięgnęła ręką do szala, chcąc oddać go właścicielowi, ale ten ją powstrzymał.

– Panienka odda mi szalik przy okazji. Proszę przekazać ukłony szanownej rodzicielce, a jak panienka wydobrzeje, to zapraszam do mojego atelier. Żak, Zenobiusz Żak, fotograf. – Mężczyzna cofnął się, tak jakby chciał Jance zasygnalizować, że nie stanowi zagrożenia. Dziewczyna lekko ugięła nogi, obawiając się, że schylenie się spowoduje kolejne omdlenie, i wyciągnęła rękę po wiadra. Nie zdążyła ich chwycić, gdy usłyszała wesoly głos sąsiada z piętra:

– Janeczko, zaczekaj, pomogę ci!

To nieco starszy od niej Józio Widłęga wracał z miasta. Po chwili, wprowadzony w sytuację, holował ją po schodach na górę, obiecując, że zaraz wszystkim się zajmie i przyniesie wodę. Odprowadzało ich zamysłone spojrzenie przedwojennego fotografa.

To było rok temu, a spotkanie z Zenobiuszem Żakiem otworzyło nowy rozdział w życiu Janki. Tak, to prawda, wiele zawdzięczała starszemu panu. Gdyby tylko...

Pokrywka podskoczyła i opadła z brzękiem, wyrwywając dziewczynę z półsennej zamyślenia. Ostatni dzień roku, sylwester. Czas na zmiany, nie miała na co czekać, chyba że chciała ugrzęznąć w sieci matczynych interesów, które coraz częściej niebezpiecznie zahaczały o prawdziwy kryminał, a wyroki przy takich aferach bywały wysokie. Matka uparcie twierdziła, że wszystko robi dla niej, ale nadal traktowała ją jak małe dziecko i nie liczyła się ze zdaniem córki, nie wspominając o jej potrzebach

i marzeniach. A przecież Janka nie była głupia, zdała maturę z doskonałym wynikiem i mogła iść na studia. Próbowwała się przełamać, starała się, ale... Może gdyby wtedy spróbowała, gdyby nie zabrakło jej determinacji... Powinna zrobić tak, jak matka chciała, a po cichu, wzorem innych dziewcząt, próbować, szukać, działać, nawiązywać kontakty z odpowiednimi ludźmi i starać się chociażby o małe rólki. Próbowwała, ale zdała sobie sprawę, że tego nie da się zrobić, mieszkając w Oświęcimiu, tej zapyziałej, naznaczonej wojną i biedą dziurze. A może jednak? Może to była dobra decyzja? Ma czas, kilka godzin na wóz albo przewóz, jak mówił kiedyś tata. Przeszłość nie ma znaczenia, liczy się tylko to, co będzie.

Przyłożyła rękę do czoła, czuła się dziwnie, jakby przeszłość zaczynała ją wciągać niczym nieustępliwe bagno. Ziewnęła, otworzyła oczy, szeroko, aż zabolą ją powieki.

Musiała wstać, natychmiast!

Ona im pokaże!

Ale najpierw trafi na okładkę jednego z najbardziej popularnych czasopism w kraju. To się matka zdziwi, gdy zobaczy córkę na okładce „Filmu”. Przyszły rok na pewno będzie należał do niej. Była tego pewna.

Uspokojona odsunęła pierzynę z piersi i usiadła na łóżku. Potem postawiła bose stopy na zimne deski podłogi, szukając w pobliżu papuci. Na oparciu krzesła namacała puchaty szlafrok i narzuciła go na ramiona. Drżąc z chłodu, podeszła do kontaktu i zapaliła światło. Jej spojrzenie zatrzymało się na szafkowym zegarze, monotonnie odliczającym czas. Wpół do ósmej, koniec leżenia. Na myśl, że musi wyjść do wspólnej dla wszystkich ubikacji, wzdrygnęła się z obrzydzenia, ale nie miała wyboru. Matka upierała się, że to jest najgorszy moment na kupienie porządnego mieszkania. Stara nie chciała wpadać w oczy zawistnym sąsiadom, którzy mogliby donieść, że się podejrzanie wzbogaciła na handlu pietruszką, i oskarżyć o łamanie przepisów antyspekulacyjnych. A kolejny donos do milicji albo Służby Bezpieczeństwa równał się przeszukaniu mieszkania, wielogodzinnym przesłuchaniom przez komórkę do walki z przestępczością zorganizowaną i utracie całego majątku. Za mniejsze sprawy zamykali. A Janka wiedziała, że po dość aktywnych działaniach handlowych matka podpadła, komu nie trzeba, i musiała na kilka miesięcy opuścić handel na boku. Na razie prywatny anioł stróż czuwał, ale jak to w życiu, nie za darmo.

Matka straszyla Jankę, bo czasem wydawało się, że córka nie wie, na jakim świecie żyje. Nic, tylko film, kino i kręcenie tyłkiem. Dziewczynie niczego nie brakowało, chodziła modnie ubrana, a w jej garderobie znajdowały się ciuchy szyte przez zaprzyjaźnioną krawcową i przysyłane przez rodzinę z dalekiej Ameryki. Ale ciuchy to było co innego i zawsze można było powiedzieć, że Janka dostała w prezencie albo kupiła na bazarze czy krawcowa uszyła na wzór tych zagranicznych.

Tak, Leokadia Królikowska miała swoje racje, ale Janka miała swoje. Nie mogły się dogadać.

Janka, już przygotowana do wyjścia, popijała ostatnie łyki gorącej herbaty. Powinna się pośpieszyć, jeżeli miała ze wszystkim zdążyć. Na małej werandzie przylegającej do ich sypialni, będącej jednocześnie pokojem gościnnym, mroził się gar bigosu nagotowany w ciągu tygodnia. W drugim garnku matka przygotowała smażone karpie w occie – ryby zostały im jeszcze od świąt. Jarzyny ugotowane na sałatkę stały od wczoraj na parapecie w kuchni. Janka zaoferowała się, że upiecze ciasto, ale i tak miała ochotę na zakupy w cukierni Mikołajczyków. Zastanawiała się, czy jeszcze kiedykolwiek zje ich pyszne pizy. Jeżeli wyjedzie... Zaciśnięła pięści, zdecydowana na działanie. Nie jeżeli, żadne jeżeli! Wyjedzie, a potem wróci. Wszystko już zostało umówione, dogadane. Musi trzymać się planu. Matka ponarzeka, ale będzie dumna, gdy zobaczy własne dziecko w telewizji. Gwiazda filmu i ekranu Janka Królikowska... Nie, na pewno

nie Janka i nie Królikowska! Żeby zaistnieć, trzeba mieć odpowiednie nazwisko! Wpadające w ucho, zapadające w pamięć. Na zdjęciach nie wygląda jak Janka, wygląda jak gwiazda.

Zenobiusz Żak nie mógł się mylić!

31 grudnia 1962, przed południem

Leokadia Królikowska od rana była niespokojna. Wprawdzie przez sobotę i niedzielę starała się przygotować godnie do powitania Nowego Roku, ale gotowanie i sprzątanie nie mogło zastąpić prawdziwej radości. A tej w ich niewielkiej rodzinie brakowało. Bóg jej świadkiem, że starała się, jak mogła, i nie skąpiła córce na szmatki, ale nawet jej cierpliwość zaczynała się wyczerpywać. Wszystko przez tego namolnego Zenobiusza – namącił w głowie dziewczusze i teraz problem, nie wiadomo, jak jej wytłumaczyć, że porządna dziewczyna powinna, i owszem, szkołę skończyć, wykształcenie mieć, ale potem iść do normalnej pracy, poznać odpowiedniego chłopaka, wyjść za niego za mąż i dzieci urodzić. Będzie musiała poprosić księdza proboszcza, żeby Jance przetłumaczył.

– Oj, biednam ja, biedna – uzalila się po cichu nad sobą Leokadia, dźwigając skrzynkę z marchwią, żeby ją położyć na ladzie. W sylwestrowy poniedziałek na pewno zejdzie cały zapas. Takż ziemniaki, już miękkie, ale od rolnika, więc dobre, korzeń pietruszki i cebula. W swoim ciemnym i wąskim zieleniaku Leokadia Królikowska od czasów przedwojennych handlowała, czym się dało, sprzedając także kiszone własnoręcznie ogórki, kapustę kiszoną z marchwią, bogatą w kwaśnicę, grzyby zbierane jesienią i suszone nad piecem, buraki, selery, fasolę jasek, dostarczane przez znajomego rolnika. Od lat utrzymywały się z tego sklepiku, drząc, by nie wróciły wyniszczające prywatną inicjatywę domiary, tak hojnie nakładane przez państwo. Przyszłoby wtedy interes zamknąć i iść sprzątać po domach. Leokadia Królikowska nie zdobyła wykształcenia, ale handel miała we krwi.

Zimno było w ten ostatni dzień roku. Przez przybrudzone, pokryte warstwą szronu szyby widziała skulone sylwetki przechodniów przemykających obok jej obskurnego sklepiku. Kto miał do niej interes, ten wiedział, że u Leokadii Królikowskiej zawsze są dobrej jakości warzywa, a jeżeli będzie miał szczęście i odpowiednie znajomości, zakupi zagraniczny towar po przystępnej cenie. Wprawdzie przystępna cena niejednokrotnie równała się połowie wypłaty, ale chętnych nie brakowało.

Leokadia Królikowska przetała szmatą przedwojenną wagę szalkową, ustawiła obok niej odważniki, przemieszała w kamionce z kiszoną kapustą. Dochodziła dziewiąta, zaraz powinien zacząć się duży ruch – przewidywała, że dzisiaj sprzeda resztę towaru i w kolejny rok wejdzie z pustymi półkami w sklepie. Tak już było od kilku lat, pierwszy tydzień stycznia zawsze poświęcała na odpoczynek i wyjazd do brata, który mieszkał w Nowym Targu. Teraz też zabierze ze sobą Jankę, niech się dziewczyna zajmie czymś pożytecznym.

Odwrócona plecami do wejścia mamrotała do siebie pod nosem, czekając na kolejnych klientów. Nie czekała długo, po chwili zgrzytnęły metalowe drzwi i z zewnątrz powiało chłodem.

– Dzień dobry, pani Królikowska, przysyła mnie pani Czesia.

Leokadia Królikowska zmierzyła gościa badawczym spojrzeniem, rejestrując w pamięci bladą twarz okoloną równo przyciętą brodą, krzaczaste brwi nad małymi, chytrymi oczkami, odstające uszy i gołą mimo zimna głowę. Widziała go jakiś czas temu i już wtedy nie wzbudził jej zaufania. Mężczyzna ubrany był w gruby kożuch, szyję

omotał kolorowym szalem na zagraniczną modłę. Gruba obrączka ze złota wskazywała, że jest żonaty.

– I jak wypadły oględziny? Spodobałem się pani? – zapytał beczelnie.

Nie lubiła takich typów.

– Co szanowny pan potrzebuje? Warzywa na sałatkę, a może jajka, mam świeżutki od niosek – zaoferowała uprzejmie, udając, że nie słyszy pytania.

– Co mi pani głowę zawraca warzywami, przecież mówię, że mnie pani Czesia przysyła! – Nieznajomy, zniecierpliwiony, podniósł głos.

Sprzedawczyni spokojnie założyła ręce na piersiach i jakby nigdy nic odpowiedziała:

– Może i pana przysyła, ale jak pan nie reflektujesz na warzywa, to nie wiem, po coś pan przyszedł. Poza tym nie znam żadnej Czesi, może i tak ma na imię któraś z klientek, ale żebym ja ze wszystkimi po imieniu była, to nie. Nie pomogę – rzekła wyraźnie zmartwiona. – To jakaś pomyłka.

Jak na złość, klienci na razie omijali jej sklepik, a ten szpieg, bo z każdą chwilą nabierała pewności, że przyjemniaczek przyszedł na kolejne przeszpiegi, nie zamierzał odejść.

– Pani Królikowska, żonie chciałem prezent zrobić, pani się zlituje! – klient zaczął z innej beczki, wodząc wzrokiem po ciemnym pomieszczeniu. Przez chwilę jego spojrenie zatrzymało się na nabitej kurzem kotarze oddzielającej sklepik od zaplecza.

Leokadia zamarła. Jeżeli to akcja wiadomych służb, to tak jakby już jej nie było. Wprawdzie młody o niczym takim nie wspominał, ale mógł nie wiedzieć.

– To może fasoli zważę, takiego jaśka to pan w życiu nie jadł. Tylko najpierw niech żona zaleje zimną wodą i potrzyma tak przez kilka godzin, a najlepiej całą noc, a potem wstawi na piec w tej samej wodzie i gotuje. Będzie miękkki, to wyjmie z garnka, skórka sama zejdzie, a miąższ słodki! Palce lizać! – zachwalała, robiąc tutkę z gazety.

Mężczyzna zakonotował w pamięci, że oddziera stronę z „Trybuny Ludu”, ale nie zwrócił jej uwagi. Leokadia Królikowska była płotką, cenną dla jego własnych celów, ale on od jakiegoś czasu zastawiał sidła na szczupaka. W tej akcji mógł liczyć tylko na siebie. Wykrzesła na twarzy błady uśmiech i skinął głową – niech już będzie fasola.

– Pani zapakuje tak z pół kilo, wezmę. Skoro pani twierdzi, że nie zna żadnej Czesławy, to zapewne się pomyliłem.

– Panie, nie twierdę, że nie znam, może i znam, ale tutaj tyle ludu przychodzi, a nie każdy się przedstawia – odrzekła sklepikarka usprawiedliwiająco.

Po chwili za przyjemniaczkiem ustawiła się kolejka chętnych i stron w partyjnej gazecie zaczęło ubywać. Handlarka obsługiwała wszystkich uprzejmie, ale powściągliwie. Do południa zdarzył się jeszcze jeden „protegowany” pani Czesi, ale Leokadia udała, że nie rozumie pytania. Chociaż znała z widzenia pytającego – syn od Henków wrócił do rodzinnego miasta po studiach w Krakowie i z tego, co wiedziała, zaczął się do pracy w Zakładach Chemicznych. Trudno było lepiej trafić, młody Henk miał się żenić w karnawale, a mieszkanie zakładowe już na młodą parę czekało. Zatrudnienia u największego oświęcimskiego pracodawcy szukali ludzie z całej Polski, opuszczając swoje rodzinne miejscowości i przenosząc się tutaj z całym dobytkiem. Na przybyłych czekały mieszkania, dobra płaca i możliwość zdobywania wykształcenia na zaocznych studiach. Leokadia słyszała od córki, że Henkowie trochę wydziwiali, żalując, że syn wolał zatrudnić się jako zaopatrzeniowiec niż inżynier, ale ona go rozumiała. Wiadomo było, że przy handlu z głodu nie umrze. Gdyby tylko nie ten oślizgły typ z rana, na pewno by zahandlowali. Towar, dziękować Bogu, już się jej kończył, a nowy przywiezie dopiero po pobyciu u brata.

31 grudnia 1962, koło południa

Janka zamknęła dokładnie drzwi na klucz i zeszła po betonowych schodach, uważając, żeby się nie pośliznąć. Nie teraz, kiedy miała zacząć nowe życie. Na razie musiała się postarać, aby matka nie nabrała podejrzeń. Chciała jeszcze na chwilę zobaczyć się z Nelą i pożegnać się z nią... i nie tylko z nią. Jeszcze jedno pożegnanie ją czekało. Tylko jak się żegnać, żeby żegnany nie wiedział, że to już? Złożyć życzenia noworoczne? Dziewczyny to co innego. Przez całą szkołę nierozłączne, w ciągu ostatniego roku oddaliły się od siebie. Nela przestrzegала ją przed nieprzemyślanym działaniem, a ona z kolei uważała, że przyjaciółka zazdrości jej przyszłej sławy i adoratora, o którym przebąkiwała niewyraźnie, trzymając w ścisłej tajemnicy jego tożsamość. Musiała jeszcze tylko przed wyjazdem załatwić sprawę z Zenobiuszem Żakiem. Fakt, wiele mu zawdzięczała, ale nie spodziewała się, że starszy pan tak ją wykorzysta i zawiedzie. Sama sobie była winna, naiwnie myślała, że chce jej pomóc.

Poprawiła futrzaną czapkę i mocniej otuliła się sztucznym futerkiem w ciapki. Na nogach miała wełniane pończochy, a czarne botki wyglądały jak ze starszej siostry, zbyt duże i zniszczone. Matka specjalnie prosiła, żeby do warzywniaka przychodziła ubrana tak jak wszyscy. W nowym futerku z jenotów może paradować w niedzielę, a najlepiej to po domu, żeby się w oczy nie rzucać. Janka ze złością kopnęła grudkę śniegu, mocniej przytrzymując brązową torebkę ze skaju wysuwającą się jej spod łokcia. Żeby już ten dzień minął, byłaby spokojniejsza.

- Pamiętaj, tylko do rąk własnych. Na karteczkach masz adresy. Zainkasujesz pieniądze i wrócisz. Pospiesz się! - Matka prawie ją wypchnęła ze sklepu.

- Dobrze, już dobrze, idę, załatwię, wrócę. Już tak mnie nie popędzaj! - odburknęła nieuprzejmie.

- Przecież wiesz, że dla ciebie to robię, nie dla siebie, więc mi nie marudź. - Matka przytrzymała ją za łokieć, szepcząc tak, żeby czasem nikt nie słyszał.

- Boli, puść mnie! - Szarpnęła rękę, uważając, żeby nie upuścić paczek.

- Weź to, schowaj natychmiast! - Matka nerwowo wepchnęła szeleszczące celofanem woreczki do torby Janki.

Ledwo zdążyły, Janka w drzwiach minęła się z modniem odzianym w kożuszek. Zawiało do niej skórą i carmenami. Jeszcze i ten tutaj... Z ulgą odetchnęła świeżym powietrzem i opierając się o ścianę budynku, odprowadziła wzrokiem syrenę 102, którą wcześniej rozbijał się Jarek, syn dyrektora kopalni. Więc jednak, wrócił, jakby nic się nie stało.

WIĘZI RODZINNE

2017

W pozbawione firanek okna zajrzało słońce, uwydatniając na szybach smugi tłustej sadzy pochodzącej z pobliskich kominów. Większość sąsiadów paliła w piecach, a niektórzy nawet przez cały rok, podgrzewając wodę w bojlerach. Wprawdzie Kornelia myła okna przed świętami Bożego Narodzenia, ale po pierwsze myła tylko od środka, uważając, że od czystych okien ważniejsze jest zdrowie, a po drugie okna na pięttrze potraktowała po macoszemu, owszem, wycierając szyby, ale nie zniżając się do zbyt intensywnych porządków. Od lat piętterko jej niewielkiego domu pozostawało niezamieszkanе i w związku z tym przez okna nikt nie spoglądał w romantyczną dal ani ich nie otwierał bez potrzeby. A potrzeba zaczynała się według Kornelii od plus dwudziestu stopni, kiedy to wypadało przewietrzyć pomieszczenia, żeby się w nich kurz nie zastał.

Kornelia Henk dom odziedziczyła po rodzicach. Jej jedyny, starszy o sześć lat, brat zdążył pożegnać się ze światem w swoje urodziny, pozostawiając po sobie nieutuloną w żalu wdowę i pięcioletniego synka. Wdowę, która przed śmiercią zrobiła mężowi karczemną awanturę, grożąc odejściem z dzieckiem do mamusi. Awantura, którą zrobiła małżonkowi, nie przeszła bez echa.

– Te wszystkie zdziiry, co jedna to lepsza! I nie mów mi, że to koleżanki z pracy! – Paulina wrzeszczała na całe gardło, urozmaicając życie sąsiadom mieszkającym w blokach na Osiedlu Chemików. – Ty łajzo jedna, zdradzasz mnie, łajdaczysz się z tymi małpami, jakby która była lepsza ode mnie!

Przez uchylone okna do uszu sąsiadów dobiegł odgłos tłuczonych naczyń – Paulina Henkowa w amoku sięgała po talerze od świątecznego serwisu.

– Nigdy mnie nie kochałeś, praczka ci była potrzebna, kucharka, sprzątaczką! I za co?! – Zaniosła się łkaniem przechodzącym w skowyt.

Mirosław Henk stał jak wmurowany, gniotąc w dłoni trzy różowe goździki obficie spowite asparagusem, wiedząc z doświadczenia, że za chwilę żonie przejdzie napad hysterii i w nocy nastąpi upojne pogodzenie. Fakt, był rozrywkowym facetem, lubił się zabawić, ale jak tłumaczył wielokrotnie ślubnej, było to nieodłącznie związane z jego zawodem zaopatrzeniowca. A że niektóre baby potem za nim wydzwaniały, słały kartki z miejscowości nadmorskich z wylewnymi pozdrowieniami, to już nie jego wina. On miał za zadanie załatwić dla Zakładów Chemicznych wszystko, czego brakowało, i robił to, jak na warunki, w których przyszło mu pracować, perfekcyjnie.

– No już, już, uspokój się, kochanie! Prezent ci kupię, pojedziemy w tym roku do Bułgarii. Chcesz?

Oderwał się od podpierania ściany i wykorzystując przerwę w ciskaniu talerzami, podszedł do rozdygotanej małżonki. Mały Maurycy, ukryty w ciemnych otchłaniach przedpokoju, obserwował, jak tatuś podaje mamusi kwiatki i szepcze jej coś do ucha, a potem odskakuje od niej jak rażony prądem. Mamusia sięga po wazę w różyczki i ciska nią w uchylone okno, nie przejmując się, że szyba roztrzaskuje się na tysiące szklanych szpileczek, a tata wrzeszczy:

– Czyż ty oszalała, kobieto?! Przecież w środku są dolary i złoto!

– Ty idioto! Nie miałeś gdzie włożyć?! Co tak jeszcze stoisz jak kretyn, leć szybko! Żeby kto nie ukradł! – Mama nagle otrzeźwiała i zamiast zalewać się łzami, rzuciła się do okna, brnąc wśród odłamków szkła, żeby wyrzeć na chodnik i sprawdzić stan wazy, a tata dwoma susami znalazł się w przedpokoju, narzucił na siebie kurtkę i trzaskając drzwiami, wybiegł.

I to był ostatni raz, gdy widzieli go żywego.

To był po prostu pech i jak mówiła nieutulona w żalu wdowa – kurewskie złodziejstwo! Niewiele brakowało, a lecąca z góry waza roztrzaskałaby głowę narzeczonemu sąsiadki Henków. Narzeczony wychodził nieco roztrzęsiony po rozmowie z matką ukochanej, przygnieciony liczbą spraw do załatwienia. Ślub mieli wziąć dopiero za rok, a on już nie bardzo wiedział, czy podola wygórowanym ambicjom przyszłej teściowej. I nagle, ni z gruszki, ni z pietruszki, przed stopami rozbiła mu się waza porcelanowa z chochłą srebrną w środku. Do chochli przytwierdzony był gumką woreczek pełen budżącego nadzieję na sprośtanie wymaganiom owej teściowej dobra. Jak potem zeznał w sądzie, uznał to za znak z góry i nie zastanawiając się, przywłaszczył sobie chochłę z zawartością, której wartości wtedy nie znał. Wsadził ją sobie za pazuchę jedną ręką, a drugą wysupłał z kieszeni kluczyki do syrenki. Nie zwracając uwagi na otoczenie, wsiadł do samochodu, odpalił i tyle go widzieli. Nie, nie słyszał, żeby ktokolwiek za nim krzyczał, nie zdawał sobie sprawy, że ktoś go goni. Był tak uradowany, że jak najszybciej chciał dojechać do mieszkania, które wynajmował jako przyjezdny, i przeliczyć te dolarowe dobra. Gdy już dojeżdżał do swojego bloku, przed skrzemem w uliczkę usłyszał trzask, wycie klaksonów, a w chwilę potem sygnał milicyjnego koguta. Nazajutrz dowiedział się, że motocyklista zginął na miejscu, wjeżdżając prosto pod ciężarówkę. Żał człowieka, ale ani przez moment nie sądził, że wypadek ma z nim cokolwiek wspólnego. Tylko potem narzeczona, głupia krowa, nie umiała trzymać języka za zębami i pochwaliła się, że na weselu będzie dewizowa wódka.

Wszystko to Kornelia wiedziała od bratowej, która przez lata katowała się wyrzutami sumienia, umierając przedwcześnie. Gdy bratanek dorósł, opowiedziała mu całą historię, uwalniając go z traumy i poczucia winy. Przez długi czas nie rozumiał, co się stało, i jak to dziecko przypuszczał, że mama na niego naskarzyła, bo rzeczywiście był w przedszkolu wyjątkowo niegrzeczny. Nie spał, potem napyskował siostrze Adeli i usiłował wydłubać Agatce oko widelcem. Był ciotce wdzięczny, że powiedziała mu prawdę.

Maurycy Henk zdecydowanym ruchem odrzucił koc na bok i wstał z łóżka. Nie zamierzał się wylegiwać, czekała na niego praca. Do ciotki Kornelii przyjechał wczoraj i gdy tylko trochę się ogarnął, ciotka zaprosiła go na kolację. A potem sącząc porzeczkowe wino z domowych zapasów, cały wieczór poświęcili na wspomnienia, świadomie chcąc zamknąć w tym jednym wieczorze przeszłość i już do niej nie wracać. Nie miało to najmniejszego sensu.

– Ała... oła... ała... – Maurycy ziewnęła rozgłośnie i przecesał zmierzwiłone po spaniu włosy. Przeciągnął się energicznie, skłon, wyprost, skłon, wyprost. Przepoconą podkoszulkę zdjął i od razu rzucił na podłogę. Podszedł do okna, otworzył je. Do środka

wtargnęło pachnące koszoną trawą powietrze. Maurycy wychylił się, wgniatając sobie parapet w kościste biodra. Wiosenne słońce omiotło mu twarz czułą pieszczołą. Przez sekundę poczuł się jak gówniarz na wakacjach u babci Wiesi. Ale babcia Wiesia nie żyła od wielu lat, a on z trudem przypominał sobie miejsce, gdzie miała grób.

– I jak tam? Żyjesz? – Ciocia Kornelia uzbrojona w potężny sekator bezlitośnie podcinała różę.

Maurycy uśmiechnął się pod nosem i odrzyknął:

– Póki co żyję, ale jak to niektórzy mówią: nie znacie dnia ani godziny!

– Niby tak... – Kornelia na chwilę przerwała przycinanie i przystanęła zamyślona. – Ale wiesz, ja jednak mam wrażenie, że to bardziej dotyczy noszenia czystej bielizny. Bo pomyśl, jak się człowiek musi czuć, gdy trafia do szpitala w podartych majtkach albo niedopranym staniku... i nie może nic zrobić. Leżysz mało przytomny, ktoś cię rozbiera i nagle uświadomiasz sobie, że bielizna już nie wczorajsza, ale przedwczorajsza, chcesz zaprotestować, powstrzymać rozbieranie, a tu jakiś jęk ci się wyrывa z ust albo jeszcze gorzej. – Kornelia, przejęta wizją, wzdrygnęła się z przerażeniem.

– Dlatego ja zawsze mam na zapasie czyste gatki – odrzyknął jej żartobliwie, kątem oka obserwując ruch w sąsiednim ogrodzie. To stamtąd wionęło koszoną trawą, a dowód czyjejs pracy przyciągał wzrok wypielegnowaną zielenią.

– Święte słowa, sąsiadko! – Zza rzędu tui wyszła okazałej postury matrona. – Ja mam to samo! I wieczorem muszę zawsze wziąć kąpiel, inaczej nie potrafię.

– A dzień dobry! Piękny mamy dzień na święto pracy! – Kornelia wykrzywiła usta w uprzejmym uśmiechu i odcięła następną pełną kolców gałązkę.

– A i świętego Józefa, patrona robotników – zabasowała sąsiadka, lustrując wysoką trawę przed ich oknami. – Święto, bo święto, ale ja tam nie lubię obijania się. Jak jest pogoda, to trzeba nadrobić zaległości w ogrodzie, bo jak przyjdą deszcze, trawa znowu podrośnie i człowiek nie nadąży.

– Co prawda, to prawda, bratanek zaraz zabierze się za koszenie – oznajmiła ciotka Kornelia i obróciła się plecami, sygnalizując, że rozmowę uważa za zakończoną. Maurycy poinformowany o swoich planach wycofał się dyskretnie, ubawiony ogrodowo-okienną konwersacją. Postanowił, że szybko weźmie prysznic, przebierze się i zawała ciotkę na kawę, a potem rzeczywiście postara się ją wyręczyć w niektórych czynnościach.

Nie zastanawiał się na razie, na jak długo zostanie w Oświęcimiu. Może tydzień, a może miesiąc? I tak nie miał innej alternatywy, a praca, jaką wykonywał, umożliwiała mu na dużą swobodę. Mógł sobie pozwolić na przeprowadzenie prywatnego śledztwa i zaspokojenie ciekawości. Zwłaszcza że Kornelia zaoferowała swoją pomoc, pamiętając, że to od niej wszystko się zaczęło.

Przypomniał sobie, że dochodziła północ, a on zamiast spać, wodził zmęczonym wzrokiem po kartach książki, usiłując zrozumieć chociaż jedno zdanie czytanego tekstu. Już sam tytuł *Falszerze pieprzu* zapowiadał fascynującą historię. Maurycy nadal, po latach przeczesywania śmietników pamięci pozostawionych w pustych mieszkaniach, lubił poznawać losy tych, którzy już dawno odeszli. Gdy bił się z myślami, czy brnąć dalej, czy zostawić, a jutro zacząć od początku, rozdzwoniła się komórka położona na szafce obok łóżka.

Odłożył książkę – jednak nici z czytania – i zerknął na wyświetlacz.

– Dobry wieczór, Kornelio. Czy coś się stało? – zapytał zaniepokojony, zanim ją usłyszał.

– Dzwonię i dzwonię, już myślałam, że śpisz – wytknęła mu ciotka rześkim głosem. – Słuchaj, mam sprawę.

– O północy? – jęknął ze zgrozą.

– Przecież duchów się nie boisz – zachichotała. – Pamiętam, że mówiłeś, że nigdy nie kładziesz się do łóżka przed północą, to dlaczego miałam nie dzwonić? Potem zapomnę, a jest pieniądz do zarobienia.

Maurycy, słysząc „pieniądz”, od razu się wyprostował i poczuł, że krew zaczyna mu szybciej krążyć w żyłach. Już kilka razy Kornelia naraiła mu klientów i były to bardzo dobre finansowo zlecenia.

– To jak, mam mówić dalej?

– Jasne, sorki, już notuję – rzucił w słuchawkę gorliwie.

– Jest do wyczyszczenia mieszkanie po staruszce. Tak się składa, że poznałam jedyne go krewnego i zarazem spadkobiercę tej staruszki... Zresztą staruszkę też znałam lata temu, w sumie to wynikało z rozmowy, i powiedziałam, że się tym zajmiesz. – Kornelia wiedziała, że nieco się pospieszyła. Być może nie powinna od razu przyjmować oferty i najpierw zadzwonić do bratanka, ale bała się, że facet zmieni zdanie.

– Bardzo zasyfione?

– Nie, to znaczy tak naprawdę nie wiem, ale zmarła w szpitalu, więc przynajmniej jedno odpada. Mam klucze do mieszkania, więc jak przyjedziesz do miasta, to najpierw do mnie. Zatrzymasz się na jakiś czas. Spadkobierca pracuje w Warszawie i cierpi na chroniczny brak czasu. A mieszkanie chce oporządzić i sprzedać jak najszybciej. To dobre miejsce, kamienica w centrum miasta, więc nie będzie miał problemu.

– To daj adres, wrzucę w Google – poprosił zainteresowany. Ciotka zawsze miała nosa.

– To jest największe mieszkanie w kamienicy na Mickiewicza, prawie przy Rynku. Ja tam raz byłam, to ci pokażę. Tam, gdzie kiedyś był fotograf... to znaczy w pobliżu, tam gdzie wiesz...

W sumie nie musiała mówić więcej. Pamiętał doskonale.

– Skoro tak, to przyjadę jeszcze w tym tygodniu. Musimy z Kazikiem dokończyć mieszkanie po samobójcy, to w Katowicach, i przyjeżdżamy.

– A on dalej taki opój? – w głosie ciotki zabrzmiało niezadowolone.

– Samobójca?

– Nie żartuj z poważnych spraw! Myślałam, że jutro przyjedziesz.

– To zależy, co masz na myśli, bo już po północy, więc dzisiaj na pewno nie – podkreślił „dzisiaj” – ale jutro... zobaczymy. To mieszkanie to koszmar, ciągle nam coś z kątów wyłazi, tynk musieliśmy skuć. Białe glisty nie do wytępienia... A wiesz, że Kaziu lękliwy i musi się znieczulić.

– Znieczulić! Widział to kto, jaki wrażliwy! Już ty mnie nie próbuj szokować, nie takie rzeczy widziałam. Białe glisty! Phi! – Kornelia prychnęła w słuchawkę. – To czekam na was jutro. Najlepiej od rana. – Zakończyła i nie żegnając się, odłożyła słuchawkę. Załatwiła wszystko, co miała do załatwienia, a kurtuzja niezbyt ją obchodziła.

* * *

Maurycy Henk, właściciel firmy Henk & Henk – usługi konserwatorskie, miał w swoim dorobku dziesiątki wysprzątanymi mieszkań, domów, powierzchni magazynowych, komórek i innych wymagających profesjonalnej pomocy obiektów. Z biegiem lat nabrał doświadczenia i myślał, że już nic go nie zdziwi. Na początku zajmował się sprzątaniami mieszkań. Zdrapywaniem pokładów brudu, wywożeniem gazet zbieranych przez kilkadziesiąt lat i zasiedlanych przez myszy, myciem okien na dwudziestym piętrze i usuwaniem gołębiego łajna. Poprzednia praca wyczerpała go psychicznie i sprzątanie

traktował jako odskocznię. Wiedział, co powinien zrobić, nie napinał się, nie poddawał emocjom i presji czasu. Przy którymś z kolejnych zleceń do podstawowego katalogu usług doszło sprzątanie po zgonach. I to już był hardcore. Nie tylko w kwestii psychiki, ale także przygotowania fizycznego. Tu już nie wystarczyły podstawowe, ale zawsze dobrej jakości, używane przez zawodowców, produkty do czyszczenia. Aby wysprzątać mieszkanie po zgonie, musiał zainwestować w odpowiedni sprzęt i wysokiej klasy środki medyczne.

Widok rozpełzającego się po całym domu robactwa, kolonii szczurów okupującej niezamieszkały obiekt, nietoperzy pokrywających swoim guanem każdy skrawek wolnej powierzchni i rozbryzgów krwi na suficie wymagał żelaznych nerwów i mocnej psychiki. Odrywał deski od podłogi, wyrzucał wszystko, co można było wyrzucić, miał zaprzyjaźnione firmy deratyzacyjne i dezynsekcyjne, które przybywały z pomocą w skrajnych przypadkach.

Zajmował się też lokalami szczególnej troski. Krewni zmarłych nie chcieli nawet zaglądać do ich mieszkań, marzyli tylko o pozbyciu się kłopotu i zbyciu spadku po zmarłym członku rodziny. Takich zleceń z miesiąca na miesiąc przybywało. Spadkobiercy nie byli zainteresowani przeszłością rodziny, zdjęciami, listami pisanymi przez dawno niewidziane babcie do jeszcze dawniej zmarłych dziadków. Nie interesowały ich ślady przeszłości, byli tylko zainteresowani przyszłością, własną, bogatszą o przelew na koncie za sprzedaż nieruchomości. Z ulgą dowiadywali się od znajomych, że jest w branży człowiek godny zaufania, który wyczyści mieszkanie pod klucz, a jeżeli znajdzie złoty łańcuszek z krzyżykiem, to odda. Bo wiadomo, pamiątka.

Zlecenie na sprzątanie mieszkania po staruszce wyglądało standardowo. Nic nadzwyczajnego, tylko ten adres...

Ostatni klient Maurycego Henka porządkował sprawy po wujku, kawalerze, który w styczniu popełnił samobójstwo, a odkryte wiosenną porą zwłoki nie przedstawiały zbyt przyjemnego widoku. Swoją drogą ludzie są wytrzymali, przecież tam smród musiał się nasilać z dnia na dzień. Brak psa w kamienicy swoje robił, żaden porządny pies nie przeszedłby obojętnie obok takiego miejsca.

Dlatego sprzątanie po staruszce, która zmarła w szpitalu, przyjął z ulgą. Zlecenie, które przekazała mu ciotka Kornelia, zaproponował syn bratanka zmarłej, jedyny spadkobierca. Mogło tak być, Leokadia Królikowska-Wnuk w chwili śmierci dobijała do setki i mieszkała sama na pierwszym piętrze dziewiętnastowiecznej kamienicy. Nie mogła być biedna, tam nie mieszkali ludzie biedni, raczej ci, którzy przez lata zajmowali się handlem, szeroko pojętymi usługami. Ludzie, których historie pełne były zakrętów i ślepych uliczek. Jakie życie prowadziła nieznaną mu staruszka?

Gdy już zjedli śniadanie, Maurycy poszedł od razu kosić trawę przed domem. Pod wieczór, gdy przyjedzie Kazik, wybiorą się do mieszkania Leokadii Królikowskiej, by jak najszybciej rozpocząć chociaż wstępne oględziny.

* * *

Po kilkunastu minutach od przestąpienia progów mieszkania wiedział, że o Leokadii Królikowskiej będzie pamiętał długo. A może i bardzo długo. Teraz skupił uwagę na mieszkaniu zmarłej. Zawsze tak robił, wyobrażał sobie, kto mieszkał w sprzątanym lokalu, jakim był człowiekiem, co go cieszyło, co sprawiało przykrość. Dokładnie takie same rozmyślenia prowadził, spacerując po cmentarnych alejach, gdy zdarzyło mu się być na pogrzebie. Pogrzebów nie lubił, ale nie zawsze mógł wykręcić się od obecności.

Na pewno staruszka była bogobojna, całe mieszkanie zastawione było ołtarzykami, wśród których powtarzał się motyw Matki Boskiej w różnych odsłonach, a to

z Niepokalanowa, a to z Częstochowy, a to znowu z Ludźmierza – naliczył sto trzy figurki i obrazy w kolekcji. Niektóre nosiły rys artyzmu twórcy, inne straszły jak odpustowe koszmarki. Gdy przyjechał Kazik, to od pakowania figurek rozpoczęli porządki, zamierzając darem ucieszyć pobliskie domy spokojnej starości. Meble pamiętały lata przedwojenne – ciężkie, rzeźbione, z Kalwarii, przedmiot mieszczańskiej dumy. Szafkowy zegar już nie wybijał godzin, ale nadal cieszył oko. Okrągły stół nakryty koronkową serwetą, na nim szklanka w srebrnym koszyczku z niedopitą herbatą, która zdążyła zamienić się w czarny pył. Trzy pokoje wyglądające tak, jakby dla Leokadii Królikowskiej-Wnuk czas zatrzymał się na wczesnych latach sześćdziesiątych. Kuchnia w tym mieszkaniu stanowiła oazę nowoczesności – z elektryczną kuchenką z piekarnikiem nakrywaną pokrywą z hartowanego szkła, stojącą na blacie kuchenką mikrofalową i zainstalowanym piecem gazowym. W łazience pralka, kabina prysznicowa i porządna wanna – być może starsza pani była jeszcze w stanie z niej korzystać. Z tego, co mówiła ciotka Kornelia, wynikało, że Leokadia Królikowska-Wnuk do końca życia była sprawna tak fizycznie, jak i umysłowo, czego świadectwem były codzienne zakupy w sklepie spożywczym. Maurycy był ciekawy, jakie lektury lubiła starsza pani. Z doświadczenia wiedział, że staruszki interesują się polityką, mają sporo książek związanych z religią, czytają powieści. Tutaj nie było stereotypów, zdarzały mu się totalne zaskoczenia, gdy w mieszkaniu starszej osoby uważanej za kościelną bigotkę odnajdywał sterty powieści naspikowanych pełnymi erotycznymi podtekstów romansami. I to ze śladami częstego czytania! O zawartości nie miały pojęcia, nazwiska autorów nic mu nie mówiły, ale wziął kilka do przeczytania. Nie tego się spodziewał!

W tym mieszkaniu nie było gazet z ostatnich miesięcy ani nawet lat! Tak jakby kobieta nie interesowała się nawet programem telewizyjnym, czemu zaprzeczał nowoczesny telewizor ustawiony na szafce przy oknie. Znalazł tylko kilkanaście starych tygodników „Film” i oprawiony szarym papierem rocznik kultowych „Przekrojów”, wciśnięte w róg między poszarzałą ze starości ścianą a kolubryniastą szafą kalwaryjską. Nigdy by ich nie odkrył, gdyby nie musiał przesuwać szafy – szczęście, że nie sam jeden. I właśnie wtedy...

– Chłopie, patrz się, a po cóż komu takie papierzyska?!

Paczka z papierami była sporych rozmiarów, a z kąta cuchnęło wilgocią i grzybem. Stronice gazet były wilgotne, napuchłe, a kurz pokrywający kartki rozlaźlił się pod palcami. Kazik pochylił się i dźwignął stertę, którą zamierzał od razu wyrzucić – tak śmierdziała.

– A ja tam wiem? Ludzie różne upodobania mają – skomentował Maurycy, jeszcze łapiący oddech po przeprawie z szafą, która najpierw nie chciała ruszyć z miejsca, a szarpnięta zgrzytnęła przeciągle i zachwiała się.

Oparli ją z powrotem o ścianę, a Maurycy, by chwilę odpocząć, zajął się wypakowywaniem z serwantki ułokowanej naprzeciw wysokich okien zasnutych kurzem kryształów.

– Połóż na stole, na tych gazetach – wskazał dłonią na zaścielony starymi „Kurierami Polskimi” blat. Trzy gazety pochodzące z wczesnych lat sześćdziesiątych i teraz te „Filmy” i „Przekroje” były jedynym świadectwem, że właścicielka mieszkania potrafiła czytać. Chociaż któż to wie?

Kazik zasnął gazety na stół i zajął się ważniejszymi sprawami. Maurycy, wychodząc, postanowił jednak wynieść stertę papieru chociaż do przedpokoju albo nawet wyrzucić – w pudle na rzeczy do wyrzucenia było jeszcze trochę miejsca. Gdy wrzucał je do pudła, spomiędzy zszarzałych ze starości stron wypadła czarno-biała fotografia pokryta brązowymi plamami. Zaciekawiony podniósł ją z podłogi i aż

wstrzymał oddech pod wpływem spojrzenia nieznanej dziewczyny, zjawiskowej, jak ze snu.

KAŻDA DROGA MA SWÓJ POCZĄTEK

1 stycznia 1962, przed południem

To się musiało skończyć!

Od momentu zdania matury i powrotu do domu Janina Królikowska miała wrażenie, że trafiła do więzienia o zaostrowym rygorze. Oczywiście mogła wychodzić z domu, nawet mogła spotykać się z koleżankami, a najlepiej z narzeczonym w obecności matki, ale cała bieda w tym, że koleżanki Janki rozjechały się po całej Polsce i do Oświęcimia zaglądały na krótko, a narzeczonego nie miała i na razie nie zamierzała mieć. Owszem, w szkole chłopcy się koło niej kręcili, miała w kim wybierać i nigdy ścian nie podierała, ale to wszystko była zabawa. Nic poważnego, na całe życie i dopóki śmierć ich nie rozłączy.

W noworoczne przedpołudnie Janka Królikowska zamiast wstać, umyć się i jak porządny człowiek – zjeść śniadanie z matką, nadal leżała w łóżku otulona ciężką pierzyną. Wzrok miała wbity w sufit i nie reagowała na ponaglenia dochodzące z kuchni. Musiała coś z tym zrobić, cokolwiek, ale szybko, zanim będzie za późno.

– Wstawaj w końcu, bo to wstyd tak się wylegiwać! – Zaczerwieniona od stania nad kuchnią Leokadia szarpnęła za pierzynę, zmuszając córkę do reakcji. Zdrowia już do tego dziecka nie miała. Pannica wyrosła, zrobiła się bezczelna, nic tylko by nad gazetami siedziała i czytała o tych bezwstydnicach, co to półnagie dawały się fotografować albo w filmach występowały. Miała ochotę splunąć, ale się powstrzymała. Żał spaskudzić wyfroterowaną podłogę.

– Już, już, nie rób tragedii, mamó! Inni ludzie czasem śpią cały dzień, tylko my musimy wstawać bladym świtem, ciągle harować, a i tak nic z tego nie mamy. – Janka ziewnęła ostentacyjnie i w końcu wygrzebała się z łóżka. Chciało się jej siusiu, a i zapach spoconego od długiego leżenia ciała nie sprawiał jej przyjemności.

– Ty już tak nie dyskutuj, pamiętaj, ja lepiej wiem, co ci jest potrzebne. Ty na razie jesteś za młoda i za głupia. A jak się nie podoba, to do roboty, towary na półkach układać... – Leokadia przerwała w pół zdania, widząc, jak twarz córki tężeje, a dłonie zaciskają się w pięści. Dziewczyna była zawzięta po ojcu, który zawsze chciał postawić na swoim i marnie na tym wyszedł. – Ja tak mówię, ale wiem, że ty masz inne ambicje. Tylko pamiętaj, że żyć trzeba, a w życiu nie ma nic za darmo. – Leokadia przytuliła do siebie córkę, czekając, czy będzie chciała się wyrwać z jej uścisku, ale Janka trwała w niewygodnej pozycji przytulona do matki, jakby zaskoczona jej ciepłem.

– Wiem, mamuś. Przepraszam, nie chciałam – wydukała dziewczyna pod nosem. Oby matka już ją puściła, bo teraz to musiała wstać. – Już się zbieram i zjemy razem, a potem... – Zastanowiła się, co powiedzieć. – A potem może pójdziemy razem na spacer, może na cmentarz?

Ze złością patrzyła, jak twarz matki rozjaśnia się niczym księżyc w pełni. Tak niewiele potrzebowała do szczęścia.

– Oczywiście, pójdziemy. Dobrze z ciebie dziecko, a ja tak marudzę dla twojego dobra. Pamiętaj! – Leokadia, postękując, z wysiłkiem wstała z łóżka.

Zapowiadał się całkiem przyjemny dzień.

1 stycznia 1962, wczesne popołudnie

Widział je z daleka, jak ramię w ramię wchodziły na teren cmentarza. Rozmawiały o czymś, stara Królikowska coś chyba tłumaczyła młodej, która ekspresyjnie potrząsała głową, co i rusz sięgając do kieszeni futerka po chusteczkę do nosa i pracowicie ocierając z oczu łzy.

Co ta stara znowu bajdurzy? Młodej nie było w Oświęcimiu przez pięć lat. Owszem, przyjeżdżała na wakacje, ale też często wyjeżdżała, podobno do rodziny. Urodziwa dziewczyna, przyciągająca uwagę. Może niezbyt lotna, ale to akurat nie problem. Gdyby tak nad nią popracować, na pewno z urody przypominałyby królujące w gazetach gwiazdy ekranu. Ale stara nie pozwoli, tego był pewny.

Odprowadził je wzrokiem, gdy zniknęły koło kaplicy. Sam skręcił w boczną alejkę, przy której czekał na niego niedawno wybudowany grobowiec. Jako człowiek samotny, pozbawiony w czasie wojny całej bliskiej rodziny, nauczył się żyć, pamiętając o śmierci. Zgrabiłymi z zimna rękami sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął z niej niewielki znicz. Po kilku próbach udało mu się zapalić knot, który teraz jaśniał chybottliwym światłem. Na cmentarzu powoli zapadała ciemność, rozjaśniana jedynie bladym światłem lampek. Otulił szyję ciepłym szalem, na uszy nasunął barankową czapkę. Sprawdzał kieszenie płaszcza, szukał w nich rękawiczek, które, był tego pewien, zabrał ze sobą. Niestety na razie pozostawało mu mało eleganckie trzymanie rąk w kieszeniach płaszcza. Kolejny rok za nim, kolejny przed nim. Pozostawało tylko żyć i robić swoje.

* * *

Zawsze robił to, co mu mama kazała. Tego dnia też nie protestował, tylko upychając w kieszeniach dodatkową kromkę chleba, wyszedł z domu. Zmrok już zapadał, gazowe latarnie byle jak oświetlały zasypane lepkiem śniegiem kocie bruki. Nikt nie kwapił się z odśnieżaniem, wiedząc, że za parę godzin będzie musiał powtórzyć pracę. Od domu do pracowni ojca było blisko, kawałek pod górkę i ledwie dwie ulice. W duchu uważał, że matka sama mogłaby zrobić to, o co go prosiła, a nie wyręczać się nim. Miał dopiero osiem lat i nie rozumiał, że matce tak łatwiej, chciała tylko potwierdzenia swoich domysłów, niczego więcej. Czekala, aż mały wróci do domu i opowie jej, co widział, a wtedy, jeżeli jej domysły były prawdziwe, zabije męża i zapomni, że kiedykolwiek nim był. O tym, jak cała sytuacja wpłynie na dziecko, nie pomyślała. Chłopiec zmarł, zanim doszedł do pracowni, w dziurawych butach chlupotała śniegowa bryja. Witryna ojcowskiej pracowni była zasłonięta drewnianą żaluzją, ale przez szpary sączyło się blade światło. Podszedł do okna i by trochę więcej zobaczyć, wdrapał się na poukładane w stertę kostki brukowe. Usiłując nie spaść z oblodzonego podwyższenia, przytknął oko do przestrzeni pomiędzy drewnianymi deszczkami i wstrzymał oddech. Nie rozumiał, co widzi, ale bardzo mu się to podobało.

1 stycznia 1962, wieczorem

Zjadły kolację i matka wyszła do sąsiadów, żeby wspólnie obejrzeć telewizję. Jedyny odbiornik telewizyjny w kamienicy nadal budził sensację i szczęśliwi posiadacze cudu techniki zamiast w spokoju spędzać wieczory, oglądając spektakle Teatru Telewizji i dobranocki, przyjmowali u siebie tabuny gości. Sąsiedzi, przycupnięci na przynoszonych ze sobą krzesłach, wymieniali się uwagami dotyczącymi przedstawień, popijali herbatę z wkładką i załatwiali między sobą interesy. Wiedzieli o sąsiadach więcej niż powinni. Na przykład to, że Królikowską od dawna stać na taki sam telewizor albo nawet na wyprowadzkę z tego pozbawionego podstawowych wygód lokum. Wiedzieli, że Miecio Kijek raz w miesiącu znika z domu po północy, a po powrocie chleje do upadłego i bije swoją starą, która odgraża się, że w końcu doniesie komu trzeba, ale tego nie robi. Dni po nocnej wyprawie Miecia to dla niej piekło i niebo jednocześnie, bo pojawiają się upragnione pieniądze i Mieciowa kupuje, co może, na zapas, żeby wykarmić dzieciaki, Miecia i siebie. Wszyscy mówią, że Miecio chleje, bo wyrzuty sumienia nie dają mu spokoju, ale kto go tam wie.

Janka nigdy nie zastanawiała się, czego mogłyby dotyczyć Mieciowe wyrzuty sumienia. Sąsiad był miły, odpowiadał na jej „dzień dobry”, kłaniał się matce i ogólnie wyglądał czasami tak, jakby go nie było. Tylko te awantury i nocne znikanie wyróżniały go z tej grupy ludzi przez absolutny przypadek skazanych na wspólne zamieszkiwanie na ulicy zwanej przed wojną Żydowską, a w czasie wojny Friedrich Strasse. To akurat wiedziała.

Świąteczny wieczór postanowiła przeznaczyć na spisanie postanowień noworocznych, tak jak to robiła w czasach szkolnych. Zwyczaj wprowadził profesor od matematyki, który co jakiś czas powtarzał im, że nawet nie zdają sobie sprawy, iż powodzenie wielu przedsięwzięć zależy od dobrego planowania. Że zanim zaborą się za pracę, która będzie wymagała czasu, wiedzy, cierpliwości, to powinni sobie wszystko zaplanować. Krok po kroku, żeby się nie pogubić. I w czasie tych prac nanosić korekty na plan, bo wiadomo, że okoliczności się zmieniają, i to też trzeba wziąć pod uwagę. Mając w pamięci skrzekliwy głos profesora Dulki, Janka pokonała lenistwo, wstała z łóżka i poszła do kuchni. W mieszkaniu było ciepło, płyta pieca nagrzana. Przytuliła się plecami do brązowych kafli i chwilę stała tak, absorbując ciepło całą sobą. Czula się dobrze i bezpiecznie, tak jak dawniej, gdy jeszcze żył tata.

Wlała wodę z garnka do czajnika i postawiła go na płytę pieca. Z szafki wyjęła niedzielną szklankę i wstawiła ją do srebrnego koszyczka z uchwytem. Otworzyła puszkę z kawą i przez chwilę przesypywała aromatyczne ziarna między palcami. Sprawiało jej to przyjemność. Przesypała ziarna do ceramicznego młynka pomalowanego w niebieskie kwiatki, pamiątki po babci Helenie, którą pamiętała jak przez mgłę. Mielila ziarna powoli, rozkoszując się spokojem pustego mieszkania, swoją dorosłością, bo tylko w dorosłym życiu można było pić kawę w święto. Wsypała kopsiastą łyżeczkę do szklanki i załała wrzątkiem. Ukroiła kawałek ciasta i tak zaopatrzona wróciła do pokoju. Z szuflady kolubryniastej komody wyjęła zeszyt do geografii – pamiętała, że zapisała w nim tylko kilka pierwszych stron, a reszta kartek była wolna. Tak było lepiej, matka na pewno grzebała w jej rzeczach, ale do zeszytów i książek ze szkoły nie zaglądała. Zaraz po zdaniu matury, gdy Janka jeszcze myślała, że

pójdzie na studia, matka kazała książki odsprzedać, a zeszyty spalić. Wtedy nie posłuchała, a matka jakoś się z tym oporem córki pogodziła i nie pytała.

Upiła łyk kawy i skrzywiła się, bo zapomniała posłodzić. Dosypała czubatą łyżeczkę cukru, zamieszała. Spróbowała ponownie, łapczywie. Zagryzła sernikiem, chłodząc poparzone ukropem gardło. Obok zeszytu leżało pióro, które dostała od matki przed maturą, zagraniczne, kupione spod lady w papierniczym. Co jakiś czas Janka sprawdzała, czy jeszcze pisze, czy atrament nie zasechł. Teraz też zanim postawiła w zeszytcie pierwszy znak, pokryła starą kartkę esami floresami. Na środek stołu przesunęła prawie pełną szklankę i talerzyk, kartkę zmięła i wrzuciła do pieca. Była gotowa, mogła zaczynać planowanie nowego życia.

TAKI PIĘKNY MAJ

2017

Telefon Maurycego rozdzwonił się w najmniej odpowiednim momencie, przebijając się przez warkot kosiarki. Maurycy ani przez moment nie przypuszczał, że koszenie dwudziestoarowego ogrodu może być aż tak wykańczające. Zbliżał się wieczór, a on jeszcze miał przed sobą kawałek terenu do wykoszenia. Przystanął, kosiarka przestała pracować, sygnał telefonu nasilił się.

– Kogóż to diabli niosą? – mruknął pod nosem rozeźlony. Może to Kazik, który po pracy w mieszkaniu Królikowskiej-Wnuk nie chciał zostać na noc u ciotki Kornelii, tylko półgębkiem poinformował chlebodawcę, że jednak woli powrót do swojej kawalerki. Golnie sobie, potem się wyśpi i jutro będzie jak nowy. Maurycy w końcu wysupłał telefon z kieszeni spodni i odebrał.

* * *

– Pamiętasz Sławka Ożegalskiego? – zwrócił się do ciotki Kornelii, która nie odrywając oczu od czytnika ustawionego na dużym garnku obróconym do góry dnem, mieszała coś w rondlu. Zapach kojarzył mu się z pomidorową, przypominając, że pora na późny obiad albo wczesną kolację.

– Pamiętam, przecież chodziliście razem do szkoły – potwierdziła ciotka. Zamieszała w rondlu i nakryła go szklaną pokrywką, w międzyczasie parszkając śmiechem.

– A co w tym zabawnego? – Maurycy popatrzył na ciotkę zdziwiony.

– Nic, to znaczy bardzo, ale Sławek nie ma z tym nic wspólnego. Po prostu książkę czytam i dobrze się bawię. Ale już, już, teraz przerwa. – Kornelia lubiła podrażnić się z bratankiem. – Umyj się, żebyś wyglądał jak człowiek, i przyjdź na obiad, bo nie wiem jak ty, ale ja jestem piekielnie głodna. A jak zjemy, to pogadamy – zarządziła.

* * *

– Czyli Sławek zrobił to, co powinien już dawno zrobić – ciotka jednym zdaniem skomentowała relację Maurycego, rozwlekłe opowiadającego o przejściu nadkomisarza na emeryturę i jego chęci współpracy z dawnym szkolnym kolegą.

– W zeszłym roku spotkaliśmy się na pogrzebie Jacka, pamiętasz go na pewno, no i potem zgadaliśmy się o pracy. Już wtedy wspominał, że chciałby jak najszybciej przejść na emeryturę, bo mu uszami wychodzi nie tylko to, co się dzieje w policji

i wokół, ale przede wszystkim ta bezkarność, to panoszące się bezprawie. Poczucie bezsensu, bo wiadomo, że każdy chce czuć sens wykonywanej pracy.

– Idealiści z was – zażartowała Kornelia. – Ale wiem, rozumiem i popieram. Jeżeli tylko się dogadacie, no i będzie robotą dla waszej trójki, bo nie zapominaj o Kaziku, to dłaczego nie. Zawsze to co innego niż ściganie przestępców i pisanie raportów. Chociaż też może mu nie pasować, bo to tylko prozaiczne sprzątanie. Niby dziedzina pokrewna, ale niżej ceniona niż praca w policji.

Maurycy przełknął ostatnie kęsy sznycła i sięgnął po kromkę chleba. Wylał nią talerz do błysku i zjadł. Popił herbatą, jak zawsze u cioci, która nie uznawała coli ani żadnych napojów ze sklepu. Tylko woda, kompot, herbata albo kawa i jak najmniej cukru. Otarł usta serwetką, odetchnął. Czuł się najedzony i najchętniej uciąłby sobie długą drzemkę, ale nie wypadało zostawić ciotki ze szczątkowymi informacjami.

– Mam wrażenie, że Sławkowi właśnie o to chodzi, żeby zmienić dziedzinę, żeby oderwać się od tych ciągłych śledztw i zależności. Bo w końcu nawet jak znajdzie przestępcę, ma ten swój sukces czy sukces zespołu, bo wiesz, że on zawsze najmniej podkreślał swoje zasługi, to i tak nie ma wpływu na to, co się stanie. Czy przestępca stanie przed sądem, czy zostanie przykładowie ukarany, czy wywinie się od kary i będzie im się śmiało w nos. A tego nikt nie lubi. Umówiliśmy się, że najpierw po prostu wybierze się ze mną na sprzątanie, raz, może dwa, i sam oceni, czy to dla niego. Oczywiście zapłacę mu za pomoc, ale też uważam, że lepiej będzie, jeżeli sprawdzi, czy nadaje się do tej roboty. Podobno może przebierać w propozycjach, tylko wszystkie inne dotyczą pracy w ochronie albo w charakterze detektywa. A on takiej roboty ma serdecznie dość, więc dlatego padło na mnie. I tak sobie myślę... – Maurycy zawiesił głos.

– Myślisz, że dobrze się składa, bo przy czyszczeniu mieszkania Królikowskiej przyda ci się ktoś z detektywistyczną żyłką – dopowiedziała Kornelia.

– Bingo, ciotuniu! – Parsknął śmiechem na widok przebiegłej miny starszej pani.

– Widzisz, jeszcze szare komórki pracują. – Ciotka malowniczo postukała się w czoło.

– Jak zawsze – skwitował.

– Sama jestem ciekawa, co jeszcze znajdziesz w tym mieszkaniu, bo że coś znajdziesz, to jestem pewna. Trochę odświeżyłam sobie pamięć, bo to jednak bardzo stara historia, ale interesująca. Zwłaszcza dla Sławka powinna być ciekawa, bo wiąże się z zaginięciem, a on ma rękę do rozwiązywania takich zagadek. – Kornelia lekko się uśmiechnęła.

– Tak jakbym ja nie miał – nadąsał się Maurycy, robiąc minę dziecka, któremu ktoś sprzed nosa sprzątnął deser.

– No już dobrze, nie przesadzaj! Biedna Janka czeka na odnalezienie od tylu lat, że w sumie, kto ją odnajdzie albo chociaż dowie się, co się z nią naprawdę stało, nie ma już dla sprawy znaczenia – ułagodziła Kornelia.

– A co się z nią stało? Bo myślałam, że nie żyje, przynajmniej tak zrozumiiałem, gdy opowiadałaś mi o tej Królikowskiej. – Maurycy spojrział na ciotkę pytająco.

Kornelia zaprzeczyła energicznie.

– Widzisz, Janka po prostu wyszła z domu w sylwestra sześćdziesiątego drugiego roku i nigdy nie wróciła. Jakby rozpułyła się w powietrzu. Matka szalała z rozpaczy, bo ponoć ostatni raz widziała córkę, jak ta wyszła z towarem do klientów. Królikowska nawet nie myślała kłamać, podobno sama szukała dziewczyny u tych ludzi, pewna, że Janka gdzieś się zasiedziała, ale gdy nie wróciła w Nowy Rok, to poszła i zawiadomiła milicję, że coś się musiało córce stać. Podobno szukali, ale ci ludzie, owszem, potwierdzali jeden za drugim, że Janka u nich była z odwiedzinami, ale od każdego wychodziła cała i zdrowa. Matka dawała ogłoszenia do prasy, oferowała nagrodę za

jakiegokolwiek wieści o córce, co powodowało, że niektórzy chcieli się wzbogacić i opowiadali jakieś bzdety. Ludzie mówili, że Janka wyjechała do Warszawy, żeby karierę w telewizji zrobić. Miała zdrowo pokręcone w głowie i myślała, że takiej dziewczynie z małego miasteczka uda się kariera w filmie. No, spora tu wina fotografa Zenobiusza Żaka, który podobno kręcił się wokół niej. Mnie też proponował pozowanie do zdjęć, ale mamusia, świętej pamięci, nie zgodziła się i zakazała Żakowi jakichkolwiek kontaktów ze mną. Postraszyła milicją, że doniesie, co on robi... – Ciotka westchnęła smutno, jakby z tęsknotą za tym, co się nigdy nie wydarzyło.

– A co on takiego robił? – zainteresował się Maurycy, a widząc pytające spojrzenie ciotki, doprecyzował: – Co robił ten pan Żak, że babcia Wiesia tak go pogoniła? Bo gdyby to były zwykłe zdjęcia, to przecież w każdym zakładzie fotograficznym cykali tak samo.

Kornelia Henk zagryzła wargi, zastanawiając się, co wie naprawdę, a czego tylko się domyśla.

– No? – Maurycy pogonił ją zwięźle.

– Co ja ci powiem? Zenobiusz Żak był dziwny, taki bardzo przedwojenny. Nosił się jak stary człowiek, ale wtedy nie miał jeszcze sześćdziesięciu lat. Pamiętam, że zdrabniał wyrazy, a w witrynie jego Atelier Miraż wisiały piękne zdjęcia kobiet upozowanych na gwiazdy filmowe. Dlatego tak zawrócił w głowie Jance. Ale która z nas nie chciała w tamtych latach trafić z uliczek swojego miasta na wielkie kinowe ekrany? Chyba każda. Zenobiusz Żak był zdolnym fotografem, to na pewno, ale trudno się dziwić, atelier odziedziczył po ojcu, który zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach. Nie wiem dokładnie, wtedy mnie te sprawy niezbyt interesowały. Być może mama nie chciała, żebym została sama z mężczyzną, ale w końcu mogłaby mi towarzyszyć w czasie zdjęć. – Kornelia westchnęła smutno. Trochę w duchu żałowała, że wtedy nie sprzeciwiła się matce. Miałaby pamiątkę na całe życie.

– A może on je gwałcił? Albo tak je mamił, że same szły z nim do łóżka? I dlatego babcia była na nie? – podsunął Maurycy. Wyobraźnia zaczynała mu pracować.

– A skąd tyś wziął ten gwałt? – Ciotka spojrzała na niego z oburzeniem. – Ty się tak nie podniecaj, naprawdę nie wiem na pewno, o co chodziło, ale gwałt wykluczony. Zenobiusz Żak był podobno starym kawalerem, cudem uratował się w czasie wojny, ale cała jego rodzina zginęła. Tak ludzie mówili, a pamiętaj, że to było małe, zapyziałe miasteczko obarczone wojenną traumą. Tu ludzie się znali, wiedzieli o sobie wszystko, ale nie wszystko mówili. A te kobiety ze zdjęć to przecież sama widywałam w kościele na mszy, w sklepach, mijaliśmy się na ulicy. Miały piękne fryzury, klasyczne rysy twarzy i były ubrane ciut lepiej niż ja na przykład, ale miały mężów, narzeczonych... Przecież gdyby tam się coś złego działo, to by huczało na mieście. Chociaż fakt, że Janka często chodziła do Atelier Miraż i w sumie nikogo to nie dziwiło. Wszyscy się przyzwyczaili.

– A może on ją uczył, jak zachowywać się przed obiektywem, jak zostać modelką? Taki dobry wujek.

Maurycy przyglądał się Kornelii z uwagą. Wyglądała tak, jakby szukała w pamięci prawidłowego określenia tego, o czym wiedziała. Marszczyła czoło, przymykała oczy, irytując się na własną niepamięć.

– Nie wiem, w każdym razie Janka zniknęła i tyle. Gdyby zrobiła karierę pod innym nazwiskiem, to w końcu ktoś by ją rozpoznał, nie wiem, w telewizji, gazecie, byłoby o niej głośno. To były dość siermiężne czasy, ale dostęp do kultury był i kto chciał, mógł czytać albo iść do kina, bo kino w mieście było. A dokładnie kino Przodownik.

– Pamiętam, jeszcze za dziecka chodziliśmy tam ze Sławkiem. Starzy jesteśmy. – Maurycy zaśmiał się gorzko.

– Ja bardziej – odparowała ciotka.

– Okej, nie będę się licytował. – Maurycy rozłożył ręce w geście kapitulacji. – Dzisiaj już nic nie wymyślimy, ale na jutro umówię się ze Sławkiem w mieszkaniu Leokadii i zobaczymy, co dalej. Wiadomo, poza robotą, którą mamy do zrobienia. A swoją drogą, oprócz waszego zdjęcia ze szkoły widziałem pozowane zdjęcie tej Janki i jeżeli zrobił je Zenobiusz Żak, to gość miał talent. No i modelka piękna. Nie dziwię się, że mierzyła wysoko – stwierdził z fascynacją w głosie.

Kornelia przyjrzała mu się uważnie, Maurycy wyraźnie był zafascynowany Janką. Niech to szlag! Mimo dużej zażyłości między nimi Kornelia dość ostrożnie mówiła o przyjaźni, zawsze ze sobą konkurowały i nawet po latach czuła na sobie drwiące spojrzenie koleżanki i ledwo słyszalny szept sączący się do ucha: „Myślałaś, że wygrałaś, bo żyjesz, a ja odeszłam. Ale to moja tajemnica zawsze będzie ciekawsza niż twoje życie. Zapamiętaj to sobie na zawsze. Mnie nie ma, ale bardziej jestem niż ktokolwiek. Trzeba było iść do atelier Zenobiusza i poznać jedną z jego tajemnic. Chociaż jedną. Ja poznałam ich więcej, niż powinnam...”

Kornelia potrząsnęła głową, jakby się obudziła po koszmarze sennym.

– Ciociu, wszystko w porządku? – zaniepokoił się Maurycy.

Kobieta zbladła, wargi jej drżały, głośno przełykała ślinę. Dopiero po chwili oprzytomniała i zapewniła, że nic jej nie jest. Nic, z czym sama nie mogłaby sobie poradzić.

Nie uwierzył jej, ale znalazł ją na tyle, żeby nie naciskać.

* * *

W mieszkaniu zrobiło się tłoczno. Gdy Maurycy z towarzyszącą mu Kornelią w końcu zaparkowali na Bulwarach, zdążyła minąć dziesiąta i czuli się spóźnieni. Gdy w końcu dotarli do kamienicy i nieco zdyszani wdrapali się po stromych schodach, zastali przed drzwiami pozostałych uczestników spotkania. Na pierwszy rzut oka widać było, że panowie nie zapalali do siebie sympatią. Maurycy dał pierwszeństwo ciotce, która aż paliła się, żeby po latach obejrzyć mieszkanie Leokadii, potem przepuścił Sławka, za nim Kazika, a w końcu sam wszedł, zamykając drzwi na klucz. Kolejnych ciekawskich nie potrzebowali.

– Inaczej to sobie wyobrażałam – stwierdziła Kornelia po kilkuminutowym obchodzie. Zaglądała wszędzie, dając upust nagromadzonej ciekawości. Pamiętała, że w momencie gdy Janka zginęła, Królikowskie mieszkały na Berka Joselewicza i Leokadia tutaj przeprowadziła się dużo później, chyba wtedy gdy zaczynało się wyburzanie starych domów. Ale stary kredens, serwantka czy okrągły stół nakryty dzierganą szydełkiem serwetą zapewne pamiętały czasy, gdy tak ona, jak i Janka były młodymi, pełnymi marzeń dziewczętami.

– Ta kobieta była chyba bardzo wierząca? – ni to stwierdził, ni zapytał Sławek Ożegalski, przyglądając się figurkom Madonny, ledwo mieszczącym się w trzech dużych pudłach.

– Straszna ta cisza, włącz radio. Albo ja włączę. – Kornelia podeszła do nowoczesnego odbiornika stojącego na nakastliku przy łóżku Leokadii. Nachyliła się, namacała sznur do kontaktu i włączyła. Modlitewne głosy zalały pokój, a Kornelia szybko wyłączyła fonię. – To już lepiej bez...

– Lepiej, bo musimy pogadać – wtrącił Maurycy. – Siadajcie i słuchajcie, bo mamy sporo roboty i mało czasu.

Posłuchali, sadowiąc się wokół okrągłego stołu i rzucając mu krótkie, pełne ciekawości spojrzenia. Nawet Kazik przestał się boczyc.

– Na dzisiaj sytuacja wygląda tak, że właścicielowi zaczęło się spieszyć. – Maurycy przeklinał w duchu na wspomnienie porannej rozmowy ze zleceniodawcą. Chociaż miała ona także swoje dobre strony.

Kornelia posłała bratankowi spojrzenie pełne zdziwienia i niemego zapytania, o co w tym wszystkim chodzi. W odpowiedzi Maurycy podniósł ramiona i pokiwał głową.

– Rozmawiałem rano ze spadkobiercą pani Leokadii Królikowskiej-Wnuk, Leszkiem Dębickim, i dowiedziałem się, że ma już chętnego na mieszkanie. Mamy czas do niedzieli, żeby zostawić tutaj puste ściany i oczywiście wysprzątane wewnątrz. Nabywcy nie zależy na odświeżeniu pomieszczeń, bo i tak będzie wszystko projektował od nowa. Mają tu być apartamenty dla turystów. Podobno ta sama firma kupiła już mieszkanie obok. Dlatego tak im zależy, no i na pośpiechu, żeby zdążyć, zanim zero się rozhuła i jeżeli nie zarobić, to wyjść na zero. Szybki interes, szybki zysk, zero sentymentów. Bratanek nie jest zainteresowany pamiątkami po starej ciotce ani tym bardziej nieznanej kuzynce. Próbowiałem podpytać, ale albo naprawdę wie niewiele, albo nie ma ochoty rozmawiać o sprawach rodzinnych. Tyle się tylko dowiedziałem, że jego dziadek był bratem Leokadii i mieszkał w Nowym Targu. On dziadka nie pamięta, ojciec mało co mówił, potem wyprowadzili się do Krakowa, w Oświęcimiu był dwa razy, żeby podpisać dokumenty spadkowe. Ale uwaga, mamy kolejne zlecenie. – Maurycy uśmiechnął się półgębkiem.

– O! Znowu tutaj? – jęknął Kazik, czkając przy tym sugestywnie.

– Przecież mówiłam, żebyś się zatrzymał u mnie!

– Ale jakoś nie teges, pani Kornelio... – mruknął zawstydzony Kazik.

– Na razie posłuchajcie do końca – zwrócił im uwagę zniecierpliwiony Maurycy. – Ciocia odwiedziła nas w charakterze siły doradczej, bo musimy postanowić, co z tymi gratami zrobić. Ale to zaraz. Sławek dołącza do naszej ekipy i jak mu zapał nie przejdzie, to zapowiada nam się dłuższa współpraca.

Ożegalski skinął głową na znak potwierdzenia. Na razie dobrze się bawił, a Maurycy zapowiadał sensacyjne wieści i prywatne śledztwo, którym miałyby się zająć. Nie dopytywał, znał Maurycego od podstawówki i wiedział, że zanim powie, to wszystko sobie przemyśli.

– Co do Kazika...

– Szef mnie zwalnia? Ale za co? – jęknął wywołany przed szereg.

Kornelia przewróciła oczami, a Maurycy ledwo powstrzymał parsknięcie.

– Jakbym się uparł, to byłoby za co, ale jak na razie całkiem dobrze się dogadujemy, więc nie wymyślaj, tylko słuchaj.

Widać było, jak z Kazika spływa napięcie, a na twarz wychodzi stały, nieco drwiący uśmiesek. – Uff, bo już myślałem... – Powachlował się ostentacyjnie.

– To nie myśl za bardzo, bo ostatnio coś ci nie wychodzi – zażartował Maurycy, a widząc zdziwione spojrzenie ciotki, złagodził ton. – Zaraz wam powiem co i jak. Otóż, na te kilka dni zostaniesz z nami, bo do wynoszenia tych kolubryn trzeba dużej siły i bez ciebie byłoby ciężko. Resztę załatwimy ze Sławkiem, a ty pojedziesz do Katowic, bo tam już czeka mieszkanie do odgruzowania. Obfotografujesz wszystko i przyslesz mi zdjęcia, to powiem od czego zaczynamy. Jak skończymy tutaj, podjedziemy na dzień, dwa do Katowic, żeby ci pomóc, a potem wrócimy, a ty sobie tam będziesz powoli odgruzowywał. Z tego, co klient nawijał, wynika, że to smród, brud i ubóstwo... oraz bardzo dobra lokalizacja. Ale to już nie nasz problem. – Maurycy poczuł, że zaschło mu w gardle. Przepił wodą mineralną i kontynuował: – Gdybyś nie wyrabiał, to daj znać. No i jak zawsze nie możesz przyjść do roboty nachlany, bo klient w każdej chwili może wpaść do mieszkania, a ja nie chcę problemów. Czy to jasne? – zapytał dobitnie.

– Jasne, jaśniecieńkie jak słońce. Jaki tam nachlany? Że człowiek sobie cośkolwiek gólnie, raz czy drugi, to jedno, ale nikt nie może powiedzieć, że jestem alkoholikiem – oświadczył gromko Kazik, a Maurycy, gdyby go nie znał, to zapewne by mu uwierzył. Ciotka tylko pokiwała głową z powątpiewaniem, a Ożegalski czekał, co będzie dalej, nieco już zniecierpliwiony celebracją alkoholizmu Kazika. No ale każdy zasługuje na swoje pięć minut.

– W takim razie spakuj mi, mój złoty, te gazety do jednego kartonu i co tam jeszcze znajdziesz ciekawego, wieczorem się temu przyjrzymy albo nawet po zakończeniu sprzątania, gdy będzie czas. A teraz tak... – Kornelia po kolei pokazywała, które meble zatrzymać, żeby przeznaczyć później do sprzedaży, które oddać dla biednych, chociaż teraz biedni mają nieraz bogaciej niż bogaci, więc najlepiej będzie oddać do Caritasu albo innej fundacji. Na szczęście przy domu Henków stał garaż na dwa samochody i w razie mogli tam wywieźć większość sprzętów. Tak na szybko, a potem pomyślą co dalej. Skoro miały tu zostać same ściany, to musieli usunąć wszystko, łącznie z wanną i sedesem. Okna zamierzali zostawić – tutaj kłaniał się zdrowy rozsądek.

* * *

Sławomir Ożegalski wracał do domu wykończony. Już nie pamiętał, kiedy przytrafił mu się tak intensywny wysiłek fizyczny. A przecież był wycwiczony, chodził na siłownię, pracował w ogrodzie, potrafił wbić szpadel w ziemię i przewieźć taczkę pełną gruzu. Pracował kiedyś przy budowie własnego domu, więc na pamięć znał wysiłek z placu budowy. Ale po pierwsze było to ponad dwadzieścia lat wcześniej, więc sił miał dużo więcej, a po drugie większość prac odbywała się na powietrzu, a nie tak jak tutaj, w zagraconym do granic możliwości mieszkaniu. Wprawdzie nie była to kłitka, tylko sześćdziesiąt metrów powierzchni, ale przesuwanie mebli, znoszenie ich po schodach i pakowanie do furgonetki, potem rozładunek w garażu pani Kornelii... No, jeżeli tak miałyby wyglądać ta robota, to musiał sobie decyzję przemyśleć. Był zadowolony, że Maurycy zostawił mu czas na podjęcie ostatecznej decyzji. Mógł jeszcze zmienić zdanie. Inna sprawa, czy tego chciał naprawdę? Bo chociaż fizycznie czuł się wykończony, to umysłowo odpoczywał. Zero stresu, chociaż przez chwilę panowała nerwowa atmosfera, gdy zdali sobie sprawę, jak mało mają czasu. Ale musiał przyznać, że kolega sprzed lat jest nadal świetnym organizatorem. Pamiętał Mauryczego z młodości. Z burzą ciemnych loków, wiecznie zamyślony, podobał się dziewczynom i był obiektem kpín chłopaków, którzy nazywali go panienką i przekręcali imię na Moryc albo Moryś. Maurycy Henk nie reagował na zaczepki, a jak już zareagował, to skończyły się kpiny. Nikt w klasie nie wiedział, że ta lebioda potrafi się bić i sprawić manto napastnikom. Nie jednemu, kilku. Obrotny, wysportowany, z czasem uzyskał to, na czym mu zależało, czyli święty spokój. Po szkole każdy poszedł w swoim kierunku i w sumie aż do spotkania nad grobem wspólnego kolegi wiedzieli o sobie tylko to, że żyją. No i ta robota... Podobno Maurycy wcześniej pracował w korporacji, ale miał dość i założył taką nietypową firmę. Nie ożenił się, rodzice dawno umarli. Już gdy się poznali w szkole, Maurycy był półsierotą, jego ojciec zginął w wypadku drogowym. Matka bardziej chyba wymagała opieki, niż opiekowała się synem, a ciotka Kornelia, młodsza siostra ojca, pracowała w Krakowie i w domu bywała rzadko. Więc Maurycy wychowywał się sam i był przyzwyczajony do tej samodzielności. Dopiero jak ciotka wróciła do miasta i osiadła na stałe, to wzięła bratanka pod swoje skrzydła. Uwielbiali ją, mimo że jako nauczycielka budziła postrach i od pierwszych lekcji wyrobiła sobie opinię piekielnie wymagającej i skutecznej. Najlepsza nauczycielka, jaką znał. Zawsze potrafiła im wytłumaczyć, o co chodzi w tej koszarnej matematyce.

Ożegalski westchnął i przyhamował przed bramą prowadzącą do jego domu. Przez chwilę zbierał siły, by wysiąść z samochodu z energią, a nie bolesnym jękiem. Fizycznie czuł się wypluty, ale rozsądek podpowiadał mu, że podjął najlepszą decyzję z możliwych. Czy tak było naprawdę? O tym miał się przekonać w niedalekiej przyszłości.

STYCZNIOWE PLANY

Styczeń 1962

Matka zasiedziała się u sąsiadów, więc Janka miała sporo czasu, żeby zaplanować nadchodzący rok. Nie chciała go stracić. Za chwilę będzie za stara, tyle dziewczyn codziennie pragnie zrobić karierę, a niektórym to się udaje i potem ona musi patrzeć na ich wyfiokowane fryzury i nachalnie sterczące biusty. Janka zapamiętała wpisywała punkt po punkcie do zrealizowania w tym roku.

„Mój kochany pamiętniku...” Czula, że brzmi to, jakby pisała mała dziewczynka, ale nie miała z kim porozmawiać, więc chociaż niech wszystko zostanie w pamiętniku. Ten ze szkoły miała na widoku, matka czasem go przeglądała, podziwiając wpisy i rysunki koleżanek i krzywiąc się na żartobliwe wpisy kolegów. Ale tak, tak będzie dobrze.

Mój kochany pamiętniku, zaczyna się kolejny rok, więc to najlepszy moment, żeby zaplanować moją wielką karierę. Wszyscy mi mówią, że jestem podobna do Brigitte Bardot, oczywiście gdy się umaluję, bo w normalnym, codziennym życiu matka by mnie zabiła, gdybym się wypacykowała – tak określa makijaż. Ale i tak jestem ładna i jak mi powtarzał Staś Głowacki, gdy spotykaliśmy się na strychu internatu, seksowna. Bardzo pociągająca i kusząca. Myślał, że jak będzie tak mówił, to go pocałuję. Więc szanse na karierę w filmie mam. Albo jako modelka w Modzie Polskiej. Widziałam te dziewczyny na zdjęciach i w Kronice Filmowej, jak paradowały sztywno, wyniośle. Wielkie panie! Ja potrafiłabym lepiej.

Ale wracając do rzeczy.

Planowanie kariery nie jest sprawą prostą. Bo przecież nie pojedę do Warszawy, Łodzi czy Krakowa goła, nie pójdę do Akademii Teatralnej i nie powiem ot tak, że znakomicie nadaję się na gwiazdę ekranu. Nie jestem głupia. Potrzebuję znajomości i pieniędzy. A nie mam ani jednego, ani drugiego. Pytanie, kto może mi pomóc? Czy mam tylko liczyć na cud?

1. Pieniądze – przecież nie ukradnę, muszę zarobić, no i odkładać każdy grosz, który dostaję od matki. Muszę się gdzieś zatrudnić, tylko gdzie? Na poczcie, w banku, w zakładach chemicznych? Nie, jednak nie. Jak pójdę do pracy, to matka i tak każe oddawać sobie wszystkie zarobki. Będzie wydzielala, a reszta do skarbonki.

2. Ćwiczyć role, tak, to ważne. Uczyć się na pamięć wierszy, ćwiczyć, gdy matki nie będzie. Dykcja też jest ważna, tak zawsze powtarzał nasz polonista Jabłoński.

3. Przypomnieć sobie słówka z francuskiego i rosyjskiego. Matka płaciła za lekcje francuskiego, może zgodziłaby się, żebym je kontynuowała? Kto wie, jak się życie

ułoży, może wyjadę za granicę albo znajdę męża obcokrajowca? Matka byłaby dumna, nosiłaby się jak paw. Zgodzi się. Tak myślę.

4. Muszę być na bieżąco ze wszystkim, co się dzieje w filmie. Pójdę zaprenumerować do pani Stasi „Film”, „Ekran”, może coś jeszcze? Może się uda, bo podobno dostaje ich strasznie mało, ale pani Stasia mnie lubi.

5. Kto w naszym miasteczku ma rodzinę w Warszawie albo w Łodzi? A może aktora w rodzinie? Rozpytać dyskretnie.

6. Powoli uwolnić się spod kontroli matki, wyjeżdżać na jeden dzień, do koleżanek. Wychodzić więcej z domu. Nic jej nie mówić, bo mi nie pozwoli. Ona niczego nie rozumie. Tylko ten handel i handel. Powinnam zdawać do filmówki, na pewno by mnie przyjęli, albo chociaż jakaś szkoła modelek, może jest coś takiego? Ale i tak nie miałabym za co żyć... Muszę zarobić!

Janka napisała ostatnie zdanie i jeszcze raz przebiegła wzrokiem bezładne notatki. Profesor Dulka raczej by jej nie pochwalił za ten rozgardiasz i życzeniowe podejście do przyszłości. Ale przynajmniej udało jej się określić zarysy działań. Coś postanowił. Chciała jeszcze dopisać kilka zdań, ale usłyszała głosy na korytarzu, więc szybko zamknęła zeszyt i pióro i w ostatniej chwili zdążyła wsunąć szufladę. Gdy zaróżowiona z emocji matka wchodziła do kuchni, Janka pracowicie przygotowywała kolację, jak najbardziej przykładna córka na świecie.

Leokadia Królikowska przystanąła w drzwiach i przez chwilę przyglądała się Jance, która z zapalem smarowała chleb masłem. Po chwili wiedziona odruchem podeszła i przytuliła córkę.

– Kochane dziecko jesteś. Naprawdę nie wiem, jakbym sobie bez ciebie poradziła – rzekła od serca i pocałowała Jankę w czoło.

Dziewczyna stała jak osłupiała. Od matki czuć było alkohol, ale elegancki, nie bimber. Nie wyglądała na pijaną, takie okazywanie czułości nie było jednak w jej stylu.

Janka próbowała się uśmiechnąć, w końcu wydukała niezbornie:

– Też cię kocham, mamo. – I nawet przez moment czuła, że to prawda. Chociaż nigdy matce tego nie mówiła, to przecież ją kochała i nawet tę karierę też chciała zrobić dla niej. Dla siebie przede wszystkim, ale także dla niej, żeby mogła pochwalić się córką, żeby jej sąsiadki zazdrościły. Tak, o to też jej chodziło. Dlatego musiała zrobić to, co sobie postanowiła. I nie zmieniać zdania. Będzie przyjeżdżać do domu, jak z innego świata, a ludzie będą szeptali za jej plecami i zazdrościli. Wiedziała, że to płytkie, że nie powinna tak myśleć, ale w końcu ona im pokaże! Za wszystkie upokorzenia, za to tak znienawidzone miejsce do życia.

Potem siedzieli przy stole i wspólnie jadły kolację. Leokadia z ożywieniem relacjonowała córce cały program telewizyjny i przekazywała sąsiedzkie plotki. Podobno znowu zaczynały się naloty na prywatną inicjatywę, nie wiadomo, jak długo pozwolą jej prowadzić sklep. No i córka Henków przyjechała do domu, ponoć jest prymuską na studiach. Któż to widział studiować matematykę? Ale podobno ona lubi, no i chciałaby zostać naukowcem, badania prowadzić. No żeby kobieta za badania się zabierała! A mąż, a dzieci, kiedy odchowa? Jak będzie stara, po trzydziestce? – wyrzekała Królikowska, popatrując chytrze na córkę. Chciała wydać ją za mąż, najlepiej za jakiegoś zaopatrowanego, handlowca z krwi i kości. Wtedy byłaby pewna, że Jance nigdy niczego nie zabraknie. Ale jak tak dalej pójdzie, to będzie musiała sama poszukać dla niej odpowiedniego męża. I nie młokosa, bo mają fiu bzdziu w głowie i tylko z nimi skaranie boskie. Ale o tym pomyśli później.

– Posprzątam, mamo. – Janka poderwała się od stołu i zaczęła zbierać naczynia. – Ty sobie odpocznij – poprosiła i przytuliła się do matki. Leokadia odetchnęła z ulgą. Nie

wszystko jeszcze stracone. Może i nie była najlepszą matką, ciągle zajęta ciulaniem grosza, ale córkę udało się jej dobrze wychować, mimo wszystkich przeciwności losu. Mogła być z siebie dumna.

* * *

Nela Henkówna tylko patrzyła, by jak najszybciej wyjechać z rodzinnego miasta. Wrócić do Krakowa i zagłębić się w matematyczne rebusy. Szybкими krokami zbliżał się czas egzaminów, a jej zależało na jak najwyższej średniej, żeby dostać przydział do akademika. Spanie na waleta u koleżanki było i tak niezłą opcją w porównaniu ze śmierdzącym naftaliną mieszkaniem ciotki Alberty. Wprawdzie to właśnie u ciotki miała się zatrzymać i w zamian za pomoc w sprzątaniu i gotowaniu mieć dach nad głową, ale koszmarny charakter krewnej sprawiał, że coraz częściej znikwała na noc i spała tam, gdzie było dla niej miejsce. Nie sprzyjało to nauce i Kornelia zdawała sobie sprawę, że długo tak nie pociągnie, a i ciotka coraz częściej odgrażała się, że zawiadomi jej rodziców o trybie życia ich córki. A to mogło się nieprzyjemnie odbić na jej finansach. Zatopiona w nauce, z poczuciem misji, nie zwracała uwagi na coś tak trywialnego jak pieniądze, które po prostu były. Dzisiaj zdała sobie sprawę, że w każdej chwili może zostać na lodzie, a wtedy nie ma zmiłuj, musiałyby udzielać korepetycji, a co za tym idzie, mieć mniej czasu na naukę.

Tak rozmyślając, prawie wpadła na Jankę Królikowską, która akurat wyszła zza winkła narożnej kamienicy. Janka odziana była skromnie, tylko jej szyję otulał kosztowny, złoty szal z moheru. Bardzo ekscentryczny. Stały tak naprzeciw siebie, nie bardzo wiedząc, jak się zachować. Zanim Kornelia opanowała zdziwienie, Janka wydukała: „Przepraszam, dzisiaj nie mogę rozmawiać” i bez dalszych wyjaśnień wymięnęła koleżankę. Po chwili zniknęła w bocznej uliczce, a osłupiała Kornelia postanowiła, że jeszcze tego dnia wyjedzie z Oświęcimia. Nawet jeżeli będzie musiała przez jakiś czas pomieszkać u ciotki. Dla niej liczyły się spokój i nauka.

ZGUBNA CIEKAWOŚĆ SZPERACZA

2017

Zagrabili jej garaż tak, że nie mogła do niego wjechać i musiała zostawić samochód na zewnątrz. Kornelia bardzo tego nie lubiła, ale cóż, tym razem musiała pójść na ustępstwa. Trzeba będzie szybko poszukać zbytu na te starocie. Całe szczęście, że szła moda na graty retro, więc można było jeszcze parę złotych na meblach zarobić. Wykończony Sławek Ożegalski pojechał prosto do domu i Kornelia obawiała się, czy były komisarz, a nawet nadkomisarz będzie w stanie jutro ruszyć jakąkolwiek częścią ciała. Ale to jutro.

Przygotowała kolację i zjedli w milczeniu. Maurycy był nie mniej wykończony od kolegi, a Kazik już wystartował w stronę Katowic – gnało go pragnienie, jak przypuszczała.

Z niechęcią spoglądała na sterty gazet, pamiętek zeszłego życia, zastanawiając się, czy wśród tej pokrytej kurzem góry makulatury nie znajdują się jej stare listy do Janki. Przecież kiedyś były sobie bliskie, przysyłały do siebie kartki z pozdrowieniami, listy z zapewnieniami o przyjaźni. Kornelia wiedziała więcej, niż chciała powiedzieć, ale wolała nie stwarzać możliwości do zadawania pytań. Bratanek bywał zbyt dociekliwy.

Maurycy czuł wszystkie mięśnie, nawet te, o których nie wiedział, że istnieją. Wziął szybki prysznic, zjadł kolację i sięgnął po rocznik „Przekrojów”. Wionęło od nich stęchlizną. Solidna księga, poczuł jej ciężar w nadwyreżonym ramieniu. Oprawiona przez introligatora, zawierała numery z rocznika 1962, poukładane skrupulatnie jeden na drugim.

– Zostaw to, weź lepiej odpocznij! – zwróciła mu uwagę ciotka, mrużąc oczy z niezadowolaniem. Dlaczego? Nie miał siły wnikać.

– Może masz rację, ale wiesz, ciekawość mnie zżera, co się stało z tą dziewczyną. Była taka piękna, nieco wyzywająca, a jednocześnie niewinna. Trochę dziecko, trochę kobieta, momentalnie przykuwająca uwagę. Codziennie patrzę na to zdjęcie i zastanawiam się, jak wyglądało jej życie... – wyrzucił z siebie Maurycy. Ze zdziwieniem dostrzegł cień na twarzy ciotki, która poruszyła się niespokojnie.

– Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, ale Janka była w moim wieku i miałyby teraz siedemdziesiąt pięć lat. – Głos starszej pani drgnął.

Maurycy spojrział na ciotkę zdziwiony. Zawsze mu się wydawało, że Kornelia nie przykłada wagi do upływu czasu.

– No i cóż z tego? Zapewne byłaby tak jak ty elegancką kobietą, dla której czas się zatrzymał – stwierdził pogodnie.

Położył „Przekroje” na stole i ruszył przy tym stertę pozostałych papierzysek. Część spadła na podłogę, wznecając kurz. Zakręciło mu się w nosie, kichnął z całych sił. Wylał nos, przełożył kilka „Filmów” i jakieś zeszyty. Historia, geografia, polski... Po cóż matka dziewczyny je trzymała? Przejrzał je pobieżnie.

Kornelia sięgnęła po te już przez niego odłożone. Kartkowała uważnie, jakby czegoś szukała, i odkładała rozczarowana.

– Dobra, wystarczy na dzisiaj – oznajmił znużony.

W sumie po co mu to było? Grzebanie w krótkim życiu nieznanym dziewczyny, która teraz byłaby starszą panią. A może ta Janka rzeczywiście gdzieś sobie żyje nieświadoma zamieszania związanego z zagadką jej zniknięcia? Może zwyczajnie wtedy poczuła, że ma dość, że po prostu rzuca życie w małym miasteczku i wyjeżdża gdzie oczy poniosą. Tylko sama czy z kimś?

Wstał, przeciągnął się. W kuchni panowała cisza, nawet lodówka przerwała swoje jednostajne mruczenie. Zapach grzanek łaskotał nozdrza, a Maurycy całym sobą czuł, że to właśnie tutaj jest jego prawdziwy dom. Ciotka milczała, zaczytana w pokrytych równym pismem kartkach zeszytu do geografii. Bładła przy tym, jakby uchodziło z niej życie.

– Na litość boską, Kornelio, co się stało?! – zareagował emocjonalnie.

Ciotka oderwała wzrok od zapisanej atramentem strony i półprzytomnie spojrzała na niego.

– Czekaj, zaczekaj chwilę... Muszę wrócić do rzeczywistości i jakoś sobie wszystko poukładać. – Powachlowała się, przyłożyła drżącą rękę do czoła. Powoli wracały jej kolory. – Uff, to takie dziwne... Czytam, niby nic takiego... niby wiedziałam, ale nie chciałam o tym pamiętać...

– Wykłady z geografii tak cię zafascynowały? – zażartował niepewnie.

– Nie, no skądże?! Tak przez przypadek trafiłam na zapiski Janki. Wiele z tego nie przyjdzie, bo to raczej takie notatki typu: kupić materiał na sukienkę, nauczyć się wiersza na egzamin, pojechać do przyjaciółki. No ale może ty coś z tego wyłuskasz, a najpewniej Sławek, bo on wie, czego szukać. Jedno jest pewne – Kornelia westchnęła gorzko – ona sobie to wszystko zaplanowała.

Maurycy zdębiał. Suche stwierdzenie ciotki pozbawiało zniknięcie Janki całej tej romantycznej otoczki.

– No jak to wszystko zaplanowała?

– Normalnie. Tak jak większość ludzi, Janka lubiła planować. Poza tym to wpływ profesora Dulki, a pamiętam, że Janka się w nim podkochiwała. Taki sympatyczny, kiedyś jak do niej przyjechałam, to udało mi się go poznać. Co się tak dziwisz? – prychnęła Kornelia, widząc zdumione spojrzenie bratanka.

– Nie przypuszczałem, że znaliście się aż tak dobrze.

Kornelia się zmieszała. Trudno, co się stało, i tak dalej...

– Znaliśmy się czy nie znaliśmy... teraz sama nie wiem. Chodziłyśmy do tej samej podstawówki, byłyśmy w tym samym wieku, prawie... no prawie się przyjaźniłyśmy. A w tym zeszycie Janka wspomina profesora, dlatego i ja go sobie przypomniałam – wybrnęła z kłopotu. – Zresztą masz, poczytaj sobie, może coś ci się poskleja w całość. – Pchnęła zeszyt w stronę bratanka. – Ja na dzisiaj mam dość przeszłości, idę coś poczytać i w kimono. – Kornelia wstała z twardego krzesła, wzdychając ciężko. Jeszcze nie jeden problem przed nią. Przed nimi. – Jakbyś mógł zmyć po kolacji...

– Jasne, możesz na mnie liczyć – wymamrotał Maurycy, nie odrywając wzroku od zeszytu. Na razie dziewczyna wyliczała, co będzie jej potrzebne do zrobienia kariery w wielkim mieście.

Nie umył naczyń, zafascynowany zwyczajnością wpisów. Położył się spać z głową ciężką od niespokojnych majaków, w których uśmiechała się do niego piękna blondynka uwięziona w niedużej gablocie wypełnionej zdjęciami. Jej zdjęciami. Obudził się nad ranem, wykończony psychicznie, jak po najcięższej rozmowie z kimś, na kim mu zależało. Kiedyś. Był przekonany, że nie uwolni się szybko od podrabianej Bardotki. Nie uwolni się, dopóki jej nie znajdzie. Albo, co pewniejsze, dopóki jej nie znajdą. Popełnił błąd na wejściu, ale kto nie popełnia... Tak właśnie, powinien wszystko wyrzucić do śmieci, bez przeglądania. Zgubna ciekawość szperacza. Co go obchodziły zapiski obcej, zapewne zmarłej wiele lat temu dziewczyny?

* * *

Ze sprzątaniem pustego lokum uwinęli się w terminie i Maurycy Henk czuł ulgę, zamykając ostatni raz drzwi do byłego już mieszkania Leokadii Królikowskiej-Wnuł. Wcześniej przejrzał wszystkie kąty, szukając jakichkolwiek pamiątek po Jance, ale już niczego nie znalazł.

Sławek Ożegalski z uwagą przekładał sterty gazet, zeszyty, wycinki i informacje o zniknięciu dziewczyny. Widać było, że matka nie szczędziła kasy na poszukiwania córki.

Kornelia wyszła na spotkanie z koleżanką, więc mogli spokojnie pogadać. Wprawdzie ciotka lubiła Sławka, a Maurycy mógł przyjmować, kogo tylko chciał, ale sprawa zaginięcia Janki Królikowskiej psuła atmosferę. Kornelia namawiała bratanka, żeby odpuścił i przestał grzebać w przeszłości. Nawet jeżeli jakimś cudem odkryje tajemnicę jej zaginięcia, to i tak życia jej nie wróci, a po co wracać do starych spraw i starych tajemnic? Czuł, że za tym cichym oporem ciotki kryje się kolejna tajemnica, której być może wolałby nie poznać. Uznał, że najlepiej będzie, jeżeli za sprawę zabierze się profesjonalista. Być może trafi na jakiś sensowny trop.

– No i jak myślisz? Co się mogło z nią stać? W tamtych czasach przecież było dużo spokojniej, mało samochodów, ludzie też się znali, nie to, co teraz. Ta obojętność... – Postawił na stole talerz z kanapkami i dzbanek z herbatą.

– O, dzięki! Ostatnio ciągle mnie ssie, jakbym sobie dietę zafundował. – Ożegalski dwoma kęsami pochłonął kanapkę i od razu włożył sobie do ust następną. Grał na zwłokę?

Jeżeli tak, to niech będzie – Maurycy też zapchał się chlebem z dodatkami i pracowicie przeżuwał.

– A wracając do tematu... – Ożegalski przełknął ostatnie kęsy, popił herbatą i od razu dolał sobie do kubka. – Też chcesz?

– Nie, dzięki.

– Wracając do tematu, najważniejszego, jak sądzę... – Ożegalski uśmiechnął się półgębkiem. – Przejrzałem, przeczytałem i myślę, że dziewczyna nigdzie nie wyjechała. Ona, i owszem, zamierzała wyjechać i przygotowywała się do tego dość rozsądnie, ale przecież wzięłaby chociaż jakieś ciuchy ze sobą. Z tych jej notatek wynika, że matka pieniędzy na szmatki nie żałowała. O nie... – Potrząsnął zdecydowanie głową. – Ona gdzieś tutaj jest.

Maurycygo przeszedł dreszcz. Zdecydowane „gdzieś tutaj jest” świadczyło, że ktoś pomógł dziewczynie w wyprawie na tamten świat. Całkiem inny, niż planowała.

Ożegalski pokiwał głową. Tak jak przypuszczał, jego zdecydowana diagnoza nie przypadła do gustu koledze.

– Nic innego ci nie powiem na już, ale...

– Co kombinujesz? – ożywił się Maurycy.

– Raczej rozważam jedną z opcji... bo wprawdzie od tamtych wydarzeń upłynęło ponad pół wieku i na archiwa milicyjne nie ma co liczyć, na pewno zostały solidnie wyczyszczone, ale byli milicjanci jeszcze żyją. Wiadomo, nie wszyscy i w różnej formie, ale mogę popytać. Bo w sumie, jak dla mnie, to najważniejszy jest ten papier, dokument zgłoszenia zaginięcia Janki, zamazany, ta kalka fioletowa, to było coś okropnego, no i pieczętka mało wyraźna, ale nazwisko da się odczytać. Byrdziak, Burdziak czy coś w tym stylu. Ja go sobie nie przypominam, ale jeżeli jeszcze żyje, to ma na pewno po osiemdziesiątce albo i więcej. To i z pamięcią może być różnie – zastrzegł Ożegalski, widząc ożywienie Maurycego. – Żeby było jasne, niczego nie obiecuję, ale spróbuję. Jeżeli to było morderstwo, to sprawcy też nie znajdziemy, bo pewnie od dawna leży w grobie, a i sprawa uległa przedawnieniu – skomentował rzeczowo.

– Tu bym dyskutował. Przecież mógł ją zabić rówieśnik.

– Cóż się tak uczył morderstwa? A może to wypadek był, nieszczęśliwy. Może nad rzekę poszła, na romantyczny spacer i jakieś nieszczęście się przytrafiło. Dopóki nie masz pewności, to raczej trzymaj się faktów i nie naginaj ich do własnej tezy, bo możesz się przejechać. Zadzwonię, popytam...

– Ale dyskretnie, żeby nie było sensacji, bo... – Maurycy umilkł pod ciężkim spojrzeniem kolegi. Jakoś od razu przypomniało mu się powiedzenie ciotki: nie ucz ojca dzieci robić, które w sumie nie miało większego sensu.

– Rób, jak chcesz, ale jeżeli naprawdę chcesz wyjaśnić, gdzie przepadła piękna blondi, to musimy zacząć od podstaw. I pytać tam, gdzie mogą nam odpowiedzieć. No, to by było na tyle. Muszę się zbierać, bo mnie żona z domu wyrzuci, jak tak dalej pójdzie. Dobrze kojarzę, że jutro jedziemy do Katowic? – Ożegalski ziewnął od serca. – Przepraszam, ale niedospany ostatnio jestem. Szczerze mówiąc, myślałem, że taka robota to pikuś, za jednym zamachem oblecę i w ogóle co za problem, a tu mi forma siadła i kwiczy – zażartował smętnie.

– Więc jednak nie reflektujesz na tę robotę? – zaniepokoił się Maurycy. Sławek rzeczywiście po tych kilku dniach pracy wyglądał na zmarnowanego.

– Nie no, w życiu! – Ożegalski zaprzeczył zdecydowanie. Zmobilizował się i wstał bez jęknięcia. – Ta robota jest super, tylko muszę się przyzwyczaić. Mózg mi odpoczywa, za nic nie jestem odpowiedzialny, jest świetnie! – włożył w to stwierdzenie resztki entuzjazmu.

– To jak jest świetnie, to ty jutro powiesz, gdzie trzeba, a ja przejadę się do Katowic i ogarnę tamten rozpiardolnik. Widziałeś zdjęcia?

Ożegalski zaprzeczył.

– To spójrz, nasza Leokadia to małe miki przy tym, co się tam wyrabia. Już zamówiłem kontenery na gruz i odpady, Kazik zamontuje rękaw i lecimy. Tam się nie ma co patyczkować. Potem trzeba odkazić, przelecieć grzybobójczym i reszta nas nie interesuje. A ty tu niuchaj.

– Okej, szefie.

– Ty mi tu nie szefuj, boś nie Kazik – obruszył się Maurycy. Nie był do końca pewny swojego wyboru, gdy proponował dawnemu koledze pracę, a jednak musiał teraz przyznać, że był to strzał w dziesiątkę. Zamyślony przyglądał się, jak Ożegalski wsiada do samochodu i wykręca na wjeździe. Cechowała go pewność siebie starego wyjadacza, który zawsze panuje nad sytuacją. Jeżeli nie znajdzie żadnego tropu prowadzącego do wyjaśnienia tajemnicy Janki Królikowskiej, to znaczy, że nikt tej tajemnicy nie rozwikła.

Był już u siebie na poddaszu, gdy wróciła Kornelia. Słyszał, jak krząta się energicznie w kuchni, zadowolony, że posprzątał wszystkie ślady obecności kolegi. To było dziwne uczucie, trzymać coś w tajemnicy przed ciotką, ale czuł, że dalsze węszenie

by ją zabolalo. Będa węszyc w tajemnicy. Zdjęcie Janki wlozył do książki, którą zamierzał przeczytać. Może za jakiś czas.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ZIMOWA MAGIA ATELIER MIRAŻ

Styczeń 1962

Wszystko zaczęło się od tego nieszczęsnego upadku. Mokra prawie do skóry, marzła w drodze do mieszkania, ślizgając się na oblodzonych schodach. Józek Widłęga zaprowadził ją pod drzwi, szarmancko odebrał obtłuczone wiadra i po kilkunastu minutach wrócił z wodą. Ciężko się pompowało, ale poradził sobie. Przymknęła, że następnym razem przyjdzie do niego i poprosi o pomoc. Chłopak miał ochotę zostać, ale Janka wytłumaczyła mu, że matka może wrócić w każdej chwili, więc musi szybko się przebrać i zatrzeć ślady wypadku. Przecież tak jak ona nie chciałaby niepotrzebnie martwić Leokadii. Dlatego poprosiła go o dyskrecję – im mniej ludzie wiedzą, tym lepiej. Wyszedł ze smętną miną, pocieszony zgodą Janki na doraźną pomoc. Podkochał się w niej od lat, ale właśnie teraz zdał sobie sprawę, że szansę u niej nie ma. Janka traktowała go jak dobrego kolegę, życzliwie, ale obojętnie. Smętny powlókł się do siebie.

Poszedł. Wreszcie! Przekręciła klucz w zamku, bo rzeczywiście matka mogła przyjść w każdej chwili. W mieszkaniu było ciepło i przytulnie. Oparła plecy o nagrzane kafle i grzała się tak długo, aż poczuła, że parzy. Futerko powiesiła na krześle, które ustawiła przy samym piecu. Miała nadzieję, że szybko wyschnie. Zdjęła stare kozaki i też postawiła je obok pieca. Zaraz wypcha je w środku zgniecionymi gazetami, szybciej wyschną. Matce powie, że stare, to przemokły, i już. Zsunęła z nóg nylonowe pończochy – nadawały się tylko do wyrzucenia, zbyt podarte, by mogła pomóc repasacja. Przebrała się w domowe ubranie: ciepły, wełniany sweter i spódniczkę w kratkę, krótszą, niżby sobie matka życzyła, ale przynajmniej modną. Na nogi naciągnęła bawełniane rajtki – nie lubiła ich, ale nie miała innego wyjścia. Po godzinie nie było śladu po katastrofie i mogła zająć się przygotowaniem obiadu.

Do Atelier Miraż Zenobiusza Żaka wybrała się po kilku dniach, skrzętnie ukrywając w torebce żółte cudło. Tłumaczyła sobie, że po prostu musi zwrócić pożyczony szalik, chociaż najchętniej zatrzymałaby go dla siebie. Postanowiła, że kupi sobie podobny – przecież było ich stać.

Skrzypnęły stare drzwi, zabrzączał wiekowy dzwonek, a stojący w kącie naprzeciw wejścia duży zegar zaczął odliczanie do południa. W pomieszczeniu panował półmrok, nad pokrytą wytartym dywanem podłogą unosiły się drobinki kurzu. Janka stała przez chwilę w otwartych drzwiach, z fascynacją obserwując, jak wpadające do wnętrza zimowe słońce odsłania pokłady wieloletnich zaniedbań. Nigdy szczególnie nie lubiła porządków, ale tym razem miała ochotę chwycić za ścierkę. Może by posprzątać

w podziękowaniu za pomoc? – pomyślała prostopadłościennie. Zdziwiona wodziła wzrokiem po ciemnozielonych ścianach wypełnionych portretami znanych oświeceniowych rodzin. Wszystkie oprawione w jednakowe drewniane ramki, prezentowały się godnie.

Zamknęła drzwi, by do środka nie wpadało zimne powietrze poranka. Otulił ją mrok, przyciębiający i przywodzący, nie wiadomo dlaczego, opowieści matki o wojnie. Pamiętała, że Atelier Miraż powstało pod koniec dziewiętnastego wieku i przez wiele lat prowadził je ojciec obecnego właściciela, a po jego śmierci przejął je jego żona. Oboje zmarli na długo przed wybuchem ostatniej wojny, a resztę rodziny fotograf stracił w czasie okupacji. Kim był, kim byli ci utraceni? Tego nie dociekała, a matka nigdy do tematu nie wracała.

Zamyśliła się tak, że nie usłyszała, jak w przejściu pomiędzy właściwym atelier a poczekalnią stanął Zenobiusz Żak. Mężczyzna skupił spojrzenie na bujającej w obłokach pannie i po chwili odchrząknął aktorsko.

– Jakże to miłe, że mogę powitać panienkę w moich skromniutkich progach – wydekłamał, kłaniając się przesadnie. Uwielbiał się popisować, zwłaszcza przed osobami, które nie miały pojęcia, kim jest. Tak jak ona. Tak jak większość. On po prostu był, żył w tym miasteczku, miał swoją legendę i nie zamierzał w niej niczego zmieniać.

Dziewczyna spojrzała na niego zdziwiona. Takie zachowanie kojarzyło się jej raczej ze spektaklami teatralnymi, a nie ze zwykłym, choćby i grzecznym, przywitaniem. Niemniej nie zamierzała protestować i starając się utrzymać styl fotografa, dygnęła dworsko i odpowiedziała grzecznie:

– Dzień dobry, przyszedłam podziękować za okazaną pomoc i oddać szal. – Pochyliła głowę, sięgając do torebki. Z jej wnętrza wyjęła bijący w oczy kłęb żółci. – Proszę. – Podeszła kilka kroków i położyła szal na ladzie. – Naprawdę bardzo dziękuję, bardzo mi pan wtedy pomógł. To ja już pójdę. – Skłoniła się i ruszyła ku drzwiom, nadal mając wrażenie, że uczestniczy w jakimś dziwnym przedstawieniu, które miesza się ze zwyczajnym życiem.

– Panienska zaczeka – dobiegło do niej stłumione zaproszenie, gdy już naciskała klamkę. – Może moglibyśmy porozmawiać?

Zenobiusz Żak przytrzymał się ręką o ladę, przygarbiony, jakby wykrztuszenie kilku słów sprawiło mu fizyczny ból. Dziewczyna zawahała się. O czym mogliby rozmawiać? Wtem uświadomiła sobie zawód starszego pana i drgnęła. Bo faktycznie, mogliby porozmawiać. Wzięła oddech i uśmiechnęła się skromnie, spuszczać oczy.

– Porozmawiać? – zapytała, pilnując, by w jej głosie brzmiała odpowiednia doza zdziwienia.

– Tak, porozmawiać. Zapraszam na herbatę, mam dobrą, angielską – kusił ją. – Nie obawiaj się, ty mnie zapewne nie pamiętasz, ale jak byłaś dzieckiem, to twoja mama przychodziła tu z tobą. Na pewno w albumie masz zdjęcia, które wam robiłem. Już jako dziecko odznaczałaś się urodą, ale cóż w tym dziwnego, skoro twoja matka była prawdziwą pięknoscią, tak jak ty teraz.

Fotograf wyprostował się, tak jakby odzyskiwał siły, a Janka czuła na sobie jego lustrujące spojrzenie. Było to krępujące, a jednak przyjemne. Uświadomiła sobie, że skoro chce zrobić karierę w filmie, to musi się przyzwyczaić do takich spojrzeń. Musi się przyzwyczaić do wielu rzeczy, nawet jeżeli jej się nie będą podobały. Przypomniała sobie kapitana Ożegalskiego z lokalnej jednostki wojskowej, który też obrzucał ją podobnym, taksującym spojrzeniem. Gdyby był wolny, to być może przez moment zastanowiłaby się, czy nie byłaby to przydatna znajomość, ale kapitan był żonaty i spodziewał się kolejnego potomka. Janka widziała niedawno jego żonę, jak z wielkim brzuchem stała w długiej kolejce po chleb. Dziwiła się, bo podobno wojskowi mieli swoje sklepy, ale Julka, która znała się z kapitanową, wyjaśniła, że Emilka (tak miała na

imię) ma swój honor i chce żyć jak inni ludzie, żeby jej nikt palcem nie wytykał. Więc stoi w kolejkach, ale też często ktoś jej miejsca ustąpi, zagada, to w sumie nie narzeka. A kapitan nie musi wiedzieć o wszystkim. Janka westchnęła żałośnie – jak już ktoś sensowny, to zajęty.

– Proszę, proszę, zapraszam do mnie. – Zenobiusz Żak odsłonił zieloną, aksamitną kotarę oddzielającą poczekalnię od atelier. – Niech panienska uważa na sprzęty, żeby nie uszkodzić, tak, proszę, tędy. – Prowadził ją pomiędzy stanowiącymi scenografię zdjęć zabytkowymi fotelami, kolumnami jak z podręcznika o starożytności, bukietami kwiatów i naturalnych rozmiarów psem. Podłogę zaściewał elegancki dywan w perskie wzory, a przy białej ścianie królował aparat fotograficzny na wysokim stojaku. Naprzeciw, pod oknem, wciśnięta była sofa okryta futrem z jakiegoś zwierzęcia, Janka nie była pewna – może to lisy albo jenoty. Matka zakładała na święto futro z nutrii albo sztywny kozuch, który przywiozła kiedyś od wujka z gór, a ona miała tylko futerko z królika. O eleganckich karakulach albo niebotycznie drogich norkach mogła tylko pomarzyć. Ale po co w pracowni fotograficznej sofa? No tak, te zdjęcia rodzinne, zapewne po to – wytłumaczyła sobie szybko.

Zenobiusz Żak przystanął i kluczem otworzył kolejne drzwi. Gestem zaprosił ją do środka, a kiedy stała, wahając się, czy skorzystać z propozycji, ponaglił:

– Niech panienska wchodzi, tutaj mam wszelkie utensylia do przygotowania herbaty. Przecież stary człowiek ze mnie, nic paniencie nie zrobię – zapewnił, a ona posłuchała.

To przedpołudnie zapisało się w jej pamięci jako ciąg zaskoczeń. Powinna wtedy zrezygnować, dygnąć grzecznie, teatralnie, podziękować za doskonałą prawdziwą herbatę, gatunku Earl Grey, jak zapewnił pan Żak, i po prostu wyjść. I zapomnieć o wszystkim. Ale, naiwnie, właśnie wtedy po raz pierwszy pomyślała, że jej marzenia mają szansę się spełnić. Kiedy, jeśli nie teraz? Jak będzie stara i zgorzkniała?

Umówiła się z Zenobiuszem Żakiem na sesję próbną. Chciał sprawdzić, jak wychodzi na zdjęciach, czy jest tak samo fotogeniczna jak jej matka. Dopiero wtedy mieli się zastanowić co dalej. Z Atelier Miraż wyszła ze schowanym pod płaszczem numerem „Przekroju”. Fotograf zauważył, że dziewczyna jak zauroczona wpatruje się w zdjęcie Brigitte Bardot upozowanej na młodego dandysa – kolejna rola uwielbianej gwiazdy. Od razu zauważył podobieństwo i żeby zaskarbić sobie życzliwość dziewczyny, zaferował czasopismo. Miał teczkę w kiosku i mógł po przeczytaniu odstąpić jej gazetę. Niech się panna trochę doksztalci.

Zdążyła wrócić przed samym przyjściem matki. Zrzuciła z siebie futerko, dołożyła do ognia i postawiła na blasze garnek z wcześniej obranymi ziemniakami. Pomidorowa była gotowa do odgrzania, jeszcze tylko surówka i przygotowane przez matkę kotlety. Co dwa tygodnie znajoma ze wsi dostarczała zamówiony towar, dzieląc się nadwyżkami ukrywany przed kontrolą. Wszystko, co wyhodowane, musiało iść do skupu, ale rolnicy mieli swoje sposoby na omińnięcie przepisów i niejeden świniać spisany jako padły zasilą gotówką kieszenie właścicieli, weterynarza i obeznanej z miastowym handlem baby, radując podniebienia miłośników mięsa. Janka bez mięsa mogła żyć, w internacie dni z kawalkiem chabaniny należały do wyjątków, a jakość mięsa raczej odstraszała, niż przyciągała, i Janka wolała dokupić dziesięć deko szprotek, niż jeść takie tłuste świnstwo. Ale kotlety przygotowane przez matkę na dobrym smalcu smakowały jej i nie miałyby nic przeciwko temu, żeby jeść je częściej.

Po obiedzie, gdy już zmyła naczynia, a matka odetchnęła znudzona po pracy, postanowiła dopytać o zdjęcia.

Matka położyła się na leżance w kuchni, ustawionej przy samym piecu, uprzedzając, że chciałaby pospać godzinę albo dwie. Potem wybierze się do sąsiadów na Kobrę, może Janka by z nią poszła?

Janka przytaknęła. Dlaczego nie miałyby obejrzeć Kobry? Zobaczy tych, którym poszczyściło się na ekranie.

Miały w domu dwa albumy. W starym matka trzymała zdjęcia rodzinne – pradziadkowie Janki siedzący w ogrodzie, kobiety w chustkach na głowach, długich do ziemi spódnicach, z zaciśniętymi ustami, jakby były obrażone na cały świat i wędrownego fotografa. Podobno kiedyś fotograf chodził od wsi do wsi i fotografował takie rodziny przed domami, na ławeczkach przy płotach. Żeby chociaż jedno zdjęcie pozostało dla potomności. Janka z upodobaniem przyglądała się ubiorom mężczyzn, były elegantsze niż kobiet. Pradziadek Eustachy Komornicki w meloniku, surducie i wyglansowanych butach w przedziwny sposób dawał jej poczucie bezpieczeństwa, chociaż nie miał pojęcia o jej istnieniu, zmarł po zakończeniu Wielkiej Wojny, jak matka nazywała pierwszą wojnę światową. Dziadek Bonifacy – elegancki, z laszczką i małym pieskiem. Na jego kolanach siedziała mała dziewczynka spoglądająca ponuro w obiektyw. To jej mama, mała Leokadia, Leosia, jak mawiał dziadek. Zdążyła go zapamiętać, gdy ostatni raz był u nich w domu. Gdy wychodził, usłyszała, jak mówi do matki ściszym głosem: „Ty się, Leosia, niczym nie przejmuj, wszystko pójdzie na ciebie. On nie ma żadnych praw, niczego nie udowodni. Na razie masz, schowaj na czarną godzinę”. Dziadek wcisnął mamie coś do kieszeni blazera, uśmiechnął się do wnuczki i wyszedł. Nazajutrz dowiedziały się, że nie żyje. Podobno spadł ze schodów w swoim domu i jak obrazowo określili to milicjant, skreślił kark. Janka westchnęła żałośnie, ocierając czającą się w kąciuku oka łzę. Nic nie poszło na mamę, dom przeszedł na kogoś obcego, podobno dziadek miał długi. Nie zobaczyły ani jednej pamiątki po nim. Więc jedynie to zdjęcie i tamte pieniądze... Janka czuła, jak w pamięci otwierają jej się kolejne szufladki, a domysły łączą się z faktami. W wolnej chwili musi odnaleźć dom dziadka Bonifacego. Stary album pełen był zdjęć ludzi, o których wiedziała niewiele albo zgoła nic. Może matka zapamiętała więcej? Musi dopytać.

Nowy album pachniał skórą, w którą był oprawiony. Janka bardzo lubiła ten zapach i zawsze najpierw ją obwąchiwała. Trochę zdrętwiała od siedzenia na podłodze przy szafce, więc pobierała albumy i jakieś dodatkowe pudełko, w którym zobaczyła zdjęcia włożone luzem, i wszystko przeniosła na łóżko. Odsunęła pierzynę, poduszkę oparła o ścianę. W pokoju było ciepło i przytulnie, tykanie zegara zamiast drażnić, dawało jej poczucie ładu i bezpieczeństwa. Janka oparła się plecami o poduszkę, nogi okryła kocem i sięgnęła po album. Przewracała stronę za stroną, wypatrując zdjęć matki, o których mówił jej fotograf. Bezskutecznie. Na zdjęciach widziała swoje dorastanie – od niemowlęcia odzianego w sztuczne futerko z misia, podobno różowe, ale tego na zdjęciach nie było widać, poprzez zdjęcie trzylatki dumnie huśtającej się na koniku na biegunach, potem czas szkoły i dwa cienkie warkoczki zwisające smętnie nad ramionami, zakończone wielkim kokardami, oczywiście zdjęcie z komunii, w góralskim serdaczku, który matka nadal trzymała w szafie, przekonana, że przyda się dla przyszłej wnuczki. Zdjęcia zbiorowe z koleżankami i kolegami z klasy, znowu te warkoczki, chłopcy z ulizanymi fryzurami. Najbogatsza z nich, córka notariusza, patrzy w obiektyw z widocznym lekceważeniem. Wyglądają przy niej jak dzieci biedy. I tak się czują. Janka skrzywiła się. Jeszcze pokaże bogacze, czyje na wierzchu. Zdjęcie na zakończenie ósmej klasy i to z wczasów w Łądku Zdroju, z roześmianą Leokadią. Janka z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że rzadko widuje uśmiechniętą matkę. Raczej zatroskaną, ze zmarszczonym czołem.

Album kończył się zdjęciami Janki z matury – skupionej, skoncentrowanej na zadaniu, żeby tylko zdać. Skończyć szkołę i iść na studia. Co ona tutaj robi? Na litość boską! Musi coś zmienić i to na już, bo zmarnuje kolejny rok. Może gdyby zaproponowała matce, że będzie zdawać na ekonomię, na coś potrzebnego w życiu, to

by się zgodziła? Nie zamierzała rezygnować z marzeń – co to, to nie – ale mogła je zrealizować w inny sposób. Zdjęć matki, które mogłyby być dowodem jej dawnej urody, nie znalazła. Czyżby Zenobiusz Żak kłamał? Ale jak się tego dowiedzieć? Przecież nie zapyta matki wprost, bo zabroni jej kontaktować się z tym dziwnym starszym panem.

Sięgnęła po pudełko wypchane niewielkimi zdjęciami i zaczęła się im przyglądać, przybliżając do oczu, tak były małe i niewyraźne. Rozpoznała matkę, w towarzystwie jakiegoś mężczyzny, ufnie do niego przytuloną. Nie wiedziała, kim był, ale zdjęcie odłożyła. Odetchnęła i spojrzeniem powędrowała w kierunku fotografii ojca oprawionej w srebrną ramkę. Uśmiechał się na nim łobuzersko, wiecznie młody, do śmierci przystojny i beztrojski. Bardzo za nim tęskniła. A matka o ojcu mówiła tak rzadko, że prawie wcale, czasem tylko na cmentarzu wspominały wspólne chwile.

– Oj, tatusiu... – westchnęła z serca. – Gdybyś tylko żył, wszystko ułożyłoby się inaczej. Nie żęby narzekała, o nie, ale z tobą na pewno wszystko byłoby łatwiejsze. I może zabawniejsze?

Za drzwiami usłyszała kroki matki, Leokadia wyszła do toalety na korytarz. Miała niewiele czasu, żeby zebrać te wszystkie fotografie i schować je, zanim matka wróci.

* * *

Za oknem zapadł zmrok, lampy błysnęły światłem, tak jak wtedy, gdy na polecenie matki śledził własnego ojca, coraz bardziej zafascynowany tym, co rozgrywa się przed jego oczami, jak teatr cieni. Nie wszystko rozumiał, ale czuł się, jakby zawarł z samym sobą milczące porozumienie, i na pytania matki odpowiadał ogólnikowo albo wręcz kłamał. Tak, mamusiu, tatko był w pracy, tak, zakład był otwarty, sam widziałem, jak ludzie wchodzili. Jacy ludzie? Matka pytała z wyczuwalnym napięciem, ale on już wiedział, o co jej chodziło, i odpowiadał niewinnie, że jakiś dziadek z wnuczkiem, dwie panie, ale takie starsze, mamusiu. Tatus ciężko pracuje. Czasem wyjeżdżał z ojcem na objazd okolicznych wsi. Pakowali się na furmankę pana Waldka, który woził węgiel i piasek, i na cały dzień wyruszali przed siebie. Te wyjazdy pomagały im przeżyć. Czasem zamiast pieniędzy przywozili ziemniaki, kury albo gęsi, miskę podrobów do spróbowania albo wianek wiejskiej kielbasy. Jak się zdarzyło. A i pan Waldek przy nich nie krzywdował. Matka kurę albo inszy drób pchała do kurnika, żeby zanim zjedzą nieszczęsną kurę, jakiś z niej pożytek był i jajek naniosiła. Co jakiś czas zapadał wyrok śmierci i matka, zaciskając zęby, z siekierą w dłoni, szła wykonać egzekucję. Ojciec zniknął na cały dzień z domu, jako delikatny artysta cierpiał i jak twierdził, nie mógłby skrzywdzić nawet zwierzęcia. A tak po prawdzie, po prostu brzydził się kurnikiem, kurami i zwykłą pracą, którą matka wykonywała za niego.

Od zimy minęło sporo czasu, buty już mu nie namakały, a i sterty śniegu zdążyły stopnieć. Zorientował się, że podglądanie ojca weszło mu w nawyk i czeka na kolejne seanse bez słów. Z czasem zaczął rozumieć, co widzi, i podniecało to nie tylko jego wyobraźnię, ale także ciało. I marzył, że tak jak tata on też będzie stwarzał od nowa kobiety, stawiał je przed obiektywem aparatu i pokazywał światu. Takie małe, intymne marzenie – grzeszne, ale jakże podniecające. Był inny, ale niepowtarzalny, i tylko to się dla niego liczyło.

DZIEWCZYNA Z ZAPOMNIANEJ ULICY

2017

O szóstej trzydzięści słońce zaczynało grzać szyby, a przerwany koniecznością zaspokojenia potrzeby fizjologicznej sen nie wracał. Sławomir Ożegalski nigdy nie należał do skowronków, raczej zawsze podkreślał, że ma więcej wspólnego z sowami, ale nic na siłę. Zwłaszcza że czekało go interesujące śledztwo. Chwilę trwało, zanim uświadomił sobie, że będzie je prowadził jako prywatny detektyw. Może nie amator – zamierzał wykorzystać całą swoją wiedzę i znajomość prawideł obowiązujących podczas dochodzenia, ale o ile w przypadku sprawy napadu na sklep jubilerski mieli szansę na rozmowę ze świadkami i odtworzenie wydarzeń, to tutaj wydawało się, że całość będzie się opierała na domysłach i spekulacjach.

Gdy żona wyprawiła chłopców do szkoły, w domu zrobiło się cicho i przytulnie. Tak jak planowali przed jego przejściem na emeryturę, usiedli przy kawie i rogalikach, rozkoszując się pustym mieszkaniem i spokojnie zaczynającym się dniem.

– Nie przypuszczałam, że będziesz miał aż tak dużo pracy – Anna rozpoczęła z namysłem to, co leżało jej od dłuższego czasu na wątrobie. Męża prawie nie widywała, a jak już wracał, to wykończony fizycznie i dziwnie mrukowaty. Teraz też pogrążony w myślach nie słuchał, co do niego mówiła. Dlatego podniosła głos. Poskutkowało. Ożegalski drgnął i z wyrzutem spojrzął na żonę.

– Dlaczego tak krzyczysz? Coś się stało, o czym nie wiem? Potrzebujesz pomocy?

– Tak, potrzebuję pomocy, każdego dnia. A najbardziej potrzebuję męża, który ponoć przeszedł na emeryturę, a nie ma go w domu na okrągło. Gdzie to wspólne życie, wypoczynek, wyjazdy? – wytknęła mu, zdziwiona, że mąż zaczyna się uśmiechać. – Powiedziałam coś zabawnego? – syknęła zirytowana.

– Kawy, kochanie?

Kiwnęła głową, patrząc, jak mąż wstaje i bierze dzbanek z podgrzewacza.

W ciszy przełknęli kilka łyków, słychać było tylko pianie koguta od sąsiadów przez otwarte na oścież kuchenne okno.

– Myślę, że masz prawo wiedzieć... – zaczął dość niefortunnie, ale udając, że nie widzi młyny żony, niewróżącej nic dobrego, kontynuował: – To znaczy ja wiem, że umawialiśmy się inaczej, a wyszło inaczej, ale dogadam się z Maurycem i na pewno nie będę przez cały tydzień harował. Teraz też miało być na spokojnie, ale klient namieszał i trzeba było się spieszyć. No ale Leokadia już załatwiona, Kazik w Katowicach ogarnia jakąś ruinę, a Maurycy poprosił mnie o załatwienie całkiem innej sprawy. I szczerze mówiąc, coraz bardziej mnie to wciąga.

– Tak? A jakież to sprawy masz do załatwienia?

Ożegalski poruszył się niespokojnie. Zawsze w takich chwilach, gdy był w pracy, wstawał i wędrując od okna do okna, relacjonował sprawę. Teraz też machnął ręką na służbowe czy niesłużbowe zachowania i rozpoczął przechadzkę, referując żonie wszystkie zapamiętane szczegóły zdarzenia.

– Czyli dziewczyna zaginęła i nikt nie wie, co się z nią stało? – Anna podsumowała jego związłą relację.

– Zgadza się. Gdyby się odnalazła, na pewno napisaliby o tym w gazetach, ludzie by wiedzieli. Ludzie zawsze wiedzą.

Po godzinie przeglądania tradycyjnego notesu z adresami i numerami telefonów natrafił na ten potrzebny, zadowolony, że zatrzymał stare kalendarze, nie zdając się na tak zdawałoby się niezastąpiony smartfon. Co papier, to papier. Przypomniał sobie dzień, w którym zdecydował, że zostanie policjantem, chociaż mógł po ukończeniu studiów prawniczych zostać adwokatem. Mógł tak jak nieżyjący już ojciec robić karierę wojskową. Ale on się uparł, głuchy na argumenty. I te rzeczowe, i te emocjonalne. Pierwsze lata to było poznawanie od podszewki roboty policyjnej. Przydzielono go do podinspektora Franciszka Karwasa, a stary fachura docenił zaangażowanie młodego idealisty.

– Jak ten czas leci... – westchnął z żalem. Czuł na swoich barkach upływ lat, chociaż zawsze myślał o sobie jak o kimś młodym, pełnym sił, energii, tej wewnętrznej ciekawości, by szukać, aż znajdzie, dogrzebać się do każdej informacji, która pomoże w namierzeniu sprawcy. Tej nieustępliwości nauczył go stary Franciszek Karwas. Ciekawe, czy jeszcze żyje – zastanowił się, czując ucisk w gardle. Stary był w porządku, powinien o nim pamiętać, nie tylko wtedy, gdy był mu potrzebny. Jeżeli żył, to na pewno był już po osiemdziesiątce. Czy pamiętał tamte czasy, czy wolał je wymazać z pamięci? Z tego, co było mu wiadomo, wynikało, że Karwas pracował w kryminalnej, łapiąc morderców, i nigdy nie bawił się w politykę. Ale jak było kiedyś, tego nie wiedział.

Przełknął ślinę, wziął oddech i wpisał do komórki numer telefonu stacjonarnego. Odetchnął z ulgą, gdy okazało się, że numer jest aktualny. Cekał cierpliwie, aż ktoś odbierze, zakładając, że jeżeli Karwas żyje, to może mieć trudności z chodzeniem. Po prawie minucie ktoś podniósł słuchawkę, a nieco zrzędlawy głos oświadczył bez ogródek:

– Ankieterzy i telemarketerzy poszli won, niczego nie kupuję, nie wychodzę... – W tym momencie mówiący rozkaszał się przeraźliwie.

To był na pewno głos inspektora Karwasa.

– Dzień dobry, panie inspektorze – odezwał się niepewnie. Po drugiej stronie linii słyszał jakieś szuranie i bał się, że Karwas zaraz się rozłączy. – To ja, Sławek Ożegalski – dodał głośnie.

– Pamiętam, pamiętam Sławka. Tylko dlaczego tak wrzeszczysz chłopcze? Przecież nie jestem głuchy! – oburzył się inspektor, nadal pokaszując, już z mniejszym impetem.

– Przepraszam, tak wyszło – wyjąkał Ożegalski, czując, jak twarz mu płonie. Popełnił gafę, a tego nie lubił, u innych zaś nie tolerował.

– Już dobrze, dobrze... Miło, że dzwonisz, i ciekaw jestem, z jakiego powodu. Jakaś stara sprawa pewnie, bo inaczej byś się nie fatygował. Nawet nie zaprzeczaj, wiem, jak jest, czasu mało, obowiązki, dzień za dniem ucieka, i starsy jak świat – podsumował gorzko były inspektor.

– W sumie na to wychodzi – potwierdził z rezygnacją w głosie Ożegalski. Nawet nie miał zamiaru ściemniać, bo i tak stary wyczułby nieszczerłość.

– No i dobrze, starzy odchodzą, młodzi przychodzą, zmiana to proces ciągły. Co masz do mnie?

– Hm... Szczerze mówiąc, myślałem o spotkaniu, bo to sprawa nie na telefon.

– Aha... W takim razie, jeżeli chcesz, to możesz przyjść od razu. Wieczorem mam brydża, a pojutrze wyjeżdżam na wczasy, więc łap, chłopcze, okazję, bo inaczej moglibyśmy się spotkać dopiero po moim powrocie, a jak rozumiem, termin pili, bo inaczej sam byś grzebał. Tylko powiedz, jaka to sprawa, to zanim przyjdiesz, odświeżę sobie pamięć – zasugerował rozsądnie starzec.

Ożegalski zawahał się. Spojrzał na zegar w kuchni, dochodziła dziesiąta.

– Panie inspektorze... cóż, to stara sprawa i dotyczy zaginięcia Janki Królikowskiej... – W słuchawce usłyszał sapnięcie.

– A po cóż, na Boga, chcesz wracać do tak zamierzchłej przeszłości? – Franciszek Karwas wydawał się zirytowany.

– W sumie przez przypadek, ale chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o tym zaginięciu, bo nigdzie nie trafiłem na informację o odnalezieniu zwłok albo całej i żywej Królikowskiej.

– Bo nigdy jej nie odnaleziono! – fuknął emerytowany inspektor. – Ale racja, przyjdź do mnie, to pogadamy. Tak na jedenastą zdążysz?

Potwierdził i zamyślony odłożył telefon. Karwas był wyraźnie zainteresowany sprawą. Czyżby wiedział więcej, niż przypuszczał? Ciekawe, czy jeszcze żyje człowiek, który podpisał się pod milicyjnym protokołem.

Po wstępnych czynnościach, typu gadaj, co tam u ciebie słyhać, powściągliwie wyrażonym zdumieniu, że w tak młodym wieku przeszedł na emeryturę, i stwierdzeniu, że kawa lepsza od herbaty, a od kawy lepsza whisky, zapadło milczenie. Emerytowany inspektor zajął się przygotowaniem napitku, a Ożegalski dyskretnie rozglądał się po pomieszczeniu, w którym został przyjęty. Karwas mieszkał na starym osiedlu w za dużym jak dla jednej osoby mieszkaniu. O ile Ożegalski dobrze pamiętał, żona inspektora zmarła przed laty, a syn wyjechał do Stanów i pojawiał się w Polsce sporadycznie. Tak mówiono, bo nikomu nie przyszłoby do głowy wypytywanie zwierzchnika o sprawy prywatne.

Karwas w zamyśleniu nalewał kawę do filiżanek, pilnując, by ręce mu się nie trzęsły, i stawiał je na talerzykach, żeby nie poplamić obrusu. Hania tak bardzo o wszystko dbała! Znowu poczuł, jak bardzo dotkliwa jest nieobecność żony. Oby jej w tych zaświatach jak najlepiej było, ale zdecydowanie zbyt szybko przeszła na drugą stronę. Z trudem powstrzymał westchnienie. Przed Sławkiem chciał zachować choćby pozory wizerunku starszego, ale dobrze sobie radzącego mężczyzny. Wrócił pamięcią do tamtego dnia, gdy jako najmłodszy siedział na dyżurze w komisariacie, a starsi koledzy i przełożeni bawili się, świętując nadejście kolejnego roku.

Usiadł naprzeciw Sławka, zastanawiając się, od czego zacząć. A potem słowa same popłynęły, jakby tłumione od lat. Znowu był młody, znowu przyjmował zgłoszenie od Leokadii Królikowskiej, która upierała się, że jej córka zaginęła, nie uciekła. Przecież Janka nie mogła uciec... Więc teraz opowiadał, jak umiał, starając się nie przeoczyć niczego ważnego. Tylko co było ważne, a co nie miało najmniejszego znaczenia? Był przekonany, że Janka nie żyje, ale kto stał za jej śmiercią... tutaj pewności nie miał, a przywołane wspomnienia podsuwały mu różne możliwości. Gdyby miał szansę wrócić do tamtych czasów, w wielu przypadkach postąpiłby inaczej. No ale cóż... nie czas żałować róż czy coś w tym stylu.

To były pozornie bardzo zwykłe osoby. Matka Leokadia Królikowska, znana jako stara Leośka, zamieszana w aferę przemytniczą. Córka Janka, pozująca na gwiazdę.

Może gdyby żyła, to rzeczywiście osiągnęłaby sukces – tak twierdził Zenobiusz Żak, znany oświęcimski fotograf.

Z relacji matki dziewczyny wynikało, że jak co dzień z samego rana wstała z łóżka, zapaliła pod kuchnią, by ogrzać mieszkanie przy Berka Joselewicza, zagrzała wodę w garnku, żeby Janka miała do mycia, i poszła otworzyć sklep warzywny, który prowadziła w Oświęcimiu od lat. Wieczorem poprzedniego dnia ustaliły, że Janka upiecze rogaliki i keksa na wieczór. Dobre dziecko chciało też przygotować sałatkę warzywną. Butelka radzieckiego szampana już się chłodziła za oknem. Nie, gości się nijakich nie spodziewały. Po nowym roku Janka zamierzała jechać do koleżanki ze szkoły, która przeprowadziła się z rodziną do Katowic. Matka namawiała ją, by poszła do pracy do biura albo została laborantką w Zakładach Chemicznych. Moloch zatrudniający tysiące ludzi na pewno znalazłby miejsce dla młodej i ślicznej blondynki upozowanej na Bardotkę. Na razie Janka nie pracowała, coś przebąkiwała o studiach w Krakowie, ale matka nie chciała słyszeć o marzeniach córki o karierze aktorskiej. Takiego zgorszenia w rodzinie nigdy nie było i ona nie zamierzała dopuścić, by ją i Jankę ludzie palcami wytykali i, nie daj Boże, wyzywali od dziwek. Przyzwoita dziewczyna powinna skończyć szkołę, technikum czy liceum nie zaszkodzi, ale potem wyjść za mąż, urodzić dzieci i zająć się ich wychowaniem. Szybko, jak najszybciej ułożyć sobie życie i nie bawić się w mrzonki. Zabezpieczyć sobie przyszłość. W ostateczności mogłaby iść na studia, żeby zdobyć solidny zawód, na przykład w studium nauczycielskim, jak najbardziej, albo jako lekarz i to od dzieci. A nie wystawiać się na widok publiczny i to jeszcze w niepełnym ubiorze, jak te lafiryndy! Ale ona wszystko córce przetłumaczyła i była pewna, że dziewczyna pójdzie do pracy. Jednego tylko nie przetłumaczyła... Bo zakazów Janka słuchać nie chciała, tak samo jak ta kioskarka, ta z tego kiosku na Dąbrowskiego, co jak tylko miała czegoś więcej, to sprzedawała dziewczynie „Filmy” i różne takie gazety, a tam ta Sodomia i Gomoria, i spodnie w kratkę, takie obcisłe... I włosy Janka rozjaśniła na jasny blond, a swoje miała takie piękne, jak lany żbóż, złociste. Jakby ona dorwała tę jej koleżankę... ale wyjechała z miasta, zdzira jedna...

Matka Janki wylewała z siebie potoki słów, siedząc naprzeciw zmęczonego całonocnym dyżurem milicjanta. Kapral Franciszek Karwas słuchał połowicznie, potok przemowy wylewający się z ust kobiety, która całą sobą prezentowała pretensje wobec zaginionej córki, działał na niego usypiająco. Karwas, w odruchu ludzkiej życzliwości, pożałował Janki, która – tak wynikało z tego, co mówiła jej matka – miała niełatwe życie. Nigdy by nie przypuszczał, ale cóż... – nie pytał. Sam był młody, przed trzydziestką, kawaler. A dziewczyna miała dopiero dwadzieścia lat, po pięciu latach mieszkania w internacie, z dala od domu, w innym środowisku, wróciła i musiała się zaaklimatyzować. Na pewno nie było jej łatwo. Tak samo jak nie było łatwo po śmierci ukochanego ojca, który wiele lat temu zginął w wypadku samochodowym. Jego samochód roztrzaskał się na drzewie, a on zmarł trzy dni potem w szpitalu. Matka, jazgotliwa, owszem, na swój sposób dbająca, żeby dziewczynie nic nie brakowało, ale na pewno mocno uciążliwa. Dlaczego taka dziewczyna uciekła z domu? Bo na razie zakładali, że uciekła. A może pojechała wcześniej do tej koleżanki? Leokadia podała adresy wszystkich osób, do których wysłała dziewczynę – wolała iść siedzieć, niż zataić cokolwiek. Widać było, że bardzo kocha córkę. Pamiętał, że machnął ręką na te jej zeznania i zaprotokołował je niezbyt szczegółowo, żeby matce nie dowalać problemów. Poza tym... po prostu nie cierpiał tego szpicla pałętającego się po mieście i wszędzie węszącego afery – idiota, myślał, że nikt nie wie. A oni wiedzieli i obserwowali, bo nikt nie chciał narażać się niepotrzebnie. Ale byli czujni. Ot co!

– Bo widzisz, najgorszy to taki gnój, co to ma teorię urobioną i wszystko do niej podciąga, a czy wtedy, czy teraz ludzie żyć muszą. Dopóki Leokadia handlowała, zresztą nie ona jedna, to mieliśmy nasz czarny rynek pod kontrolą. Ale życie nie znosi próżni i wiadomo było, że jak ten picuś glancuś zamknie Leokadię i jej koleżanki po fachu, to przyjdą inni. Zanim ich rozpracujemy, to minie sporo czasu, więc rozumiesz... wcale mi nie zależało, żeby Królikowska miała kłopoty – tłumaczył logicznie Ożegalskiemu. – Pamiętam, że niebieski ptak, niejaki Mieciu Gościna, widział Jankę wchodzącą do kamienicy Haberfeldów, ale jak się zarzekął, najmniejsze skojarzenie nie powstało w jego głowie. Było to podobno po godzinie osiemnastej, a on widział ją tam nie po raz pierwszy. Janka często odwiedzała krawcową urzędującą na pierwszym piętrze. Mieciu Gościna czyhał na wchodzących do knajpy gości, przy dobrym dniu zdołał zebrać na szlugi, a i po klientach nie musiał dopijać, tylko zamawiał pańskim gestem galaretkę z setą. Każdy w Oświęcimiu wiedział, że w tym miejscu urzędują miejscowe żuliki, męty społeczne i obywatele spragnieni towarzystwa oraz nastrojowej muzyki serwowanej przez cygańską brać. *Oczy cziornyje, oczy udobnyje...* i czardasz, ach, ten czardasz, rozbrzmiewały w sylwestrową noc. Potem wyszedł ten artysta przyjezdny, i tak chrypiał, jakby go suszyło od rana... w nieznanym języku chrypiał.

Mieciu Gościna nie był zbyt dobrym świadkiem, tracił wątek, zmieniał godzinę, o której ostatnio widział Jankę, z osiemnastej robiła się dwudziesta, albo dla odmiany: „Panie władzo, zmrok już zapadał, tak po trzeciej pewnością było...”, i nie, nikogo podejrzanego Miecio nie widział ani obcego. To znaczy, po prawdzie, dużo obcych było, ale w knajpie się bawili, na dancingu sylwestrowym, to z jakiej racji miałyby ich podejrzewać?

Wtedy, tak z serca, skierował Miecia do izby wytrzeźwień z nadzieją, że jak wytrzeźwieje i przemyśli sprawę, to coś sobie przypomni, ale nic z tego nie wyszło. Miecio siedł w zaparte.

– Szukaliśmy jej, naprawdę, wszędzie, gdzie było to możliwe, ale jakby się dziewczyna zapadła pod ziemię. – Franciszek Karwas wstał i podszedł do narożnej szafki wypełnionej kolorowym szkłem. Otworzył i wyjął dwa pękate kieliszki. – Spróbujesz? Mam znakomity słoneczny brzeg – zachęcił.

Ożegalski zawahał się. Nie ograniczał go samochód, bo wychodząc z domu, zdecydował, że przyda mu się dwukilometrowy spacer, a na dalszą część dnia też nie planował wyjazdu.

Kiwnął głową potwierdzająco.

– Skoro słoneczny brzeg, to nie odmówię – uśmiechnął się do wspomnień.

Gdy zaczynał pracę, często zdarzało się, że narady kończyły się lampką winiaku, pliski albo słonecznego brzegu, którego amatorem był Karwas.

Potrzymał kieliszek w rękę, powąchał, wspominał stare, dobre czasy, za którymi żaden z nich nie tęsknił. Upił, ciepło rozlało się po żołądku. Smakowało jak dawniej.

– Skoro tak, to może mieliście jakąś teorię, co mogło się z dziewczyną stać? Przecież to były inne czasy, oprócz tego śmiesznego Miecia istnieli inni świadkowie, chociażby uczestnicy zabawy sylwestrowej. Okoliczni sklepikarze, znajomi dziewczyny, rodzina. Ten fotograf. A może ktoś z domu, w którym mieszkały? – Ożegalski z rozmachem postawił kieliszek na stole i spojrzał wyczekująco na Karwasa.

– Co ja ci powiem... – Starzec zastanawiał się przez chwilę w skupieniu. – W sumie staraliśmy się, ale dostaliśmy polecenie, żeby potraktować to zaginięcie jako, wiesz, takie dobrowolne. Antek Burdziak upierał się, że dziewczyna na pewno miała dość matki i jej zrządzenia i po prostu ziała. Ale mi to nie pasowało, tylko że nie miałem absolutnie nic do powiedzenia. Nie ta ranga.

– Aha, właśnie miałem zapytać o tego Burdziaka, bo to on podpisał papiery dla Królikowskiej.

– Karierowicz, nic więcej, ale w sumie dobry glina. Tylko to nie była sprawa, na której można się zasłużyć. Takie „bele co”, jak to on mówił, lekceważąco. Potem pchnęli go wyżej i zniknął nam z oczu. Ale w sumie, cóż, przesłuchaliśmy mnóstwo osób, zgodnie z tym, co nam matka podała. Wszyscy potwierdzili, że rzeczywiście młoda u nich była i wyszła cała i zdrowa. Także ten fotograf Zenobiusz Żak potwierdził, że była u niego złożyć życzenia noworoczne, nawet przyniosła mu drobny prezent, bardzo ładny krawat, z daleka widać było, że zagraniczny, opakowany w celofan. Co do ludzi z tej kamienicy... – Karwas podniósł się ciężko z krzesła i podszedł do stojącego pod oknem biurka. Z kieszeni marynarki wyjął klucz i otworzył nim boczną szufladę. Chwilę w niej pogmerał, po czym wyjął szarą, pogniecioną kopertę. Zamknął szufladę i podał kopertę Ożegalskiemu.

– Tutaj masz wszystko, co zostało po sprawie Janki Królikowskiej. Przez wiele lat myślałem, miałem nadzieję, że gdzieś, kiedyś pojawi się informacja o tej dziewczynie. Nawet... – zawahał się na moment – nawet zostawiłem sobie jej zdjęcie. Była fascynująco piękna i rzeczywiście wyglądała na zdjęciach jak gwiazda filmowa. Na żywo była całkiem zwyczajna – zastanowił się – o tak, zwyczajna, a jednak przyciągała uwagę. Nawet gdy miała na sobie bury płaszcz i stare kozaki. Było w niej coś magnetycznego. Może dlatego zginęła? – W głosie starego gliniarza słychać było nutę nostalgii, może tęsknoty za dziewczyną, która wywarła na nim niezapomniane wrażenie.

Ożegalski wziął kopertę do ręki i powoli wyjął na stół jej zawartość. Pojedyncze kartki zapisane starannym pismem Franciszka Karwasa, czarno-białe, wyblakłe zdjęcie, jakiś bilet i ogłoszenie z „Kuriera Warszawskiego”, takie same, jakie znaleźli w rzeczach pozostałych po Leokadii Królikowskiej-Wnuk. Przeczytał je na głos:

W dniu 31.12.1962 roku wyszła z domu i do tej pory nie wróciła Janina Królikowska, lat 20, córka Leokadii i Jana. Ostatni raz była widziana w Oświęcimiu w okolicy kamienicy Haberfeldów. Opis zaginionej: kobieta, szczupłej budowy ciała, wzrost 165 cm, oczy niebieskie, włosy jasny blond, długie, farbowane. Brak znaków szczególnych. Ubrana była w sztuczne futerko w cętki i czapkę z czarnego królika. Ktokolwiek wie, gdzie znajduje się zaginiona Janina Królikowska, proszony jest o kontakt z matką pod adresem w Oświęcimiu, ulica Berka Joselewicza, lub z najbliższym posterunkiem milicji.

Przewidziana nagroda za udzielenie informacji.

Zrozpaczona matka.

– Farbowane blond, czyli nie była naturalną blondynką?

– Rzeczywiście, Janka zaraz po zdaniu matury i powrocie do Oświęcimia ufarbowała włosy. Wcześniej też była blondynką, tylko taką bardziej prząsną, wiejską. Za ciemne te włosy były, bo przecież ona się kreowała na miasteczkową Bridžitkę. Zresztą postąpiła bardzo rozsądnie, bo pamiętam, jaka afera wybuchła, gdy moja koleżanka w klasie maturalnej też przerobiła się na blondynkę. Perhydrole, rozumiesz? – dopytał Karwas, widząc zdezororientowane spojrzenie gościa.

– Prawdę mówiąc, nie rozumiem. Komu przeszkadzało, że dziewczyna ufarbowała sobie włosy? – Ożegalski wzruszył ramionami.

– Tyś młode pokolenie, mieliście już wolność i mogliście robić wszystko, co dusza zapraśnie...

– Dyskutowałbym – bąknął zdziwiony Ożegalski.

– A nie ma o czym. Widzisz, trudno porównywać czasy mojej młodości z czasami twojej. A ci dzisiaj to już w ogóle... nie zrozumieliby, o czym mówię. Ale literalnie, moja koleżanka za ufARBowanie włosów wodą utlenioną, to jest właśnie ten perhydrol, tylko w stężonej postaci, została przed maturą relegowana ze szkoły i nie było zmiłuj. Załamała się dziewczyna, ojciec omal jej z domu nie wyrzucił, bo córka adwokata wstyd przynosi. Potem oczywiście zimowała i zdała maturę, ale już w innej szkole, no i była znakomitym prawnikiem. Już niestety nie żyje. Też była taka ładna jak Janka. – Stary policjant westchnął głęboo. – Ale wracając do Janki... O ile dobrze pamiętam, to sąsiedzi nic nie słyszeli ani nic nie widzieli. Na tych kartkach masz ich dane, może ktoś jeszcze żyje. Podobno interesował się nią jakiś chłopak, syn sąsiadów, ale w tamtym czasie był nieobecny, bawił się u kolegów w Krakowie. Bo to student był... Tak, no i ta wdowa Zawadzka, taka dziwna trochę była, ale w sumie nie powiedziała nic interesującego. Tylko że podobno widziała Jankę w jakiejś gazecie, ale nie była pewna. Niby że podobna i tyle. A mało to ludzi podobnych do siebie chodzi po tym świecie? – skomentował filozoficznie.

– A w jakiej gazecie ją widziała? – ożywił się Ożegalski. – Może to jest jakiś ślad?

Franciszek Karwas przytaknął.

– Też tak myślałem, ale nie powiedziała, o co konkretnie chodziło. Tylko, że nie wierzy, żeby Janka coś tam, coś tam, i że musiało jej się wydawać. Takie tam gadanie, żeby zwrócić na siebie uwagę. – Inspektor machnął ręką lekceważąco. – Weź sobie te papiery, mnie już do niczego nie są potrzebne. – Uśmiechnął się smutno. – Ja już bardziej w tamtą stronę patrzę, ale nie powiem, jestem zadowolony, że ktoś się zainteresował zniknięciem tej dziewczyny. Żeby tak prawdę powiedzieć, to obstawiałem, że to fotograf maczał w tym palce. On był taki śliski, taki dziwny. Niby wszyscy go znali, widzieli, kim jest, ale też krążyły różne opowieści o jego rodzicach, a jak to mówią: nie ma dymu bez ognia.

– A tak konkretnie? – Ożegalski pochylił się w stronę byłego szefa. Widział znużenie malujące się na jego twarzy, ale też błysk ożywienia, gdy zaczynał opowiadać o dawnych latach.

– Tak konkretnie? Co ja ci powiem...? Żak był porządnym obywatelem, związanym z jedynie słusznymi służbami i my mogliśmy mu ewentualnie zadać kilka pytań, na które on mógł łaskawie odpowiedzieć. Albo powiedzieć cokolwiek. Tak jak wspominałem, przyznał, że Janka była u niego. Twierdził, że wyszła, miała coś jeszcze do załatwienia, chyba była z kimś umówiona. Mieli spotkać się po Nowym Roku, jak wróci od przyjaciółki, wtedy miał jej zrobić zdjęcia do portfolio, bo Janka wybierała się podbijać wielki świat i według niego miała duże szanse, żeby zrobić karierę. Była szalenie fotogeniczna i najlepiej sprawdziłaby się jako modelka. Jako aktorka niekoniecznie, ale nie zamierzała występować na scenie, jej się marzył film i role na wielkim ekranie. Pokazał mi wtedy kilka jej zdjęć, na których była upozowana na wielkie gwiazdy filmowe, i podobieństwo było łudzące. Oczywiście makijaż, fryzura. Wyglądała jak bogini. – Karwas westchnął z nostalgią.

– I co, wyszła od niego i zapadła się pod ziemię? – wtrącił sarkastycznie Ożegalski.

– Żebyś wiedział, że tak. Jeżeli wierzyć słowom Miecia, który nie liczył godzin ani lat, to wyszła od fotografa i coś załatwiała w budynku Haberfeldów. Pamiętasz tę piękną, zrujnowaną przez lata zaniedbań kamienicę?

Ożegalski skinął głową.

– Jak bym miał nie pamiętać! Żał tylko, że popadła w taką ruinę, że nikt w porę nie zaczął remontu. No ale trudno. Czasu człowiek nie odwróci.

– Miecia też już nie dopytasz, zmarł w niedługi czas po zaginięciu Janki. Samochód go potracił, sprawcy nie odnaleziono.

Coś w głosie byłego zwierzchnika zwróciło uwagę Ożegalskiego.

– Co pan sugeruje?

– Nic, oprócz tego, że komuś mogłoby być na rękę takie zamilknięcie Miecia na wieki – wyjaśnił Karwas kwaśno. – O ile rzeczywiście Miecio wiedział więcej, niż nam powiedział. Ale kto go tam wie? Może i lepiej to zostawić? Dziewczyna zapewne nie żyje, większość ludzi pamiętających okoliczności jej zniknięcia też już u wrót Pana, a ja jak na dzisiaj mam dość – podsumował szczerze. – Jak się, chłopcze, czegoś dowiesz, to dzwoń, tu masz numer mojej komórki. – Franciszek Karwas położył przed sobą starą kopertę i nabazgrał na niej numer telefonu. Potem przesunął ją w kierunku Ożegalskiego. – Na dzisiaj dosyć, idź już, ja muszę się położyć przed brydżem.

Po pożegnaniu stał w drzwiach i z napięciem obserwował schodzącego po schodach Sławka Ożegalskiego, swojego najlepszego wychowanka. Gdy ten zniknął, Karwas w końcu zamknął drzwi na dwa porządne zamki i łańcuch, po czym usiadł ciężko na kanapie i sięgnął po telefon. Tego numeru nie musiał wyszukiwać w pamięci urządzenia ani tym bardziej w notesie. Miał go w głowie.

ATELIER FOTOGRAFICZNE ZENOBIUSZA ŻAKA

Luty 1962

Pod koniec lutego pojechali do wujka, do Nowego Targu. Wprawdzie Leokadia Królikowska planowała podróż w styczniu, ale termin na początku roku po telegramie od jej brata stał się nieaktualny, a pod koniec miesiąca zmagła ją grypa i nie dość, że musiała zamknąć warzywniak, to jeszcze na dwa tygodnie zaległa w łóżku, całkowicie zdana na pomoc córki. Janka pomagała, jak mogła, świadoma, że im szybciej matka wyzdrowieje, tym szybciej ona będzie mogła zająć się własnymi sprawami. Było to podejście egoistyczne, ale niepozbawione logiki. Janka gotowała lekkie obiady, chociaż matka na nic nie miała apetytu, dbała o czystą odzież i nie zapominała o oklepywaniu pleców, tak jak pani Zosia z mieszkania obok radziła. Czowała się wykończona, bo wszystko zostało na jej głowie. I, do czego nawet przed sobą nie chciała się przyznać, doceniła wkład matki w ich trudną codzienność. Naprawdę już był najwyższy czas, żeby ruszyć oszczędności, sprzedać co nieco złota i kupić mieszkanie na osiedlu. Albo niewielki domek – właśnie w pobliżu Zakładów Chemicznych ruszała budowa domków jednorodzinnych dla pracowników. Znała matkę, na pewno udałoby się taki domek odkupić. Z ogródkiem i łazienką, jak u ludzi. Nie musiałyby palić w piecu, nosić wody i grzać jej, żeby umyć matkę i siebie. O ileż więcej miałyby sił i czasu dla siebie! A tak... Choroba matki wywróciła do góry nogami wszystkie jej plany. A i sama pokasywała i czuła się coraz gorzej. Oby tylko nie złapała grypy, bo sobie nie poradzą. Ze dwa razy skorzystała z pomocy Józia Widłęgi, ale wołała iść sama, nawet kilkakrotnie, niż czuć na sobie jego uważne, lustrujące spojrzenie. Znała go od dzieciństwa, ale z czasem stawał się dla niej obcym człowiekiem.

Matka w końcu wydobrzała i mogły pojechać po towar do zaprzyjaźnionych gospodarzy, tak żeby coś uhandlować i zakończyć miesiąc na plusie. No i jeszcze pan Zenobiusz... W tajemnicy przed matką zajrzała do atelier.

Stała w drzwiach, jak zawsze niepewna, czy może przekroczyć próg pracowni, a stary dywan powoli pokrywały płatki śniegu. Pomyślała, że najlepiej byłoby wynieść go na śnieg i wytrześć – tak robiły z matką. Cały kurz i brud powlekał wtedy śnieżną białość, a ich bordowy dywan jaśniał świeżością kolorów. To była dobra metoda sprzątnięcia. W końcu weszła, dzwonek jeszcze raz powiadomił fotografa o przybyciu klienta, ale atelier nadal było puste.

– Dzień dobry, panie Zenobiuszu! – zawołała, ale z gardła wydobył się dziwny dźwięk i najlepiej słyszalna była końcówka „uszu!”. Przycisnęła mocno dzwonek zamocowany na ladzie i czekała. W końcu zniecierpliwiona odważyła się i weszła do

atelier. Było puste, jakieś bezosobowe. Podeszła do drzwi prowadzących do prywatnego gabinetu fotografa i zawahała się. Nie powinna... a jednak...

– A cóż ty tu robisz, dziecko?! – usłyszała za sobą zirytowany głos pana Zenobiusza. Odziany w pelisę, w baranckowej czapce zaszypanej śniegiem, spoglądał na nią groźnie, zdejmując czarne skórzane rękawiczki.

Janka zdrząła. Nie wiedziała, czy z zimna, bo nagle powiało chłodem, czy ze strachu. Wzięła się w garść, odetchnęła głęboko.

– Było otwarte, to weszłam, każdy mógł wejść. Czekałam, wołałam, pomyślałam, że może pan zaskąbł, dlatego weszłam do atelier – wyjaśniła zduszonym głosem. W ostatniej chwili wymyśliła troskę o Zenobiusza, w sumie było to zrozumiałe.

Starszy pan przyglądał się jej przez chwilę, zastanawiając się, czy brnąć dalej, czy już nie naciskać. Nie zdążył postanowić, gdy Janka wyprostowała przygarbione plecy i oznajmiła szorstko:

– To ja już pójdę, skoro wszystko w porządku. Chciałam tylko powiedzieć, że nie przyjdę w piątek, mama jest chora i mam dużo pracy. Do widzenia. No i jak pan wychodzi, to jednak lepiej zamknąć drzwi, bo jeszcze ktoś mógłby pana okraść – wyrzuciła z siebie, udając, że stoi na scenie i gra w jakiejś sztuce. Od razu poczuła się pewniejsza.

Wymięła osłupiałego ze zdziwienia Zenobiusza Żaka i zanim zdołał się odezwać, zamknęła z hukiem drzwi. Odezwał się dzwonek, wybijając fotografa z zadumy. A to ci dziewczyna! Chyba mówiła prawdę, no i miała rację, powinien pamiętać o zamykaniu drzwi. Wytrącony z równowagi spojrzął na czekające na Janke „Przekroje” i ruszył do wyjścia. Stała niedaleko, wpatrując się intensywnie w witrynę drogerii. Podeszła i przystanął w pobliżu.

– Panienska pozwoli... – Podał zdumionej plik gazet. Przyjęła je z wahaniem.

– Dziękuję, ale... – szukała odpowiedniego słowa – ale to dla mnie za trudne. Te opowiadania o wojnie, ciągle wojna. Książki i jak się wyrażać poprawnie. Jestem taka głupia – głos jej drgnął, jakby za chwilę miała się rozplakać. – Bo... bo ja myślałam, że to o filmie, o aktorach, takie różne ciekawostki, a nie takie poważne sprawy – dokończyła smutno. Zwiesiła głowę, przygarbiła się. Zniknął urok promiennej dziewczyny, bystre spojrzenie zamgliło się.

Janka nie była głupia, doskonale zdawała sobie sprawę z własnych możliwości. Sny o wielkiej karierze to była mrzonka. Ale jednak nie! Ona miała to coś, czego nie potrafił nazwać, czego brakowało innym. Musiał przywrócić jej wiarę w siebie i własne możliwości. Odchrząknął, kaszlnął. Wziął oddech.

– Wiesz, dlaczego daję ci te gazety?

Pokręciła głową, spojrziała pytająco.

– Gdybym uważał, że jesteś głupia, nawet by mi do głowy nie przyszło, że możesz cokolwiek przeczytać i wynieść z tego korzyść dla siebie, nauczyć się czegośkolwiek. Ale ty, dziewczyno, masz potencjał, masz możliwości. Skończyłaś szkołę, zdałaś maturę. Potrafisz myśleć, tylko po prostu nie masz wprawy. – Roześmiał się chrapliwie, zacierając ręce. Było zimno i nie zamierzał sterczeć przed wystawą drogerii przez całe wieki. Jeszcze raz zatarł ręce. – Umówmy się, że spróbujesz. Przyjdiesz do mnie następnym razem, to sobie porozmawiamy o tym, co przeczytałaś, co może się przydać. A teraz się pożegnaj, ty też idź już do domu. Mama na pewno czeka. I uwierz w siebie.

Poklepał ją po ramieniu, po czym szybko cofnął rękę, zdając sobie sprawę z niestosowności zachowania. Rozejrzał się niespokojnie, ale nikt nie zwracał na nich uwagi. Ludzie zajęci swoimi sprawami kulili się przed zimnem i szybko przechodzili przez Rynek, by zniknąć w pobliskich uliczkach.

Janka, już mniej przygarbiona, skierowała się w stronę sklepu żelaznego i po chwili weszła do środka. Odprowadził ją wzrokiem i przypominając sobie o otwartych drzwiach, ruszył w kierunku swojego atelier. Już z daleka widział, że przy wejściu czeka na niego milicjant. Zwolnił, bicie serca przyspieszyło tak, że puls musiał sporo przekroczyć setkę. W uszach mu szumiało. Był kryty, ale wiedział, że łaska władzy na pstrym koniu jeździ.

To była tylko troska, kapral Karwas zauważył otwarte drzwi i brak właściciela w pobliżu. Jak przystało na przedstawiciela władzy, pilnował, żeby mu złodzieje sprzętu nie rozkradli.

* * *

Pamiętał tamtą kobietę wyglądającą jak Mary Pickford, przez moment nawet myślał, że amerykańska aktorka jakimś cudem znalazła się w pracowni jego ojca. Ale to nie była prawdziwa Mary, tylko jej kopia ze złocistymi warkoczami. Doskonała, ale jednorazowa. Kobieta, którą z zapalem fotografował jego ojciec, była martwa. Naprawdę, na śmierć. Na zawsze.

SZCZĘŚCIE SPADKOBIERCY

2017

Maurycy oddał nowemu właścicielowi klucze do mieszkania Leokadii Królikowskiej-Wnuk, zainkasował zapłatę i odebrał klucze do domu przy placu Rybnym. Teraz plac Rybny już nie istniał, ale takim właśnie adresem posługiwał się jego zleceniodawca. Była to podobno kolejna nieruchomość oddziedziczona przez niego po przodkach.

– Pan wie, jak to czasem bywa, rodzina wymiera, ale zanim sąd przekaze nieruchomość Skarbowi Państwa, to jeszcze musi poszukać ewentualnych spadkobierców. No i w ten sposób zostałem posiadaczem kolejnego budynku. Po wujku, którego zresztą zupełnie nie pamiętam, a nawet nie kojarzę, żeby ojciec mi o nim opowiadał. Bo co do ciotki, to chociaż wiedziałem, że jesteśmy rodziną, a tutaj nic, czarna dziura. Chociaż to i tak inaczej, bo to w sumie też po ciotce, tylko najpierw ona po wujku. Zresztą kto by się tam połapał... – tłumaczył Maurycemu, któremu nawet do głowy nie przyszło, żeby wypytywać o takie szczegóły.

– Musiało to pana zaskoczyć? – zapytał Maurycy, raczej z grzeczności niż ciekawości. Jego bardziej interesowała Janka Królikowska niż sposób, w jaki zostaje się właścicielem kilku nieruchomości. Ot, życiowa niespodzianka.

– I to jak! Od lat mieszkam w Warszawie, tam prowadzę interesy i nawet za bardzo nie mam czasu na inne sprawy. Prawdę mówiąc, z nieba mi pan spadł, a w zasadzie pana ciotka. Nie znałem jej osobiście, tata mi opowiadał, że przyjeżdżała kiedyś z Janką, takie dwie rozrywkowe panny. Mogły się podobać. No i potem na pogrzebie ciotki ją spotkałem. A wiedział pan, że Janka ma osobny grób?

– Osobny? Skoro zaginęła, to chyba nie powinno być grobu, ciała brak...

– Tak, ale została uznana za zmarłą, po dziesięciu latach od zaginięcia. Trochę posprawdzałem, bo wie pan, zaciekała mnie ta historia. Taka filmowa, a jednak prawdziwa. Nawet znalazłem w papierach zdjęcie Janki i Kornelii, zaraz panu pokażę. – Mężczyzna sięgnął do leżącej na krześle obok teczki.

– Co panowie zamawiają? – Obok stolika przystanęła kelnerka z notesem w rękę. Młoda dziewczyna czekała cierpliwie, aż do zaaferowanych mężczyzn dotrze, że nie wypada zajmować stolika w kawiarni, nie zamawiając choćby symbolicznej kawy. Z głośnika sączyła się przyjemna muzyka i nastrój sprzyjał raczej romantycznym spotkaniom, a nie rozmowom biznesowym, ale Maurycy Henk lubił zaglądać do Rapsodii i dlatego zaproponował ten lokal jako miejsce spotkania, a przyjezdny nie wybrzydzał, bo swoje ulubione miejsca miał w Warszawie, a nie w Oświęcimiu.

– Kawę poproszę, najlepiej podwójne espresso, i jakieś ciastko. Może być sernik.

Maurycy potwierdził, tak, dla niego to samo, i rachunek od razu prosił przynieść. On zapraszał, on zapłaci.

– O właśnie! Tutaj, przed naszym starym domem, już go tam nie ma, więc w sumie podwójna pamiątka. – Mężczyzna położył czarno-białe zdjęcie przed Maurycem, który wpatrzył się w dwie dziewczęce twarze. Janka upozowana na Bardotkę, w letniej sukience w kratkę, z gołymi ramionami i Kornelia Henkówna... tak, to na pewno była ciotka. Młodsza o przeszło pół wieku, już z zadziornym spojrzeniem i wysuniętym zawadiacko podbródkiem. Też podobna do jakiejś znanej mu z widzenia aktorki, piękna i kusząca. Jak nie ciotka. Westchnął do siebie.

– Czy mogę zrobić zdjęcie tego zdjęcia? – zapytał i wyjaśnił: – Nigdy go nie widziałem w albumie ciotki, więc chciałbym jej zrobić przyjemność.

Po twarzy mężczyzny przeszedł cień, zawahał się, ale potem grzecznie potwierdził.

– Oczywiście, niech pan fotografuje. Skoro ma to sprawić przyjemność pani Kornelii, to nie mam nic przeciwko temu – zadeklarował jowialnie. – A wracając do naszych spraw... – odezwał się, chowając zdjęcie do teczki. – Widzi pan, myślałem, że będę miał problem z tymi nieruchomościami, ale u was jest chyba dobry rynek, bo od razu zjawił się kupiec. Wszystko mu odpowiada, usytuowanie, wielkość działki, nawet rzeka w pobliżu nie stanowi problemu. Najpierw wyremontuje mieszkanie, a potem zabierze się za dom, który, sam pan oceni, jest moim zdaniem mocno zaniedbany, stał i marniał od wielu lat. Ale jakby się postarać, to można odremontować i będzie pięknie. Nie wiem, jakim cudem ten człowiek dotarł do mnie, ale cóż, w sumie dobrze się stało, bo jak to mówią: pieniądze nie śmierdzą! Prawda? – Zaśmiał się ordynarnie.

Maurycy spojrzął zdziwiony. Nadal siedział przed nim mężczyzna odziany w drogi garnitur i kosztowną koszulę, o butach nie wspominając. Za wartość jego zegarka Maurycy żyłby spokojnie przez rok, a jednak w jednej sekundzie pod wierzchnią warstwą obycia i kultury zobaczył ordynusa całe życie przebijającego się łokciami i walczącego o swoje i nieswoje. Nie zamierzał go wypytywać o szczegóły czy sprawy rodzinne, a ten opowiadał, gęba mu się nie zamykała, tak jakby chciał udowodnić swoje prawa do tego mieszkania, domu i czego tam jeszcze. Na pewno Leokadia Królikowska-Wnuk miała dobrze zaopatrzone konto w banku. Gotówki u niej nie znaleźli. Przez moment poczuł się nieswojo, gdy usłyszał:

– Dobrze, że chociaż z tych murów spłynie trochę kasy, bo ciotka chyba wszystko pchała w tego nawiedzonego z Torunia. Jedyne konto, jakie miała, świeciło pustkami. A przecież brała emeryturę i to po mężu, tym drugim, całkiem niemałą, bo chłopina w swoim czasie był dyrektorem jakiegoś PGR-u czy coś... – Facet zamyślił się, mało dyskretnie spoglądając na zegarek. – Na mnie już czas, muszę lecieć. Tu ma pan zaliczkę, potem się rozliczymy. Tak jak mówiłem, niech pan usunie wszystko, dokładnie wszystko – powtórzył z naciskiem.

Maurycy uśmiechnął się w duchu i zażartował:

– Ale okna i drzwi zewnętrzne mogę zostawić?

Klient spojrzął na niego zaskoczony, zastanawiał się przez chwilę.

– Tak, okna i drzwi proszę zostawić, ale reszta do usunięcia. Chyba że znajdzie pan złoto, diamenty i dolary pod podłogą, wtedy tak, wtedy proszę mnie zawiadomić. – Parsknął śmiechem jak po usłyszeniu dobrego żartu. – Do zobaczenia albo usłyszenia. – Wstał pospiesznie, chwycił teczkę i nie oglądając się za siebie, ruszył w kierunku drzwi, zaabsorbowany myślami. Telefon dzwonił niecierpliwie, do Maurycego dotarło jeszcze chełpliwe: – Tak, załatwione. To osioł.

Miał nieodparte wrażenie, że ten dziwny klient mówił o nim. Posiedział jeszcze przez chwilę, dopił wymienitą kawę i zapłacił. Cóż, to tylko robota – dopóki płacą, to nie ma co się nadmiernie przejmować.

Stali w trójkę przed niewielkim, pamiętającym lepsze czasy domem. Kornelia uparła się, żeby im towarzyszyć przy pierwszej lustracji.

– Pamiętam plac Rybny sprzed lat, to tutaj przed wojną i po wojnie odbywał się handel rybami łowionymi w Sole. A wokół było też pełno stawów rybnych. Mama opowiadała, że przed wojną wybuchła prawdziwa afera rybna, która zakończyła się trzema trupami – opowiadała z tylnego siedzenia, gdy usiłowali przebić się przez zakorkowany most Piastowski, inaczej zwany starym.

– To ciekawe! Nigdy o czymś takim nie słyszałem. – Sławek Ożegalski obrócił się bokiem, żeby lepiej słyszeć i widzieć Kornelię. Maurycy proponował, żeby usiadła obok, ale ciotka stwierdziła, że najbezpieczniejsze miejsce w samochodzie jest za plecami kierowcy, który broni się przed kolizją instynktownie, a najbardziej narażone właśnie obok kierowcy. Takie powiadzenie sprawy spowodowało, że Ożegalski poczuł się co najmniej nieswojo. Naprawdę, nie chciał być ofiarą wypadku komunikacyjnego.

– Nie słyszałeś? Kiedyś to nawet w gazetach o tym pisali, ale mamusia chodziła tam ryby kupować, więc wiedziała niejako z pierwszej ręki. Po prostu to był dochodowy interes, dużo ludzi z tego żyło. I dalej by żyli, ale na początku lat trzydziestych ubiegłego wieku spółka z Krakowa zaczęła skupować ryby od właścicieli stawów i odsprzedawać je handlarzom oświęcimskim po zawyżonych cenach. A to oznaczało, że pozbawiła zarobku okolicznych sprzedawców. Jeden z nich, zdaje się, że Schretter, nie wytrzymał psychicznie, w połowie grudnia pojechał do Krakowa i zabił te pijawki, które doprowadziły jego rodzinę do bankructwa. Straszna historia. Sam też nie przeżył, popełnił samobójstwo. No, i tak by go powiesili, to, że ci ludzie doprowadzili jego rodzinę do bankructwa, nie miało znaczenia w obliczu dalszych wydarzeń. A poza tym... różne rzeczy się tutaj działy, byli tacy, co rzucali się do rzeki z niespełnionej miłości... – Ciotka westchnęła nostalgicznie. – No już prawie jesteśmy – oświadczyła z zadowoleniem, gdy skręcili z mostu przy zamku. – Najlepiej będzie, jeżeli podjedziesz kawałek, o tam, gdzie ten samochód – pokazała palcem, prawie zasłaniając Maurycemu widoczność. – Tam po prawej jest to, co pozostało z placu.

Zaparkowali i wysiedli. Maurycy rozglądał się za parkomatem, ale Kornelia uspokoiła go, że akurat tutaj nie musi płacić.

– Wziąłeś klucze? – spytała podekscytowana.

– Jasne, mam wszystko – uspokoił ją.

Ożegalski rozglądał się wokół, jakby pierwszy raz był w tej okolicy, a przecież doskonale znał kładkę dla pieszych i rowerzystów, ulicę Zamkową i wały, którymi nieraz przejeżdżał rowerem. Usiłował wyobrazić sobie czasy, o których opowiadała ciotka Maurycego. Drewniane kramy, beczki z rybami, fury zaprzężone w parskające ze zniecierpliwieniem konie. Rzeźkie poranki latem i lodowate zimą, gdy rybacy musieli skuwać lód, żeby dostać się do upragnionych ryb. Na pewno odławiali je trochę wcześniej, tak żeby móc sprzedać na Boże Narodzenie. Zreflektował się. Przecież na Boże Narodzenie to karp, a nie jakieś świnki.

Swoje wątpliwości powtórzył na głos. Kornelia aż podskoczyła oburzona.

– Karp karpem, ale tutaj nie tylko świnki łowiono, także pstrągi na przykład i inne ryby. Mieli czym handlować i miał kto kupować. No ale to już historia, teraz ryb mniej, jak kto lubi, to sobie miejsce na łowisku kupi i tyle – podsumowała realistycznie. Odpowiadając na niewypowiedziane pytanie czające się w oczach bratanek, dodała: – Mąż sąsiadki, tej obok, jest zapałym wędkarzem i czasem sobie pogadamy. Właśnie podrzucił mi pięknego sandacza, to zrobię na obiad.

– O dżizas, ta ruina już dawno powinna się zawalić! – jęknął Ożegalski na widok chałupy, w której mieli wykonać zlecenie.

– Fakt, nie mam pojęcia, jak się tyle lat uchowała, ale jakby się tak przyjrzeć, to dach jeszcze się trzyma, drzwi całe, okna też. Mogło być dużo gorzej – w głosie Kornelii słychać było zdziwienie i coś jakby niedowierzenie.

– A pamiętasz, do kogo należała? Bo ten gość tyle mówił, mówił, mówił, ale nazwiska mi nie podał. A ja nie naciskałem, bo w sumie, co mnie to obchodzi? – Maurycy pogrzebał w kieszeni, żeby namierzyć klucz do budynku. Włożył go w zamek i przekręcił. Poszło gładko, nic się nie zacięło, nie posypała się rdza. Zapewne właściciel zadbał, żeby zamek chodził prawidłowo – pomyślał.

Kornelia z natężeniem wpatrywała się w niegdyś zielone drzwi całe pokryte resztkami łuszczącej się farby. Bożesz ty mój, pomyślała z goryczą, jakie to kawały los lubi ludziom płać. Nigdy by się nie spodziewała, że stanie przed tymi drzwiami jeszcze raz. Ulica była prawie pusta, dwójka dzieci szybko przemknęła obok domu, zazgrzytała szuter pod ich stopami, jakiś staruszek, podpierając się laską, wędrował w stronę wałów, a drugi, nieco sprawniejszy, wyprowadzał psa na spacer, namawiając go, by szybciej siusiał. Nawet nie spojrzał w ich kierunku, zajęty psem podobnym z wyglądu do jamnika.

– Nie, nie pamiętam – odparła krótko, gwałtownie przełykając ślinę. Weź się w garść kobieto i myśl. Po prostu myśl.

Weszli do niewielkiej sionki, rozjaśnionej światłem dnia padającym z zewnątrz. Cuchnęło grzybem i zepsutą kanalizacją. Ożegalski próbował namacać włącznik do światła, ale zrezygnował, przekonany, że dom wiele lat temu został odcięty od prądu. W końcu stał tu tyle lat i popadał w ruinę, bez żyjącego właściciela – zadumał się nostalgicznie.

– A ty co tak drzemiesz? – Kornelia energicznie przepychała się do wnętrza. – Gdzieś tu powinien być... – zamruczała pod nosem i pacnęła w ścianę. Namacała prawidłowo i po chwili wnętrze prowadzące do domu zaalało jaskrawe światło.

– A gdzie to ustrojstwo? – Poczul się zaintrygowany.

– No jak to gdzie? Tutaj! – Kornelia machnęła ręką, wskazując jakiś ciemny guziczek wystający ze ściany. Gdy popatrzył z bliska, okazało się, że okrągła puszka została zamalowana na niebiesko jak reszta ściany, a uchował się tylko ten przedwojenny przyczek.

– Czyli prąd jest?

– Też jestem zdziwiony, zakładałem, że skoro to spadek nieboszczyka sprzed lat, nieużywany, to bez żadnych mediów.

– No to obaj macie niespodziankę – stwierdziła ciotka uszczypliwie i pogoniła ich w kierunku dwuskrzydłowych drzwi prowadzących do części mieszkalnej.

Szybko przeszli po wyłożonych przedwojennymi płytkami schodach, nie były nawet zbyt zniszczone i Maurycy w mgnieniu oka podjął decyzję o ich skuciu, przynajmniej uratuje zabytkowy element. Tak samo drzwi – solidne, na pewno dębowe, z mosiężną klamką – czekały na pozbycie się warstw starej farby i nowy dom. Maurycy wiedział, że właściciele – spadkobierców nie interesują takie drobiazgi, oni wolą od razu żywą gotówkę. A jego interesowały i dzięki temu zarabiał czasem więcej niż za samo sprzątanie. Nacisnął klamkę i drzwi otworzyły się same. W ciszy, bez skrzywienia i innych odgłosów towarzyszących. Spojrzał na zawiasy i musnął je palcem. Poczul charakterystyczny zapach wycielany przez smar do zawiasów, co oznaczało, że dom był używany. A o tym jego zleceniodawca nie wspominał.

Stłoczyli się w niewielkim przedpokoju obitym ciemną boazerią. Na przytwierdzonym do ściany drewnianym wieszaku wisiał stary ortalionowy płaszcz i pasek od spodni, skórzany z metalową klamrą. Noszono takie w latach

siedemdziesiątych. Skóra ledwo się trzymała, poprzecierana w wielu miejscach, ale zapinka wyglądała na niedawno czyszczoną.

Sławomir Ożegalski poczuł wewnętrzny niepokój, jak zawsze, gdy przychodziło mu zetknąć się z przestępstwem.

– Zaczekaj – chwycił Maurycego za ramię, powstrzymując przed otwarciem drzwi do pokoju usytuowanego z lewej strony przedpokoju. – Pani też, bardzo proszę – zwrócił się do Kornelii, która parla przed niego. Kobieta parsknęła oburzona, ale usłuchała.

Sięgnął do kieszeni spodni i wyłuskał z nich rękawiczki. Zabezpieczył dłonie i dopiero wtedy nacisnął klamkę.

– Niczego nie dotykajcie. Cholerne mi to śmierdzi – wyjaśnił pośpiesznie.

Czuł na sobie gorący oddech współtowarzyszy, gdy naciskał klamkę. Drzwi uchyliły się niechętnie, a ich oczom ukazał się skrawek bordowego dywanu. Tylko skrawek, bo reszta podłogi była zajęta przez leżące w nieładzie zwłoki, częściowo osłonięte zabraną chyba z kanapy narzutą. Mężczyzna wyglądał, jakby spał na brzuchu, na przykład po libacji alkoholowej, wokół poniewierały się butelki po tanim winie, a deski podłogi nasiąkały krwią, która powoli zastygała.

– Wyjdźcie stąd – poprosił Ożegalski zduszonym szeptem i od razu sięgnął po telefon. Po chwili, jak za dawnych czasów, czyli raptem przed miesiącem, dysponował, kto ma przyjechać na miejsce zbrodni, szybko wprowadzając Maciejaka w niezbędne szczegóły. Zanim zakończył rozmowę, usłyszeli, że pod dom podjeżdża radiowóz.

– Ale szybko! – Maurycy był pełen podziwu dla profesjonalizmu kolegi. Ten spojrział na niego roztargnionym wzrokiem i mruknął zafrasowany:

– Trochę za szybko, Maciejak dopiero zbiera ekipę.

Chwilę później gromkie: „Ręce na ścianę, nogi w rozkroku!” przeplatane ostrym: „Kładź się na ziemię, ale już!” i pobrzękiwanie kajdankami wprawilo ich w prawdziwe zdumienie. Kornelia zachnęła się, gdy jakiś młodzieniec skuwał jej ręce z tyłu, ale wrodzona ciekawość przeważała i czekała cierpliwie, co będzie dalej. Tylko kim był nieboszczyk?

Dwóch policjantów bez wahania weszło do pokoju i zrzuciło narzutę okrywającą ciało, jednocześnie odsłaniając twarz nieboszczyka.

– Panowie, tak nie można! – krzyknął Ożegalski, z przerażeniem rozpoznając w denacie inspektora Franciszka Karwasa.

– Stul pysk! Nikt się nie pyta, co można, a czego nie można! – warknął jeden z policjantów, ten na oko starszy.

– Ślady zdeptujecie! – ponownie zwrócił im uwagę Ożegalski.

– Patrz, jaki to sukinsyn mądry! Zabił, a teraz ślady! – Policjant splunął z lekceważeniem, opryskując śliną zadbane buty ciotki Kornelii.

– Młody człowieku...

Maurycy milczał, starając się dodać dwa do dwóch, ale rachunek mu się nie zgadzał.

– No co? Co tak patrzysz? – Dowodzący akcją podszedł do Maurycego i spojrział na niego z politowaniem. – Myślałeś, jeden z drugim, że można tak zabić i spieprzyć z miejsca? Ale nie z nami te numery...

– Brunner – mruknął Maurycy.

– Kto? Bo nie dosłyszałem. – Mundurowy przystanął i manifestacyjnie przyłożył sobie prawą rękę do ucha, symulując gest nasłuchiwania.

– Brunner – zirytowany Maurycy podniósł głos.

– Nie znam faceta. To wasz współnik?

Zanim zdążyli parsknąć śmiechem, przy budynku zahamował samochód, a po chwili w środku pojawił się podkomisarz Maciejak w towarzystwie technika

dźwigającego nieodłączną walizeczkę.

– Lekarz zaraz dojedzie – oznajmił i umilkł. Na jego widok policjantom zrzedły miny i poczuli, że być może niepotrzebnie tak się wyżywali na zatrzymanych.

Podkomisarz Zygmunt Maciejak ogarnął wzrokiem sytuację, dostrzegając, że starszy posterunkowy stoi w środku plamy krwi, a były szef ma co najmniej dziwną minę.

– Wy tu czego? Nie patrzeć po sobie, tylko odpowiadać, co robicie i dlaczego. No i natychmiast rozkuć tych ludzi. Na co wy sobie pozwalacie? – huknął wzburzony.

Odpowiedziała mu cisza. Policjanci starali się zapaść pod ziemię, czując, że ta interwencja wyjdzie im bokiem.

– No już, rusz się jeden z drugim! Co to, siły wam odebrało? – darł się Maciejak, pilnując rozkuwania, które rzeczywiście szło jak po grudzie, bo trzęsące się ręce funkcjonariuszy nie pomagały.

Trójka uwolnionych w milczeniu zajęła się rozcieraniem przegubów. Ożegalski miał nadzieję, że Maciejak zrozumiał jego sygnały i zanim zacznie z nimi rozmowę, pozbędzie się niepotrzebnych świadków.

– A teraz po kolei. Jakim cudem znaleźliście się w tej chałupie i dlaczego nie zawiadomiliście kryminalnych? Pytam na razie spokojnie.

– Ale że, bo my chcieli sami, no i ten telefon, że już... – dosyć niezbornie wydukał młodszy z mundurowych.

– Może przejdziemy gdzie indziej? Najlepiej na zewnątrz – wtrącił Maurycy, spoglądając znacząco na nasiąkające krwią podeszwy policjanta.

– Jasne, tak będzie najlepiej, a ja tu z nimi załatwię – potwierdził Maciejak i po chwili ryknął: – Do kurwy nędzy, kto wam pozwolił wchodzić na samowolkę?! Wy jesteście kryminalni czy zwykłe krawężniki? Trotuary szorować, mandaty wlepić, a nie za sprawy kryminalne się brać! Zwłaszcza że nie macie pojęcia, jak się zachować! – Wskazał palcem krew na podłodze. – Widzi jeden z drugim, co narobił? Wypierdoli z policji, a nie mundur nosić! Fagasy cholerne. Kto dzwonił, kiedy, z jakiego numeru? – dopytał, a widząc kompletny brak reakcji na zadane pytania, przeszedł do czynów. Nie zamierzał się patyczkować z osobnikami, którym wydawało się, że pozjadali wszystkie rozumy. Może kiedyś tak, daby im szansę, ale nie teraz. – Dawaj telefon – wyciągnął rękę. Mundurowy sięgnął do kieszeni bluzy i wyjął prywatną komórkę. Przez chwilę gorączkowo szukał kontaktu, widać było, że błędnie.

– O tutaj, tutaj jest – ucieszył się i podetknął telefon Maciejakowi pod oczy. – Dzwonił jakiś facet i powiedział, że ktoś został zamordowany w tym starym domku, żeby tam pojechać, bo on widział, jak tam wchodził jakiś mężczyzna. No i podał numer samochodu...

Podkomisarz Maciejak nacisnął wybieranie, ale po chwili okazało się, że numer jest niedostępny.

– Cholera! Na pewno na kartę. Ale przecież w systemie są odnotowane dane... Chociaż pewnie na jakiegoś słupa kupione – zastanawiał się półgłosem. – No nic, spieprzajcie stąd, żebym was nie widział! I paszcza na kłódkę. A i jeszcze... – Spojrzał na właściciela komórki. – Skoro dzwoniło na twój prywatny numer, to ten dzwoniący zapewne cię zna. Pomyśl, może skojarzysz go po głosie.

– Ale ja nie wiem... – płacząco zaprzeczył mundurowy, przeklinając w duchu swoją nadgorliwość. Jak stary się dowie, to będą mieć szczęście, jeśli utrzymają się w robocie. Może jednak ten Maciejak dotrzyma słowa i nie zakabluje?

– To się dowiedz! – Podkomisarz obrócił się do joyczka plecami, by zająć się naprawdę poważnymi sprawami. Ktoś chciał wrobić jego byłego szefa w morderstwo, a to mu się nie podobało.

Maurycy Henk zastanawiał się, co robić dalej. Stali w trójkę przed domkiem, czekając, aż Maciejak rozprawi się z nadgorliwymi policjantami – każdy pograżony w swoich myślach. Niebo zaciągały ciemne chmury, powoli zbierało się na deszcz, a może i na burzę. Narastający wiatr chłodził rozgorączkowane czoła i obniżał temperaturę.

– W sumie nie ma tego złego... – odezwała się kąśliwie ciotka Kornelia.

Obaj popatrzyli na nią zdumieni.

– Ale o czym myślisz? Bo mnie się wydaje, że tu akurat mamy dużo złego – zganiał ją bratanek.

Ożegalski poparł go ruchem głowy. Jeszcze nie zdążył podzielić się szczegółami wizyty u emerytowanego inspektora. Jak to się, do diaska, stało, że dwa dni temu całkiem żywy, mający wyjechać do sanatorium Karwas zamienił się dziś w całkiem nieżywego nieboszczyka. I jeszcze te butelki...

– A pomyślcie, że mógł tak kilka dni leżeć, w tym upale. Przecież zaśmierdłby się na amen i mielilibyście więcej roboty – uświadomiła im dobitnie Kornelia. – Napiłabym się wody albo najlepiej kawy. Zapytaj, chłopcze – zwróciła się do Ożegalskiego – jak długo mamy tutaj sterceć.

W drzwiach zrobił się rumor, młodzi policjanci pospiesznie wychodzili ścigani pokrzykiwaniami Maciejaka. Przeszli obok niedawnych podejrzanych ze zwieszonymi głowami, ale po kilku krokach ten zgrywający dowódcę zatrzymał się i zawrócił. Przystanął przed Kornelią Henk i wydukał, nie patrząc jej w oczy:

– Bardzo nam przykro, że zachowaliśmy się nieodpowiednio. Przepraszamy. – Po czym nie czekając na jakąkolwiek reakcję, odwrócił się na pięcie i dołączył do kolegi.

Kornelię zamurowało, Maurycy zlekceważył idiotyczne przeprosiny, a Sławek ich nawet nie zauważył, pograżony w myślach.

– Szczyt bezczelności – burknęła Kornelia, rozjaśniając po chwili twarz bladym uśmiechem na widok wychodzącego z chałupy Maciejaka, który wydawał ostatnie polecenia.

– Co za matoly! – Podkomisarz Zygmunt Maciejak otarł staromodną chustką w kratkę spoczone czoło, a potem zaczął ją miętosić w rękę. – Zaraz się wykończę przez ten upał. Chłopaki za moment skończą, to będziemy mogli wejść i usiąść. W całkiem niezłym stanie ta chałupa. Na zewnątrz wygląda, jakby się miała za pięć dziesiątą rozpaść, a w środku widać, że ktoś użytkował – skonstatował zdziwiony.

– To potem – wtrącił Ożegalski. – Teraz powiedz, jaka przyczyna śmierci, bo widziałem sporo krwi, ale nie zdążyłem przyjrzeć się dokładnie, zanim nas zgarnęli.

Maciejak westchnął ciężko i powachlował się chusteczką. Czuł na sobie ciężkie spojrzenie byłego szefa.

– Na pierwszy rzut oka to rana kłuta, ktoś wbił mu w brzuch coś ostrego. Może nóż, a może cokolwiek innego, to już działka patologa. Po prostu ciało było przykryte kocem, więc szef nie zauważył. To znaczy...

– Nie przejmuj się. – Ożegalski machnął ręką. – Mnie bardziej zastanawia, skąd on się tutaj wziął, przecież miał jechać do sanatorium. Tak przynajmniej mi mówił, gdy widzieliśmy się ostatnim razem. Bo nie zdążyłem wam powiedzieć, że sprawa Janki Królikowskiej też go gnębiła. Przynajmniej tak to odebrałem.

– To od razu mów co i jak, skoro wszyscy tu jesteśmy – poprosił Maurycy, spoglądając ponagląco na kolegę. – Karwas i tak nie żyje, reszty dowiemy się po sekcji, a dla nas ważniejsze, co powiedział, gdy był jeszcze żywy. Ja też mam dla was wieści. Rozmawiałem z tym spadkobiercą i nie podoba mi się ten facet. Taki jakiś za bardzo rozgadany. Ale może to pozory...

– To wszystko się kupy nie trzyma! – Kornelia Henk przerwała milczenie, które zapadło po relacji Sławka Ożegalskiego z wizyty u byłego inspektora Franciszka Karwasa. Chwilę wcześniej Maurycy podzielił się z nimi refleksjami po spotkaniu ze zleceńodawcą sprzątania.

– Szanowna pani Kornelio, bywa, że z pozoru nic się kupy nie trzyma, ale jak się powęszy, to okazuje się, że jakoś to się wszystko łączy. Nie raz i nie dwa z panem nadkomisarzem weszliśmy przy takich sprawach, że aż głowa bolała od poszlak, a potem jakimś cudem i morderca się znajdował, i, co najważniejsze, motywy. Bo wie pani, motyw jest najważniejszy, reszta potem jakoś się ułoży – stwierdził spokojnie Maciejak.

– Ale widzisz, Zygmunt – zaczął wyjaśniać Ożegalski – my mamy zlecenie na tę chałupę, za chwilę może się okazać, że trzeba ją będzie oddać. Maurycy nie może się skontaktować z tym jakimś Jankiem, Leszkiem czy Mańkiem, a to w końcu jego własność. Rodzi się podejrzenie, że wiedział o tym trupie albo że będzie trup i dlatego nas wysłał. Ale może nie wiedział, tylko nastąpił tak zwany zbieg okoliczności.

– A wy powinniście zamknąć miejsce zdarzenia na cztery spusty, dobrze kombinujecie? – Maurycy Henk schował telefon do kieszeni i włączył się do rozmowy.

Podkomisarz Maciejak skinął głową potakująco. Niech to jasny szlag! Szef odszedł na emeryturę i od razu takie coś.

– No i na dodatek wpadliśmy w to szambo. Karwas to był gość, ale... – cmoknął w zamyśleniu.

– Jakie ale? – zdenerwował się Ożegalski. – To był świetny facet, przepracował wiele lat w firmie. Uczył mnie fachu. Nazywaliśmy go niezniszczalnym, bo co by się nie działo, to zawsze wychodził z tego zwycięski.

– Ale różnie gadano – dopowiedział Maciejak.

– Ludzie zawsze gadają, a jak ktoś jest w porządku, to tym bardziej plotą – stwierdził dobitnie Ożegalski. W głowie mu się nie mogło pomieścić, że inspektor Karwas nie do końca był taki, jakim go widział.

– To się okaże w praniu – Kornelia, do tej pory nietypowo jak na siebie milcząca, wiedziała swoje. Siedzieli w kuchni, przy starym stole nakrytym ceratą w brązową kratkę, przetartą w wielu miejscach, ale czystą. Drewniane taborety były stabilne, na siedzeniach ktoś przed laty położył płaskie poduszki powleczone poszewkami z niebieskiej włóczki. Stołki pomalowane białą farbą łuszczyły się brzydko. Przedwojenny ebonitowy zegar już dawno skończył swoją wędrówkę z czasem. Pokryte kurzem szyby w kuchennym kredensie skrywały szklanki w posrebrzanych koszyczkach i takąż cukiernicę oraz komplet talerzyków ze złotym rąbkiem. Tuż obok szklanek ktoś ustawił kilka kieliszków, które wyglądały jak zebrane resztki z kilku kompletów. Okna zasłaniała szydełkowa firanka, oblepiona kurzem i pajęczynami, tak samo jak okienne szyby. Ktoś bywał w tym domu, ale starał się nie rzucać w oczy i chciał, żeby budynek uchodził za opuszczony.

Pierwszy ocknął się podkomisarz Maciejak. Czuł się bardzo niezręcznie, wydając polecenia szefowi, bo nadal traktował Ożegalskiego jak przełożonego, nieformalnie, ale jednak. Tylko że w tym przypadku szef okazał się zamieszany w morderstwo. Na pewno nie miał nic wspólnego z tym zabójstwem – w końcu Maciejak znał Ożegalskiego od lat i ufał mu bezgranicznie, ale gdyby na jego miejscu był obcy służbista podobny z wiedzy i charakteru do tamtych dwóch półgłówków, to kto wie, jaki obrót przybrałyby sprawy.

Przetarł oczy bokiem dłoni i dla dodania sobie animuszu klepnął na odlew w kolano. Trzasnęło i zabolalo.

- Zrobimy tak... - Błysnęło, a za błyskiem przyszło uderzenie pioruna. Maciejak ziewnął przeciągle. - Może w końcu się ochłodzi, bo myśleć nie można.

- I rezultaty widać - rzekła uszczypliwie ciotka Kornelia. Miała już dość tego przedstawienia, bo w takich kategoriach postanowiła potraktować znalezienie pierwszych w życiu zwłok. I na co jej to było? Przeklęła w myślach dzień, w którym spotkała krewnego starej Królikowskiej.

- Czyli jak? - Maurycy Henk wstał z krzesła i dołączył do przemierzającego się pomiędzy kuchnią a przedpokojem Ożegalskiego.

- Szefie, szef sobie siądzie - powiedział Maciejak. - Wprawdzie zebrali ślady, ale wiadomo, że z nikim postronnym bym na miejscu zbrodni nie przesiadywał.

Począł, aż Ożegalski umości się na stołku, a Maurycy przysiądzie na parapecie. Westchnął znużony. Ile by dał, żeby nie być w tym momencie na swoim miejscu!

SUMA DOŚWIADCZEŃ

Marzec 1962

Marcowe słońce roztapiało zimowe śniegi, a Janka zamiast szkolić się na przyszłą gwiazdę pod okiem Zenobiusza Żaka, przez większą część dnia pomagała matce w sklepiku. Leokadia Królikowska po przebytej grypie niedomagała i musiała zdać się na pomoc córki. Sklepu na dłużej nie mogli zamknąć, żyć z czegoś musiały, a Leokadia wiedziała, że jeżeli raz sięgnie do oszczędności, to górka szybko stopnieje. Janka pomagała, jak umiała, wściekła na matkę, na siebie, bo przecież powinna się zbuntować i albo iść do pracy, albo dalej się uczyć. Ale nie miała odwagi sprzeciwić się otwarcie. Były tylko we dwie i chociaż nie zawsze się rozumiały, to przecież jedna drugiej nigdy by nie skrzywdziła. Jedynym urozmaicheniem były gazety, te kupowane spod lady w kiosku i te udostępniane przez Zenobiusza Żaka. Oczywiście Janka nic matce nie powiedziała. Na początku Leokadia sarkąła na wydatki, na nowomodne fryzury i stroje, ale kręcąc nosem, sięgała po kolejne numery. Po cichu zaakceptowała decyzję córki. A może Jance się jedynie tak zdawało?

– Bo wiesz, mama nigdy nie mówi wprost, tylko tak na okrężkę – tłumaczyła Józkowi w czasie jednego z ich spacerów. Przyszedł do niej z zaproszeniem, zapytał o zgodę Leokadię, która ją niechętnie wyraziła. Spacerowali, snując się uliczkami starego miasta. Janek nalegał, żeby wstąpili na mszę do ojców salezjanów. One uczęszczały do kościoła na górce, jak matka zawsze mówiła o pobliskim kościele Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Janka po zastanowieniu pomyślała, że w kościele będzie bezpieczna. Bo nadal czuła, że Józek nie jest do końca wobec niej szczery.

– Ale przecież na pewno chce dla ciebie dobrze – odpowiedział zdawkowo. – Matki zawsze chcą dla swoich dzieci dobrze. Podobno, bo ja mojej nie znałem – wyszeptał z goryczą w głosie.

Zaskoczyło ją to wyznanie, przecież znała rodziców Józka. Zanim zapytała, wyjaśnił:

– Zostałem adoptowany jako taki paroletni szkrab, zaraz po wojnie. Matka zmarła w obozie, pamiętam ją jak przez mgłę. Ale pamiętam... Pamiętam, jak ją zabierali, niby tylko na chwilę, ale sama wiesz... Nawet nie mogę pomodlić się na jej grobie. Trafiłem dobrze, ale czasami strasznie za nią tęsknię. Byłem za duży, żebym zapomniał – westchnął z goryczą. – No takie życie, niczego nie zmienię. Ale nie zaprosiłem cię, żebyśmy o moich sprawach rozmawiali. Twoja matka mówiła, że na studia się wybierasz, podobno będziesz uczyć się na nauczycielkę.

Janka aż przystanąła. Na nauczycielkę? Czyli tego chciała matka.

– No cóż, tak, myślałam, żeby iść do pracy, podobno na zakładach szukają ludzi, ale wiesz, nauczycielka to dobry zawód, praca z dziećmi. No i dwa miesiące wakacji,

dłuższe ferie... – recytowała, patrząc pod nogi. Stali przed kościołem, powoli mijali ich wierni zdążający na wieczorną mszę.

– Wchodzimy?

Józek zawałał się, zagryzł wargi. Raz kozie śmierć! Zapyta.

– A co słyhać u tego fotografa, jak mu tam... Żaka?

Janka zmarszczyła brwi. Jeszcze jej tutaj Zenobiusz Żak potrzebny!

– Nie wiem, co słyhać. I dlaczego miałabym wiedzieć, twoim zdaniem?

– Nie, no, tak tylko chciałem, bo przecież chodziłaś do niego... Widziałem, jak cię fotografował – wyznał Józek, krzywo się uśmiechając. – Byłaś piękna, jak nie ty...

– A wy co tak stoicie, przeszkadzając? Msza się zaraz zacznie – pogoniła ich siostra zakonna od serafitek. – Już, dzieci, wchodźcie i zamknijcie drzwi, bo ziąb! – zarządziła energicznie, zagarniając ich ręką do środka.

Nie protestując, weszli do kościoła, Janka symbolicznie musnęła opuszkami palców wodę święconą, Józek Widłęga z rozmachem zanurzył całą dłoń. Woda była lodowata, orzeźwiająca. Dobrze, że siostra Adela ich pogoniła, bo mina Janki nie wróżyła nic miłego.

Gdy wracali do domu, oboje milczeli, nie chcąc wracać do tematu, ale Janka przyrzekła sobie, że już nigdy nie przyjmie zaproszenia na spacer od Józka. Nie był dla niej odpowiednim mężczyzną.

W połowie marca Leokadia w końcu stanęła na nogi i tylko rano potrzebowała pomocy córki przy rozkładaniu towaru i przenoszeniu ciężkich skrzynek z zaplecza na podłogę przy ladzie, tak żeby cały towar był na widoku.

* * *

Pierwszego dnia wiosny Janka postanowiła zajrzeć do Atelier Miraż Zenobiusza Żaka. Czuła, że powinna przerwać tę znajomość, ale musiała uczciwie przyznać, że Żak był mistrzem światłocienia. Sama siebie nie poznawała, przyglądając się zdjęciom, na których lekko zadumana prezentowała swój lepszy profil. Upozowana na Bardotkę, z włosami upiętymi w koński ogon i wydętymi kuszaco wargami, samej sobie zdawała się uosobieniem seksu i dziewczęcej niewinności. Zenobiusz Żak był z niej wtedy szczególnie zadowolony – twierdził, że niedługo będzie mogła wysłać swoje zdjęcia do kolorowych czasopism, a on osobiście postara się, żeby poznała kogoś, kto wprowadzi ją w świat mody i filmu.

– Oczywiście jeszcze daleka droga przed tobą, dziecko drogie, ale ja się nigdy nie myślę, masz w sobie potencjał na przyszłą gwiazdę – terkotał, kichając, owinięty nieodłącznym żółtym szalem. – Gdybyś tylko, dziecino, mogła nieco powiększyć dekolt albo tak kokieteryjnie odsłonić ramię, zdjęcia byłyby bardziej pociągające – tu głos mu drgnął z napięcia. Zaczynał realizację własnego planu, niezależnego od planu Janki. Gadanina o pracy w modzie, filmie czy co się tam małej marzyło, była zwykłym mydleniem oczu. On miał dla niej, a w zasadzie dla siebie, lepszą perspektywę, tylko jak zawsze zapominał ją o tym poinformować.

– Ramię? A po co komu moje gołe ramię? Przecież tak naprawdę liczy się twarz, to, jak wyglądam. Nie zamierzam robić nieodpowiednich zdjęć, przecież mama mogłaby się zdenerwować i sąsiadki, te jej koleżanki, no i ja, bo przecież... sam pan rozumie... co ludzie powiedzą?! – Nagle w Jance odezwała się dziewczyna z małego miasteczka, która o wielkiej karierze czyta w gazetach i w tych gazetach widuje nie do końca ubrane dziewczyny, zazdrości im i sama by tak chciała, ale nie mieści jej się w głowie, że też by tak mogła. A nawet, w pewnych okolicznościach, musiała.

– Ależ ja cię, dziecko, nie zmuszam, ale po prostu aktorki czasami muszą pojawić się na ekranie lekko roznegliżowane. To znaczy rozebrane – wytłumaczył, widząc zdziwienie w oczach Janki. Biedna mała żyła mrzonkami. Nadawała się do swojej roli znakomicie. Pogratulował sobie w myślach wyboru.

– Bawię pana?

– Ależ skąd! Masz prawo mieć wątpliwości, masz prawo nie zgodzić się na moją propozycję. Zrobię ci zdjęcia w sukni zapiętej po samą szyję. Sama zobaczysz, czy ktokolwiek ze świata mody lub filmu zwróci na ciebie uwagę. Jeżeli mi nie ufasz, przekonaj się na własnej skórze, ale uprzedzam, będzie bolało! – Krzątała się wokół niej, wydymając policzki i ekspresyjnie marszcząc brwi.

– Ale pan się ze mnie śmieje, przecież widzę to! – obruszyła się, wydymając wargi. Robiła to nieświadomie i gdyby był młodszy i sprawniejszy, to trudno byłoby mu się powstrzymać. Ale w tych okolicznościach...

– Zapamiętaj, że ja się nigdy z ciebie nie śmieję, mogę się najwyżej do ciebie uśmiechać. Zaufaj mi, dziewczyno!

Wtedy nie zaufała, jakoś miała opory przed odsłanianiem czegokolwiek, ale miesiąc spędzony w domu i sklepie w towarzystwie matki zmienił jej stosunek do sprawy. Józek Widłęga wyciągnął ją jeszcze raz do kina, mimo że sobie przyrzekała, że już nigdy, ale przecież grała w Przodowniku *Śniadanie u Tiffany'ego* z Audrey Hepburn, więc poszła i zakochała się w aktorce. Gdyby tylko miała gitarę, śpiewałaby nie gorzej niż robiąca ogólnoswiatową karierę Audrey.

A pierwszy dzień wiosny nadawał się na nowe otwarcie, może nawet na odsłonięcie przez moment ramienia, oczywiście pod warunkiem, że nikt obcy nie zobaczy jej na zdjęciu. Janka była wcieleniem naiwności, co w pewnych okolicznościach podnosi urok dziewczyny, ale czasem bywa irytujące.

Zenobiusz Żak jakby na nią czekał. Pomógł zdjąć krótki płaszczyk i uszyty z tego samego materiału kapelusik z kokardką. Pochwalił nową sukienkę zaprojektowaną na wzór małej czarnej noszonej przez Holly w filmie. Zaprosił do atelier i poczęstował prawdziwą angielską herbatą. Earl Grey, nie mogła zrozumieć nazwy, powinna zacząć uczyć się angielskiego. Herbata smakowała dziwnie. Napoleonka od Mikołajczyków kusiła, ale Janka postanowiła się odchudzić. Już nawet matka zwróciła jej uwagę, że przytyła, wprowadzie może dwa, trzy kilogramy, ale za chwilę okaże się, że pięć, i będzie za późno na szybkie zrzućcenie wagi.

A jednak się skusiła, ciastko było przepyszne, słodkie prawdziwym cukrem, a warstwa ciasta francuskiego świeża i doskonale krucha.

Potem to już poszło samo i wszystko, co się wydarzyło, wydarzyło się bez udziału jej woli. W jaki sposób? Tego nie wiedziała i na razie nie zamierzała dowieść.

Po czasie pokrywała sobie sprawę, że nawet jeżeli ktokolwiek ją zobaczy, to nie pozna – jej twarz gładką gruba warstwa makijażu, szminka Elizabeth Arden biła po oczach jaskrawą czerwień, a blond peruka z filuternym lokiem i czarna kropka na policzku zmieniały ją nie do poznania. Własna matka miałaby wątpliwości co do jej tożsamości. W lustrze, jak przez mgłę, widziała najsłynniejszą blondynkę świata, o której czytała w „Przekroju” i „Filmie”. Tak, tamta zrobiła karierę, ona była tylko jej imitacją, ale jako imitacja była doskonała.

Zenobiusz Żak uważnie przyglądał się reakcji Janki na lekki środek odurzający. Nie miał czasu na zbyt długie użeranie się z tymi pozorami skromności.

– Może jeszcze herbaty?

Janka podniosła szklanekę do ust i dopiła resztki do dna.

– Nie, dziękuję. Pan jest bardzo miły, ale muszę wracać do domu, do ma... – Zakręciło się jej w głowie. – Coś się źle czuję, muszę się położyć – wybełkotała, chwytając się za

czoło. Miała wrażenie, że jej głowa zaraz eksploduje albo, co pewniejsze, odpadnie od reszty ciała i potoczy się pod sofę lub utknie w sztucznym kominku ustawionym przy ścianie na potrzeby emanujących domową atmosferą zdjęć.

– To zapewne jakieś przeziębienie. Połóż się na razie tutaj, dziecko, a jak wydobrzejesz, odprowadzę cię do domu. – Zenobiusz Żak, ostrożnie zbliżył się do sofy, na której siedziała Janka. Nie chciał jej spłoszyć. Poprawił nowy, biały futrzak zarzucony na sofę, pod głowę półprzymotnej dziewczyny podłożył poduchę powleczoną czarnym aksamitem. Delikatnie pomógł Jance zmienić pozycję, z półleżącej na leżącą. Poprawił niesforną perukę, która nieco przekręciła się na głowie dziewczyny, ukazując fragment jej prawdziwych włosów. Lewą rękę ułożył wzdłuż ciała, długie nogi nieco podgiął, by całość sylwetki prezentowała się pociągająco i seksownie.

– Co pan...? Przecież... – Janka przymknęła oczy i chrapnęła, doprowadzając fotografa prawie do zawątku. Na zdjęciu powinna mieć otwarte oczy i kusić wzrokiem, a nie spać jak zabita. Ale może inaczej...

Zachował zimną krew i zaczął kombinować w myślach. Szybko podjął decyzję. Sukienkę podwinął tak, że widać było skraj jedwabnych pończoch. Janka spała, nie reagując na jego zabiegi. Skoro już się zdecydował, to najlepiej będzie iść za ciosem. Za oknem zapadła ciemność – zasunął ciężkie, zielone zasłony, tak żeby na zewnątrz nie przedostawało się światło. Powinien zamknąć okiennice, ale w tej chwili musiał się spieszyć, a nie mordować z oporem skrzypiących zawiasów. Parawanem osłonił wszystko, co odwracało uwagę od śpiącej kobiety. Ustawił światła, włączył aparat i zrobił pierwsze zdjęcie. Właściwie nie było w nim nic gorszego, śpiąca gwiazda filmowa, po nieco zbyt mocno zakrapianym wieczorze. A może?

Podszedł do ciała, niemartwego na razie, i przyjrzał mu się tak, jak przyglądał się wartym krocie antykom. Czegoś mu w tej pozycji Janki brakowało. Już wiedział. Nachylił się nad dziewczyną, zasłaniając padające na nią światło. Janka poruszyła się i jęknęła coś niewyraźnie. Struchlał, dziewczyna zaraz się obudzi, a on był dopiero w pierwszej fazie projektu. Znowu chrapnęła. Odetchnął z ulgą. Delikatnie rozsunął zamek z tyłu sukienki i zsunął dekolt na ramiona. Bujne piersi Janki opinał szyty na miarę biustonosz z czarnej satyny. Aż sapnął z zachwytem. Rowek między piersiami był punktem przyciągającym wzrok i kuszącym, by pójść odrobinę dalej.

Był pewien, że zdjęcia będą prezentowały się fantastycznie. Zerknął na zegarek, miał mało czasu, ale taka okazja mogła mu się więcej nie nadarzyć. Przez trwającą wieki chwilę męczył się z haftkami stanika, usiłując zdjąć go z Janki bez dotykania. Udało się, czarna satyna trafiła w jego ręce. Dekolt sukienki podtrzymał sprężyste, młode piersi, na których widok oblał się potem. Nie mógł powstrzymać chęci dotknięcia ich, żałując, że na tym jego udział się skończy. Janka jęknęła chrapliwie, oderwał dłoń od jądnego ciała jak oparzony, ale musiał przyznać, że efekt jego pracy był absolutnie zadawalający.

Janka zmieniła nieco pozycję, rękę przesunęła na pośladek. Była gotowa. On też. To była najlepsza sesja zdjęciowa, jaka mu się przydarzyła od lat. Od tamtego dnia. Szybko uwiecznił swoje dzieło na fotografii i nadal zachowując ostrożność, ubrał dziewczynę, starając się jej nie obudzić. Starannie zmył jej makijaż, tu przydała się wieloletnia wprawa. Perukę odłożył do specjalnego opakowania, kosztowała zbyt dużo, by mógł pozwolić sobie na niedbałość. Teraz przestało mu się spieszyć, miał dziewczynę w garści. A to oznaczało dla niego pieniądze. Bardzo dużo pieniędzy.

Dziewczyna powoli unosiła powieki, niepewna miejsca, w którym się znajduje. Oszołomiona. Śniły się jej jakieś bezceństwa, o których kiedyś czytała z wypiekami na twarzy, w tajemnicy przed wszystkimi, tak wstydziła się swego zainteresowania. Teraz też czuła się jak w czasie lektury tamtych książek, nie do końca sobą. W atelier było

całkiem normalnie – Zenobiusz Żak siedział przy swoim biurku i coś pisał, popijając herbatę. Gdy się poruszyła, spojrzął w jej kierunku i uśmiechnął się dobrotliwie.

– W końcu się obudziłaś, już myślałem, że będę musiał iść do twojej matki, żeby pozwoliła ci u mnie zostać na noc. To na pewno jakieś przeziębienie – zatroskał się.

Janka skinęła głową. Nie czuła się przeziębiona, czuła się półprzytomna. Ta herbata... Chyba jednak coś się jej zdawało. Zenobiusz Żak na pewno nie chciałby jej skrzywdzić. A pomoc mógłby wiele, jeżeli tylko będzie chciał. Zmobilizowała siły i usiadła. Rozejrzała się w poszukiwaniu botków, w których przyszła. Wiadomo, nie mogła się w nich położyć. Sukienkę miała nieco podciągniętą, poczuła, że się rumieni – może sama ją podciągnęła, na pewno było jej za gorąco na tym futrzaku. Wstała, przytrzymując się ręką oparcia. Zaszumiało jej w głowie, pokój zawirował jak w walcu. Nie mogła teraz упаć. Musiała wrócić do domu, do matki.

Poszła. Sama, nie chciała jego towarzystwa. Nieco chwiała się w nowych botkach na cienkim słupku, gdy odprowadzał ją wzrokiem, stojąc w drzwiach zakładu. Odetchnął z ulgą – nie powinna niczego pamiętać, a on odczeka, zanim jej przypomni. Gdy zamykał drzwi, dostrzegł skuloną sylwetkę mężczyzny podążającego za Janką. Niech to wszyscy diabli wezmą! Jak się gówniarze cokolwiek stanie, to Leokadia go zabije bez wahania. Cofnął się w głąb pomieszczenia, przyodziął palto i kapelusz i po zamknięciu drzwi pomaszerał za oddalającym się cieniem dziewczyny i jej satelity. Gdy zniknęła w drzwiach domu, cień się wyprostował, opierając się o latarnię. Zenobiusz Żak rozpoznał tego młodego człowieka, który przynosił Jance wodę ze studni. Miał złe przecucia, jak wtedy.

* * *

Matka systematycznie wysyłała go za ojcem, wynagradzając mu te przeszeptane dodatkowym ciastkiem, cukierkami albo nową kurtką, na jaką nie było ich stać. Miała wyrzuty sumienia, a Zenobiusz skrzętnie je wykorzystywał, krzywiąc się i targując. Tak naprawdę weszło mu w nawyk szpiegowanie ojca, który nie zadawał sobie zbytniego trudu, by ukryć się ze swoim szczególnym hobby. Matce mówił, że ojciec pracuje – co było prawdą, i że nie robi niczego nieprzyzwoitego – co prawdą nie było, ale on już zdążył wsiąknąć w świat ojcowskich dewiacji i marzył o chwili, kiedy sam będzie mógł wypróbować swoje umiejętności. Ale nie docenił matki, która pewnego dnia wykorzystwała nieobecność męża – właśnie zabrał syna i pojechał w objazd po okolicznych wsiach. To tam właśnie zbierał najwięcej pieniędzy, fotografując całe rodziny w ogrodach przed domami albo oferując umiejętne wykonanie monideł. Tak, stary Żak był mistrzem w tym, co robił. Bo wszystko robił z pasją i oddaniem. Wrócili do domu po trzech dniach zmęczenia, ale zadowoleni, bo urobek okazał się nadzwyczaj zadowolający. Nie zastali matki w domu, a cały stół w kuchni zścielały zdjęcia wykonane przez jego ukochanego tatę. Żywe kobiety, martwe kobiety, a wszystkie podobne do znanych gwiazd filmowych. Zenobiusz nie potrafił oderwać wzroku od ich wyeksponowanych krągłości i sprośnych pozycji. Tak jakby były z gumy, bez kości. Ojciec bez słowa pozbiierał zdjęcia i poszedł do pracowni, z której już nigdy nie wrócił. Zdjęcia też zniknęły, podobnie jak wszelkie pozostałości po kobietach, które z ręki ojca straciły życie. Zenobiusz nie miał wątpliwości, że ojciec był seryjnym mordercą. Młody Żak widział wszystko, czego wiedzieć nie powinien, a w gazetach od czasu do czasu pojawiała się informacja o śmierci kolejnej kobiety. Często były to osoby pojawiające się w Oświęcimiu przejazdem, w drodze do lepszego świata, rajy za oceanem. Kupowano bilety w agencji Zofii Biesiadeckiej i trzecią klasą podążano po szczęście i pieniądzu.

Zwłaszcza że coraz częściej wspomiano o nadchodzącej wojnie. Wiadomo było, że wybuchnie, ale nikt nie wiedział kiedy. Cesarskie wojska szykowały się do walki. W mieście mówiono o wampirze, który porywa nieznajome. Co jakiś czas któraś z nich odnajdywała się, ale zmasakrowana twarz nie zawsze pozwalała na potwierdzenie tożsamości. Co się stało z innymi, tego nigdy się nie dowiedział.

ZLECENIE Z NIESPODZIANKĄ

2017

Kazik, jeszcze raz i powoli, bo nie rozumiem – Maurycy spokojnie zareagował na potok słów wyrzucanych przez zaufanego pracownika. Teraz słuchał ciężkiego dyszenia przerywanego używanymi przez Kazika przekleństwami. Kazik repertuar miał urozmaicony i Maurycy dobrze wiedział, że musi chwilę odczekać, aż ochłonie. – No już, wystarczy, dawaj, o co biega, tylko tak, żebym się połapał – powtórzył, a potem słuchał zmartwiony. – Okej, na dzisiaj zostaw wszystko, idź do domu, odpocznij, tylko pozamykaj dobrze, a my przyjedziemy jutro z samego rana i załatwimy, co trzeba. – Coś szczęknęło w słuchawce i zapadła cisza.

– Znowu Kazik histeryzuje? – dopytała Kornelia Henkowa, podnosząc oczy znad czytelnika. Uśmiechała się do siebie, co oznaczało, że znowu czyta jakieś wymysły któregoś ze swoich ulubionych autorów. Było ich tak wielu, że Maurycy przestał nadążać za preferencjami czytelnicznymi ciotki, sam ograniczając się do świata fantastyki, ze szczególnym uwzględnieniem wszystkiego, co napisał Stanisław Lem, reszta niezbyt go interesowała. Wiedział, że Sławek preferuje tematykę kryminalną, i trudno było się dziwić, wszak zawód miał też kryminalny. Natomiast Kazik kiedyś mu się zwierzył, że książki go nudzą koszmarnie, ale za to lubi czytać w gazetach wszelkie historie z życia wzięte, takie bez ściemy. I teraz taka historia i jemu się przytrafiła.

Do Katowic dotarli bladym świtem, trochę trwało, zanim dojechali na szykowane pod jeden wielki plac budowy peryferia, gdzie klient Maurycyego miał ruinę do wyczyszczenia. Właściwie Kazik już prawie skończył i klient w poniedziałek miał przyjechać na odbiór roboty, no i zapłacić, bo na konto firmy trafiła tylko mizerna zaliczka za robotę. Na terenie mieszkania nie znaleźli żadnych cennych przedmiotów, prawie wszystko nadawało się tylko do wyrzucenia. Ale takie to już ryzyko. Kazik się urobił, bo jak już zabierał się do roboty, to na całego. Żadnych szcurków, myszy i namolnych robali nie stwierdził, tyle dobrze. Tylko omal zawału nie dostał, gdy okazało się, że zaczęto wyburzanie bez sprawdzenia, czy domniemany pustostan jest naprawdę pusty. I dlaczego pustostan? Podobno tak stało w zleceniu, które otrzymała firma wyburzająca. Maurycy nie mógł pojąć, w czym interesie leżało takie postępowanie, bo skoro tak, to po cóż komu było czyszczenie tych biednych czterech ścian. Trzeba było wyburzyć, jak stał. Po telefonie Kazika usiłował skontaktować się ze zleceniodawcą, ale tamten, jak na złość, nie odpowiadał. Maurycy dla pewności jeszcze raz sprawdził dane z umowy – numer się zgadzał, wszystko prawidłowo. A dzisiaj stali przed kupą gruzu, która jeszcze wczoraj była mieszkaniem. Na razie wśród ruin nie

było nikogo, z boku na podjęcie robót czekały maszyny budowlane. Też ktoś lekkomyślnie zostawił je bez opieki na całą noc, przemknęło przez myśl Maurycemu.

Z boku usłyszał rżenie, to Kazik podjechał swoim zdezelowanym volkswagenem. Wysiadł, trzasnął drzwiami tak, że odbiły się od karoserii, poprawił. Był blady i widać było, że przeżył nielichy wstrząs. Już z daleka słyszeli, jak przeklina, wyładowując emocje.

– No dobra, wystarczy, widzimy, że padasz na pysk i życie wczoraj dało ci w dupę – użalił się nad pracownikiem Maurycy, łapiąc zdziwione spojrzenie Sławka. Tak, ten był zawsze nieco wysublimowany i klął od wielkiego dzwonu. Ale Kazikowi należało okazać zrozumienie, inaczej popadłby w przygnębienie i nie nadawałby się do pracy. A zlecenia sypały się jedno po drugim i Kazik po prostu musiał być zdalny do pracy.

– No i jakżem usłyszał ten huk, to mnie zdziwienie chwyciło, bo przecież nie było mowy, żeby tu coś na już planowali. A zaraz potem, jak mi serce nie zacznie telepać, jakbym zaraz miał kitę odwalić... – wywnętrzał się Kazik.

– Widocznie jeszcze nie pora na ciebie – zażartował Maurycy.

– Na każdego kiedy indziej padnie – dodał grobowym tonem Ożegalski, a widząc niemrawą minę Kazika, parsknął śmiechem. – No przecież to prawda! Nikt nie żyje wiecznie, a ty masz po prostu szczęście, że w sumie nic się takiego nie stało, więc się ciesz i nie myśl o tym za dużo. A wracając do sprawy – zwrócił się do Maurycego – jak myślisz, co teraz możemy zrobić? Bo nie jesteśmy właścicielami, tylko wykonawcami, nikt nam nic nie powie, bo nie jesteśmy stroną...

– Ale oni, znaczy ci, co burzyli, też nic nie wiedzą, dostali zlecenie, gość zapłacił im do ręki, papier pokazał, że ma zgodę od nadzoru budowlanego, to się wzięli. Zaraz powinni tu być. – Kazik sięgnął do kieszeni spodni, z której wysupłał paczkę papierosów i zapalniczkę. Widząc niezadowoloną minę Maurycego, wyjaśnił: – To z tego stresu, szefie, nic tylko bym kurzył. Muszę się uspokoić, bo mnie rozniesie, takie mam nerwy.

Powiało, zakręciło kurzem, Ożegalski kichnął. Otarł czoło chusteczką, przyłożył ją do nosa. Stali już godzinę, a w okolicy nadal nie pojawił się nikt, kogo mogliby zapytać o piętrzącą się kupę gruzu. Kazik przysiadł z boku na zachowanym w całości pustaku i odpałał jednego od drugiego, zgniatając obcasem pety.

Maurycy na zimno rozważał, jakie kroki mogą podjąć, żeby bezproduktywnie nie marnować czasu.

– Nie ma co tu sterczeć, zrobimy tak: obfotografujemy to, co zostało z naszego miejsca pracy, zrób zdjęcia tym koparkom, może jeszcze coś znajdziesz – zwrócił się do Ożegalskiego. – A ja w tym czasie spróbuję złapać kogoś sensownego, a potem wracamy. Szkada czasu.

– Ale szefie, urobiłem się, a gostek nie zapłacił, to ja za darmo tyrałem? – upomniał się o swoje Kazik, pomiędzy jednym a drugim papierosem.

– A czy ty kiedyś robiłeś u mnie za frajer?

– No nie, szefie, ale zawsze płacili – burknął Kazik, podnosząc się z pustaka. Czuł, że wypalił co najmniej tygodniowy przydział i najchętniej teraz gołnąłby sobie co nieco i położył się spać.

– Przeżyjemy, zapłacę ci jak zwykle, a nawet dorzucę za straty w zdrowiu, tylko żebyś tego nie przepił. Roboty mamy po kokardę, potrzebny mi jesteś cały, zdrowy i silny, a nie zalkoholizowany jak jakiś nałóg – wszedł mu na ambicję Maurycy.

– Ja? Ja nałóg, alkoholik? Co też szef opowiada?! To wszystkim na pewno pani Kornelia, ona zawsze krzywo na mnie patrzy, a potem szef... – głos Kazikowi załamał się z żałości.

– Żadna pani Kornelia, po prostu widzę, że nie możesz wytrzymać bez procentów, a robotę masz odpowiedzialną. Wiesz, że jesteś potrzebny. Pamiętaj!

W tym czasie Sławek Ożegalski obfotografował ruiny, koparki, jakieś narzędzia należące przypuszczalnie do robotników, łącznie z porzuconymi młotami ręcznymi służącymi do burzenia murów. Ponoć coś takiego przeleciało obok głowy Kazika, więc trudno się dziwić, że trochę się przestraszył.

* * *

– I wyobraź sobie, że nikt nie przyjechał! Spędziliśmy tam z trzy godziny, ale na darmo, tyle że Kazik wyrzucił z siebie, co mu na wątrobie leżało, a Sławek zrobił dokumentację. Do tego klienta nadal nie mogę się dodzwonić, spróbuję jutro, bo już brakuje mi cierpliwości.

Maurycy zmęczony, jakby przewalił pięć ton węgla, siedział przy kuchennym stole, jedząc spóźniony obiad. Bo jeszcze pojechali do nadzoru budowlanego w Katowicach – nie wiedzieli gdzie, potem ich źle pokierowano, potem zablądzi, a na końcu okazało się, że facet, który się zajmuje tamtym terenem, ma akurat urlop i wróci za dwa tygodnie. Bardzo miła urzędniczka nawet zajrzała do sterty papierów piętrzących się na biurku, znalazła te, o które im chodziło, ale rozbiórki były tam planowane dopiero na początek przyszłego miesiąca. Ani oni, ani ona nic z tego nie rozumieli. Na podstawie ich relacji kobieta napisała notatkę, z datą, podpisała i dała im do podpisu, obiecując, że jak wróci jakiś tam inżynier, to na pewno się tym zajmie. Tyle uzyskali, więc w sumie niewiele. Ale jak powiedział Ożegalski, postąpili jak trzeba.

– Maciejak dzwonił – poinformowała Kornelia, spoglądając na bratanka ze współczuciem.

– O! To świetnie. A co mówił?

– Że możecie zaczynać sprzątanie chałupy, tylko najpierw chciałby się z wami spotkać. Coś tam wyjaśniał ze Sławkiem, ale widzę, że ten Maciejak jest bardzo skrupulatny, na pewno nie chce, żeby ktokolwiek mu zarzucił, że traktuje was inaczej niż ludzi z zewnątrz. Wiesz, szef na emeryturze, ty znajomy... takie tam drobiazgi, które potrafią zepsuć najlepiej zapowiadającą się karierę.

Umówił się z Maciejakiem i Sławkiem na kolejny dzień. Jęzącemu wciąż Kazikowi dał dzień wolny na, jak to określili, „dojście do siebie”. Kazikowi zajmowało to zawsze nadzwyczaj dużo czasu. Nawet się nie obejrzał, a już w domu obok rozległ się donośny dźwięk sygnalizujący rozpoczęcie wieczornych wiadomości, wydarzeń czy faktów. Maurycy nie był fanem szprycowania się informacjami z Polski i ze świata w nadmiarze. Do bycia mniej więcej na bieżąco wystarczało mu przejrzenie w niedzielę wiadomości na którymś z portali internetowych. Nie posiadał kont w mediach społecznościowych, a o czasie, gdy zamieszczał ogłoszenia reklamujące swoją niszową działalność, zdążył zapomnieć. Dawno temu nastąpił ten zazwyczaj długo wyczekiwany moment, że to nie on starał się o pracę, tylko zleceniodawcy prosili o przyjęcie zlecenia. Wprawdzie na rynku powstawały kolejne firmy, ale nie miały jeszcze wypracowanej marki. A nazwisko Maurycy Henk było marką samą w sobie i nie potrzebowało drogich reklam. Teraz też miał zapisane kolejne zlecenia, ale przełożył terminy wykonania na lipiec. Na szczęście nie było wśród nich mieszkania z niespodzianką, jak nazywał te lokalizacje, które zdążyły przesiąknąć trupem. To nie było nic przyjemnego, chociaż pieniądze dla nich zawsze w takiej sytuacji musiały być większe.

MĘŻCZYNA, KTÓRY CHCIAŁ WIĘCEJ

Kwiecień 1962

Szedł za nią od kilkunastu minut i nie umiał oderwać od niej wzroku. Poruszała się zgrabnie jak modelka na wybiegu, widział je w „Kronice Filmowej” wyświetlanej przed seansem w kinie. To wtedy Teresa Tuszyńska zawładnęła jego wyobraźnią. To były kobiety z innego świata, ze świata jemu niedostępnego. I oto miał przed sobą dziewczynę, która sposobem zachowania, chodem, unikalnym wdziękiem przypominała tamtą, absolutnie niedostępną. Wysmukła, bardzo szczupła, doskonale wyglądała w wąskich spodniach w brązowo-kremową kratkę i brązowej kurtce z podobnego jak spodnie materiału. Bujne blond loki spływały jej na plecy, mieniając się w wiosennym słońcu.

Dziewczyna szła na cmentarz, co go zdziwiło. Nie wyglądała na osobę w żałobie, ale kto ją tam wiedział. Zastanowił się przez chwilę, przystanął przed tablicą z nekrologami, westchnął, czytając nazwiska wypisane kaligraficznym pismem i informacje o datach pogrzebu. Pożegnania. Nienawidził pożegnań, zbyt dużo było ich w jego życiu. Dlatego rzadko zawierał nowe znajomości, nie był skłonny do zwierzeń przy alkoholu, pił, ale na uboczu, w samotności.

Dziewczyna szła pewnie, znając cel. Przystanęła przy kaplicy, obejrzała się za siebie. Udał, że czyta napis na mijanym grobie – w końcu nie było zakazu i każdy mógł tutaj przyjść. Nawet on.

Powoli mijał kolejne nagrobki, początkowo symulując zainteresowanie obcymi mu nieboszczykami. Dziewczyna zmierzała w stronę grobów usytuowanych przy murze oddzielającym teren klasztoru od cmentarza. Przystanął, wczytał się w rząd znajomych mu nazwisk. Westchnął z goryczą. Gdyby nie wojna, mógł wieść całkiem inne życie, a tak, cóż, po prostu żył, jak umiał. Chociaż czasami wątpił, czy umie. Skoro nikt go nie nauczył, no bo kto?

Przystanęła przy obelisku z krzyżem, przeżegnała się, schyliła głowę. Całą sobą emanowała żalem i bólem po stracie bliskiej osoby. Położyła niewielką wiązanek przy krzyżu, a gdy się odwracała, dostrzegł, że opuszkami palców ociera cieknące z oczu łzy. Na niego nawet nie spojrziała, starał się, by go nie zobaczyła, i chyba mu się to udało. Odczekał, aż odeszła w stronę cmentarnej bramy, dopiero wtedy ruszył się ze swojego miejsca. Na zdrętwiałych nogach podszedł do grobu i się pochylił. Za murem rozległo się pianie koguta. Kute w kamieniu litery informowały, że został tu pochowany Jan Królikowski, zmarły tragicznie w 1956 roku. Czyli to była mała Królikowska! Dlaczego od razu jej nie poznał, nawet mu w głowie nie zaświtało. Zmieniła się bardzo. Nie

wiedział, czy na korzyść, czy raczej nie, ale wolał trzymać się na dystans i nadal obserwować. Skoro obserwują starą Królikowską, to mogą i trochę czasu poświęcić jej córce. Poza protokołem. Na razie. Dzisiaj już nie musiał wracać do pracy.

* * *

Rocznica śmierci taty, sześć lat temu. Wieki temu. Taki był dumny ze swojego przedwojennego chevroleta. Ojciec był taksówkarzem z powołania i nic mu nie było straszne, ani konfiskaty w czasie wojny, ani wypadek mienia po wojnie. Zawsze umiał wybrnąć z problemów i znowu wyjeżdżał na drogę uśmiechnięty i niezmiennie życzliwy dla swoich klientów. Lubiany i szanowany, z czego Janka bardzo szybko zdała sobie sprawę. Gdyby tata żył, to nie mieszkaliby w tej norze, tylko na pewno mieliby własny dom z ogródkiem, miałyby psa i kota, hodowaliby króliki i kury. Ojciec był jeszcze bardziej zapobiegliwy niż matka. Ale nie uchroniło go to przed przedwczesną śmiercią. Gdybyż tylko nie wjechał wtedy na tory. Gdyby się zatrzymał. Gdyby dróżnik opuścił szlaban, ale nie opuścił, bo był pijany w sztok. Gdyby... Za dużo tych gdyby w jej życiu. Wyprostowała plecy i ruszyła przed siebie. Zamierzała wstąpić do pani Jadzi i umówić się na szycie. Koniecznie potrzebowała nowego kostiumu na lato, szalała za tymi w stylu Chanel, a pani Jadzia potrafiła uszyć dosłownie wszystko. Do tego sukienka na wiosnę, taka sama, jaką widziała w ostatnim „Przekroju”, i może spodnie? Kolejne, matka się znowu na nią wścieknie. Zdecydowana stawic czoło matce weszła do kamienicy Haberfelda i przeskakując po dwa stopnie, prawie wbiegła do pracowni ulubionej krawcowej. Gdy wychodziła, uśmiech nie schodził z jej twarzy. Jeszcze tylko musiała wstąpić do jatk i kupić jakiś ochłap na obiad. Coś musiały jeść.

Zatrzymała się w drzwiach, niepewna, czy powinna wejść, czy lepiej będzie, jeżeli od razu się wycofa. Zawahała się. Matka kazała kupić cokolwiek na rosół – kobieta, która dostarczała im mięso, od dwóch tygodni nie przyjeżdżała i nie wiadomo było, co się z nią dzieje. Z wnętrza jatk buchnęło odorem chabaniny i Jance odechciało się rosółu, sosu i czegokolwiek związanego z tym zapachem. Julka, zastępująca matkę w jacie, była zajęta rozmową z jakimś mężczyzną. Jeszcze niestary, raczej przystojny, o coś się dopominał, dość natarczywie. Janka już miała wycofać się po cichu, gdy w spojrzaniu koleżanki zobaczyła prawdziwy strach, popłoch, panikę. A może ten facet chce ją zgwałcić? – pomyślała zaniepokojona i weszła z rozmachem, zamykając za sobą drzwi. Przystanąła zaraz za progiem i wiedzioną odruchem otworzyła je z powrotem.

– Koniecznie musi się tutaj wywietrzyć – oznajmiła gromko, udając, że nie widzi odchodzącego od lady człowieka. Wyszedł bez żadnego „do widzenia”. Wysoki, ale nieco pochylony. Jego sylwetka wydała się Jance znajoma. – Co to za typ? – spytała, nie czekając, aż Julka ochłonie. – Napastował cię?

Koleżanka, zaciskając wargi, wycierała tasak z zasychającej krwi. Wydawało się, że nie usłyszała pytania.

– Ogłuchłaś czy co?

– To nikt taki.

– Nikt taki? To dlaczego się trzęsiesz i tak kurczowo trzymasz się tego tasaka, jakbyś kogoś chciała zabić? Mam nadzieję, że nie mnie.

Julka powoli się uspokajała. Odłożyła narzędzie zbrodni, przetręła oczy, przygryzła wargi.

– Dobrze, powiem ci, ale dziób na kłódkę, bo to niebezpieczny typ – wyszeptwała, nachylając się przez ladę w stronę koleżanki. – Bo jak wyjdzie, że cokolwiek powiedziałam, to mogę nie przeżyć.

– To gadaj, bo ja go chyba widziałam i to nieraz... – Janka była prawie pewna, że to jest ten facet z cmentarza. Nie widziała go z bliska, ale miał taką samą marynarkę i był tak samo nieprzyjemny. Nawet na odległość. Nachyliła się do koleżanki i słuchała, modląc się, żeby żaden z klientów nie zakłócił im rozmowy. Znała Julkę i wiedziała, że potem się zatnie i nic nie powie. A to mogło być niebezpieczne dla nich obu. I nie tylko dla nich. Po chwili wiedziała, kogo powinna obawiać się najbardziej.

WTEDY I TERAZ, ZAGADKI Z PRZESZŁOŚCI

2017

Sprawdziłem, do kogo należała ta chałupa... – podkomisarz Zygmunt Maciejak efektownie zawiesił głos, skupiając na sobie uwagę rozmówców.

Siedzieli w ogrodzie przy domu, odpoczywając po wyjątkowo ciężkim dniu. Duży parasol chronił ich od słońca, które mimo zbliżającego się wieczoru nadal mocno operowało, a wokół ustawionych na stole dzbanków z chłodzącymi napojami przelatywały pszczoły. Wolały wodę z cytryną i miętą zamiast przygotowanej w ustawionych na trawie miskach zwykłej wody. Cukier z łyżeczek już zdążyły wyjeść, cwaniary. Sławomir Ożegalski z rozbawieniem śledził je wzrokiem, sprawdzając, czy któraś akurat nie pije z jego szklanki. Nie zamierzał dać się użądlić w gardło.

– Do kogo? No mów, człowieku! – pogoniła go Kornelia, a Ożegalski nagłym ruchem odstawił szklankę pełną wody, skrapiając obrus.

– Wyschnie, zostaw. – Maurycy z rozbawieniem obserwował, jak kolega usiłuje wytrzeć wysychającą na słońcu mokrą plamę.

– To jesteście zainteresowani czy nie? – burknął Maciejak, rozczarowany zachowaniem całego towarzystwa. No może oprócz pani Kornelii.

– Pewnie, że jesteśmy! Sorry, wał, czego się dowiedziałeś. – Maurycy wbił emanujące zainteresowaniem spojrzenie w trochę nadętego policjanta.

– A więc tak, z tego, co się dowiedziałem, chałupa od lat należała do Franciszka Karwasa. – Maciejak zapodał bombę i teraz rozglądał się uszczęśliwiony, śledząc reakcję towarzystwa. Wszyscy wyglądali na zaskoczonych, a najbardziej pani Henk, która przypatrywała mu się z takim natężeniem, jakby chciała go zahipnotyzować.

Maurycy też zauważył dziwną reakcję ciotki.

– Ciotciu, wszystko w porządku? – zapytał łagodnie, chwytając ją za drgającą dłoń. – Jesteśmy zaskoczeni, bo według zleceniodawcy te spadki przyszły do niego jeden po drugim, ale o ile Leokadia Królikowska-Wnuk zmarła i rzeczywiście wszystko było jak trzeba, to przecież, nie wypominając, inspektor Karwas jeszcze kilka dni temu był jak najbardziej żywy, więc o spadku po nim w kontekście odziedziczenia majątku nie mogło być mowy.

Ciotka jeszcze przez chwilę łąpała powietrze, potem się uspokoiła.

– Tak, już dobrze, zaraz wam powiem. Mów, chłopcze, czego się dowiedziałeś – poprosiła.

– Cóż... wcześniej właścicielem tej chałupy był niejaki Zenobiusz Żak, a przed nim jakiś Walery Żak, chyba ojciec, ten, który założył zakład fotograficzny. Zenobiusz Żak

odziedziczył plac i domek przed wojną chyba albo już po wojnie. W sumie nieważne. W sześćdziesiątym trzecim roku Żak sprzedał chałupę Franciszkowi Karwasowi za jakieś nędzne pieniądze. I tak zostało. Ten Żak był podobno fotografem, w pobliżu Rynku miał swoje studio, które prowadził po śmierci matki. Mieszkał w tej samej kamienicy, w której miał zakład fotograficzny, a chałupa stała pusta.

Kornelia odetchnęła. A więc to tak się odbyło.

– A skąd ty się, chłopcze, tego wszystkiego dowiedziałeś? – zapytała już spokojnie.

– Pani Kornelio, ma się ten wdzięk i urok osobisty – zażartował Maciejak. – To znaczy umowę spisana pomiędzy Żakiem a Karwasem znalazłem w mieszkaniu inspektora, a co do reszty, to miałem trochę szczęścia, bo poszedłem na zamek, do muzeum i okazało się, że mają zbiór materiałów o tamtych czasach. No i wspomnienia zasłużonych mieszkańców, okraszone zdjęciami pochodzącymi z oświecimskich zakładów fotograficznych. Wie pani, Presslera, Schuberta... no i rodziny Żaków. Piękne fotki. A ten Żak miał rękę do portretów, prawdziwe piękności na tych zdjęciach. A nawet jedno zdjęcie kobiety podobnej do tej Janki. Zaraz znajdę.

Sięgnął po smartfon i rozpoczął żmudne przeszukiwanie zawartości aparatu fotograficznego.

– To ile tego pstryknąłeś? – zapytała starsza pani, zirytowana czekaniem. Co za ślamazara! – pomyślała niezycliwie.

– O, jest, tutaj. – Policjant położył telefon na stole i pochylił się nad ekranem, żeby powiększyć zdjęcie.

– Przecież nic nie widać! – Kornelia pierwsza chwyciła smartfon i ustawiła go tak, by słońce nie zakłócało ostrości. – O, jest! Tak, to na pewno Janka... Jedno z jej najpiękniejszych zdjęć – głos się jej załamał, gdy to mówiła.

Maurycy omiółł ciotkę spojrzeniem, nie odzywając się. Wcześniej myślał, że Kornelia z Janką znały się jedynie z widzenia, może ze szkoły. Ale z reakcji ciotki wynikało, że musiała łączyć je dużo silniejsza więź.

– Ale dlaczego ktoś zamordował Karwasa? Tego nie rozumiem. Co komu przeszkadzał starszy, nikomu niewadzący emeryt?

– Jak by ci to powiedzieć...? – Ożegałski zabębnił palcami po plastikowym blacie stolika, namyślając się, co odpowiedzieć Maurycemu.

– Normalnie powiedz!

– Czuję, że coś tu jest na rzeczy, bo jak tak spojrzeć na ciąg przyczynowo-skutkowy, to zaczęło się od odkrycia zdjęcia Janki w tym całym pakiecie gazetowo-wspomnieniowym, a potem...

– Zaraz, zaraz – wtrąciła się Kornelia. – To nie tak, według mnie zaczęło się od spotkania ze spadkobiercą. Zaczynam nabierać przekonania, że szemranym, chociaż kto go tam wie. Być może rzeczywiście to jakiś daleki krewny Królikowskich. Coś tam wiedział o rodzinie, coś wyciągnął ode mnie. I w sumie to wierzę, że chodziło o wyczyszczenie mieszkania. Kto mu to robi tak dokładnie za takie pieniądze? Powinieneś podnieść stawki, bo cię wykorzystują – zwróciła się do bratanka nieco rozdrażnionym tonem.

Maurycy uniósł brwi zdziwiony takim postawieniem sprawy.

– Stawki mamy podobne do innych, fakt, nie każę płacić z góry, ale obiecuję, po ostatnich doświadczeniach to się zmieni.

Ożegałski sięgnął po dzbanek z wodą i dołał sobie.

– Wam też? – Widząc potwierdzające kiwanie głowami, uzupełnił braki. – Jestem gotowy zgodzić się z panią Kornelią. Gdyby nie spotkanie na pogrzebie Leokadii Królikowskiej-Wnuk, to całej sprawy nigdy by nie było, inspektor Karwas wypoczywałby teraz w sanatorium, planując kolejne spotkania brydżowe, a o Jance

śluch by zaginął. Być może gdyby ten zleceniodawca sam poświęcił trochę czasu pozostałościom po ciocie, to wszystkie gazety, zdjęcia, notatnik i co tam jeszcze było, poszłoby na przemiał.

– Gdyby mój bratanek nie był taki ciekawski, to też poszłoby na przemiał – burknęła Kornelia Henkowa.

– Ciociu, gdyby ciocia nie przyjęła zlecenia w moim imieniu, to całej sprawy by nie było – oddał jej Maurycy. – To podświadomość, ciociu. Na pewno chciałaś, żeby ktoś w końcu zainteresował się zniknięciem Janki. Musiało cię to gryźć przez całe lata. No nie płacz, o rany, przecież nie chciałem zrobić ci przykrości. – Wstał i niezadarnie przytulił Kornelię, obejmując ją za trzęsące się ramiona.

– To może my już pójdziemy? – zaproponował Sławek Ożegalski, jak zawsze umiejący wczuć się w położenie innej osoby.

Starsza pani, pochlipując, pokręciła głową przecząco. Maurycy machnął ręką, prosząc tym gestem, żeby zaczekali.

– Już w porządku, trochę się rozmazałam. Usiądź, bo jak tak za mną sterczysz, to się dziwnie czuję – Kornelia pogoniła bratanek na miejsce. Ten, nie protestując, usiadł i spokojnie czekał, co ciotka ma im do powiedzenia. – Byłam chyba jedyną osobą, która podejrzewała, jakie Janka ma plany. Bardziej przypuszczałam, niż wiedziałam, że zamierza wyjechać z miasta do Warszawy, bo była tam z kimś umówiona. A może ten ktoś miał po nią przyjechać? Nie pamiętam. To był dziwny rok, ja prawie cały czas na studiach, potem praktyka, ale starałam się przyjeżdżać do domu chociaż raz w miesiącu, zwłaszcza że, jak to studentka, potrzebowałam kasy, no i mama mnie dożywiała... – Starsza pani uśmiechnęła się na wspomnienie czasu studiów. – Chodziłyśmy z Janką razem do podstawówki, potem ja do liceum, a ona wyjechała do szkoły z internatem. Nikt jej nie zmuszał, sama chciała wyrwać się z domu, od matki, od tego ich sklepiku, którego nienawidziła. Zawsze mi powtarzała, że to dla niej upokarzające być córką handlary. Tak odbierała matkę. Nie znałam dobrze Leokadii Królikowskiej, ale myślę, że Janka była dla matki niesprawiedliwa. Teraz tak myślę, bo wtedy też... Baba z warzywniaka, co siedzi na pieniądzach. Tak była odbierana Leokadia przez większość swoich klientów, którzy przychodzili do niej, bo nie mieli do kogo. Poza tym można było u niej kupić modne ciuchy. Ceny były koszarne, ale chętnych nie brakowało. W roku zaginięcia Janki mówiło się, że jej matka może zostać w każdej chwili aresztowana. Kręcił się tam taki przyjemniaczek, zaczął albo stał milczący przed sklepem i obserwował, kto wchodzi i z czym wychodzi. Janka mówiła mi, że się go boi. Zaczepiał ją, ale powiedziała, że nic nie wie i że pójdzie na milicję i zgłosi, że zaczepia młode dziewczyny. Podobno się śmiał i mówił, że to on jest z milicji i żeby nie podskakiwała i była grzeczna. No a potem pojawił się ten drugi, który niby chciał się Janką zaopiekować. Wiadomo za co! Przez cały czas szkoły widywałyśmy się, jak Janka przyjeżdżała do domu. Bywała często u mnie, czasami zdarzało się, że została na noc. Rodzice ją lubili, bo Janka potrafiła dać się lubić. Myślę – Kornelia zastanowiła się – myślę, że ona tęskniła za domem, a najbardziej za ojcem. Dlatego tak dobrze czuła się u nas. Matka, zapracowana, machała ręką. Potem pojechałam na studia, udało mi się dostać od pierwszego podejścia, co bardzo dziwiło, bo rodzice zawsze byli bezpartyjni i raczej do polityki się nie mieszała. Przedostatnia na liście, przede mną dzieci partyjnych i z punktami za pochodzenie. Miałam szczęście, jej nie dopisało. Uparła się, że będzie zdawać do Akademii Teatralnej. Przepadła całkowicie, a matka raz na zawsze zapowiedziała, że jej nie pomoże. Ale Janka była uparta. Uczyla się, chodziła na lekcje do Zenobiusza Żaka... – Kornelia urwała, z dezaprobatą kiwając głową. Westchnęła, wyprostowała ramiona.

– Do jakiego Żaka? – Zgmunt Maciejak spojrzął na Kornelię podejrzliwie.

– Do fotografa. Żak był fotografem, odziedziczył zawód po ojcu, no i po matce, bo ona po jego śmierci przejęła atelier – wyjaśniła spokojnie.

Maciejak coś nabazgrał w swoim notesie i wyduł policzki, jak zawsze, gdy się zamyslał.

– Coś ci nie gra? – dopytał Ożegalski zaciekawiony zachowaniem kolegi.

Podkomisarz skinął głową.

– To wał, co wiesz – zachęcił Maurycy.

Kornelia Henkowa powoli sączyła drinka, którego w międzyczasie przygotował Maurycy. Czuła się, jakby zdradziła Jankę, ale uważała, że raz na zawsze należy wyjaśnić, co stało się z jej przyjaciółką sprzed lat. W żadne nieszczęśliwe wypadki nie wierzyła. Pamiętała, że Janka chciała się z nią pożegnać, i nie przyszła. A umówiły się właśnie w pobliżu domu na placu Rybnym. Janka koniecznie chciała się z nią spotkać akurat tam, bo jak wtedy oznajmiła, wołałaby, żeby ktoś jeszcze o tym wiedział, jak ona wyjedzie. Bo jej się to nie podoba – wyrzuciła z siebie, gdy spotkały się w sklepie. No i potem sterczała tam, jak jakaś głupia, nawet podszedł do niej milicjant z pytaniem, czy nie zabłądziła.

Kornelia zamarała, jakby jakimś cudem przeniosła się pod drzwi tamtej chałupy i kostniała z zimna, czekając na Jankę. Przecież jeżeli...

– Czyżby zbieg okoliczności? – wyszeptła do siebie zdumiona.

– Ciociu, wszystko w porządku? Halo, tu Ziemia – zdenerwowany Maurycy podniósł głos.

Kornelia obrzuciła go pełnym wyrzutu spojrzeniem.

– Nie drzyj się tak, bo mi bębenki w uszach popękają!

– Ale naprawdę, pani Kornelio, wyglądało, jakby pani zobaczyła ducha – wyjaśnił Maciejak.

– Coś się pani przypomniało? – wyczuł Ożegalski.

Kornelia potwierdziła skinieniem głowy.

– Jeszcze moment, niech dojdę do siebie, zaraz wam wyjaśnię.

Słuchali w skupieniu, gdy relacjonowała wszystko, co zapamiętała z tamtego dnia.

– Wprawdzie nie jestem pewna na sto procent, ale wydaje mi się, że tym milicjantem był Karwas. Wtedy młody, taki jeszcze nieopierzony, ale miał w sobie coś takiego, że przykuwał uwagę. Więc jestem prawie pewna, że widziałam go przy tej chałupie, która, jak powiedział Zygmunt, była w tamtych czasach własnością Zenobiusza Żaka, a potem Karwasa. Czy to był tylko zbieg okoliczności? Przecież mówiłeś – zwróciła się do bratanka – że to właśnie Karwas przyjął zgłoszenie o zaginięciu dziewczyny. W sumie zdziwiłam się, że tak szybko, bo mógł przecież odprawić Leokadię do domu, powiedzieć jej, że dziewczyna zabalowała i żeby nie zawracała głowy, jak oni to mówią, organom ścigania. Mógł odmówić na sto sposobów. A jednak przyjął.

– A może już wtedy wiedział, co stało się z Janką? – wtrącił Ożegalski.

Maciejak przytaknął.

– Rzeczywiście to byłby dobry powód, ale jeszcze lepszy do odmowy, gdyby był bezpośrednio zaangażowany. Widocznie nie był. Dużo złego można powiedzieć o tamtych czasach, ale przecież kryminalni pracowali, łapali morderców. Pewnie, że różnie to bywało, choćby sprawa Marchlewskiego, ale jednak trudno mi uwierzyć, że byłby gotów zlekceważyć sprawę, która popchnęłaby jego karierę.

– Może tak, może nie – Maurycy był nastawiony sceptycznie. – Przecież Żak za coś mu zapłacił – dodał z namysłem.

– Myślisz, że Żak zabił Jankę, a Karwas jakimś cudem się o tym dowiedział? Może śledził Żaka? Ale – Kornelia zawahała się – jeżeli Janka była u Żaka, to nie tutaj, tylko w atelier.

– Ciągłe tylko Żak i Żak, a może ktoś całkiem inny? – zniecierpliwiał się Ożegalski. – Jakoś mi to do Karwasa nie pasuje. Mówię wam, to był dobry glina. Może i zboczył na chwilę, ale mordercy by nie chronił. Nie ma mowy.

– A gdzie było to atelier? Pamięta pani?

No właśnie. Dlaczego nie powiedziała im tego wcześniej? Kornelia skłęła w duchu swoją ostrożność i niechęć do dzielenia się wiedzą. Zmarszczyła brwi, udając, że się namyśla intensywnie.

– Ciociu, to chyba było przy Rynku? Tak mi się wydaje, że jako gówniarz miałem tam robione zdjęcia, ale nie pamiętam żadnego staruszka. Chyba jakaś starsza pani przyjmowała klientów. Taka siwa, dostojna... jakby z innej epoki.

– Siwa i dostojna? Nie mam pojęcia, o kim mówisz.

– Może się myślę, ale mam ją przed oczami. – Maurycy usiłował przypomnieć sobie więcej szczegółów.

– A może byłeś u kogoś innego? W końcu w Oświęcimiu było więcej fotografów, nie tylko ten Żak – zasugerowała starsza pani.

– Może, nie wiem. Tak zapamiętałem.

– Pani Kornelio, to co z tym atelier? – dopytywał Maciejak.

– Hm, jak by wam to wyjaśnić? – Kornelia namyśliła się. – Trudno, pomyślicie pewnie, że chciałam coś zataić, ale naprawdę na początku nie skojarzyłam, potem pomyślałam, że to nieważne. A jeszcze potem zamordowano Karwasa i jakoś tak... Wiem, wiem – pokiwała głową znacząco. – Najpierw nie skojarzyłam, ale potem przypomniałam sobie, że na dole tej kamienicy, w której mieszkała do śmierci Leokadia Królikowska, był zakład fotograficzny rodziny Żaków. Nazywało się to Atelier Miraż. No i Zenobiusz miał nad pracownią mieszkanie. I albo było to mieszkanie naprzeciwko mieszkania Leokadii, albo dokładnie to, w którym ona potem mieszkała. Naprawdę nie wiem, co mam o tym sądzić. Jestem całkowicie zdezorientowana.

Patrzyli na nią zaskoczeni, jakby się dowiedzieli, że Zenobiusz Żak był kosmitą. Przez chwilę trwali w milczeniu, zastanawiając się, co powiedzieć, żeby nie sprawić jej przykrości. Pierwszy odezwał się Maurycy.

– Ciociu... – jęknął z przyganą.

Opuściła głowę, roniąc łzę.

– No nie płacz, przecież miałaś prawo zapomnieć. Tyle lat, i tak się dziwię, że tyle zapamiętałaś. Ale to oznacza, że może podświadomie wiesz dużo więcej, więc spróbuj sobie coś jeszcze przypomnieć. Jakiś drobiazg, cokolwiek. Spróbujemy odtworzyć ostatni dzień Janki. Bo skoro miała wyjechać do Warszawy, to albo pociągiem i dlatego trzeba sprawdzić, o której wtedy odchodziły pociągi do Krakowa, albo do Katowic, bo przecież żaden nie jechał bezpośrednio, albo, co wydaje się bardziej prawdopodobne, miała jechać z kimś samochodem. A przecież wtedy nie było tych samochodów zbyt wiele. Ona nie miała, prawda? – zwrócił się do Kornelii.

Przytaknęła, pociągając nosem.

– Nie miała. Wprawdzie jej ojciec był taksówkarzem, miał taki piękny samochód kupiony przed wojną i bardzo o niego dbał, ale zginął na przejeździe kolejowym i z samochodu, i z ojca nie zostało prawie nic. Podobno dróżnik się spił i spał, a ojciec Janki był zmęczony, nie popatrzył, bo skoro szlaban podniesiony... Wjechał wprost pod pociąg. Nawet im ciała nie pokazali, bo nie było czego pokazywać. No i ta kupa blachy. Jakieś śmieszne odszkodowanie im wypłacili i tyle.

– Czyli była zdana na kogoś obcego?

– Na pewno. Zresztą ja to tak rozumiałam, że przez przypadek poznała kogoś, kto ułatwi jej karierę. Zapewne przez łóżko, bo jak inaczej? – Kornelia westchnęła z naganą. – Janka miała marzenie i za wszelką cenę chciała je zrealizować. Bardzo się

zmieniła przez ten ostatni rok, ale miałam wrażenie, że gdy opada maska jej pewności siebie i nawet arogancji, to Janka czegoś albo kogoś bardzo się boi. Oczywiście nie mówiła tego, ale miała zwyczaj oglądania się za siebie, jakby sprawdzała, czy ktoś za nią nie idzie. No i te zdjęcia...

– Przepiękne. – Maurycy uśmiechnął się z zachwytem.

– No właśnie... – potwierdziła ciotka niechętnie.

– Ale że co? Były jeszcze inne? – zareagował przytomnie Maciejak.

– Tak po prawdzie, to nie powiem, bo nie widziałam. Ale słyszałam, że ktoś widział zdjęcie Janki w jakimś piśmie, niezbyt przyzwoitym. Z zagranicy ktoś dostał. Wtedy to był unikat, bo u nas, i owszem, dziewczyny były wydekoltowane, ale tak raczej dla pobudzenia wyobraźni... No ale Janka powiedziała, że to niemożliwe i ktoś chce jej zrobić koło pióra. Do dzisiaj nie wiem, co było prawdą, ale moja mama nie bez przyczyny zabroniła mi fotografować się u Żaka. Coś tam mruzczała, że Żak ma lepsze ręce, ale myślałam, że chodzi jej o kradzież, takie sprawy... No i potem widziałam zdjęcia Janki i zazdrościłam jej, bo na nich wyglądała pięknie. Jak nie ona, chociaż w naturze też była śliczną dziewczyną. Ale na tych fotkach... po prostu magia. No ale posłuchałam mamusi. Może to i lepiej, bo też mogłam zaginąć – dodała z niepokojem. – Więcej dzisiaj sobie nie przypomnę, ale z pamięcią to jest tak, że o czymś nie pamiętasz, potem przychodzi i zaczynasz o tym myśleć, i przypominasz sobie coraz więcej i więcej szczegółów. Może i tym razem jakaś klapka w mózgu mi się odblokuje i pomogę wam w tym nietypowym śledztwie. Bardzo bym chciała się dowiedzieć, co naprawdę stało się tamtego dnia. – Westchnęła przygnębiona.

Potem przyglądała się im, gdy po pożegnaniu jeszcze przez chwilę stali przy bramce wejściowej. Nie słyszała, o czym rozmawiali, ale tak naprawdę niewiele ją to obchodziło. Kto zabił Jankę? Zenobiusz Żak, Franciszek Karwas, nieznajomy z Warszawy czy może ten chłopak, którego się bała? Chyba Józek mu było? W wypadku od dawna nie wierzyła.

STRACONE ZŁUDZENIA

Maj 1962

Płakała długo, wtulając twarz w poduszkę. Najchętniej wydlubałaby sobie oczy, żeby nie widzieć siebie samej, wyuzdanie rozespanej, prawie nagiej, jak jakaś dziwka. Może nie tania, tego byłoby za dużo, ale chociaż chciała zrobić karierę, to w jednej sekundzie zdała sobie sprawę, że nie za wszelką cenę. Matce powiedziała, że boli ją ząb i jak nie przejdzie, to będzie musiała iść do dentysty, najlepiej tego przyjmującego na Śniadeckiego doktora Erenfelda. Podobno jest drogi, ale dobry. Matka odburknęła, że znowu ma fanaberie, mogłaby jak każdy iść do ośrodka, ale przynajmniej dała jej spokój.

– Popatrz, jaka jesteś piękna! – Zenobiusz Żak pchał jej przed oczy fotografie, na których świeciła biustem, z sukienką więcej pokazującą, niż osłaniającą. Bardzo nieprzyzwoite zdjęcia. Był całkiem inny, nieprzyjemny, natarczywy, drwiący. Zniknął gdzieś miły, troskliwy starszy pan. Poczuli się osaczona, pewna, że jedyne, co jej zostało, to skończenie ze sobą. Była głupim beztalenciem, które wymarzyło sobie karierę. Z całą ostrością przypomniała sobie wszystkie spotkania z Zenobiuszem, to powolne osaczanie, przyzwyczajanie do swojego odbicia na zdjęciach. No i dzisiejszy szok. Gdyby wiedziała, nigdy by się nie zgodziła! Tak zamierzała krzyknąć, ale głos uwiązał jej w gardle. Bo czy na pewno?

Chlipnęła jeszcze kilka razy i przerażona otworzyła zapuchnięte od łez powieki. Powróciła myślami do wczorajszego wieczoru, gdy szła rozemocjonowana do Atelier Miraż. Wcześniej, rankiem, roznosząc towar do klientów, spotkała starego fotografa obciążonego mnóstwem przesyłek pocztowych. Zniżając konspiracyjnie głos, zaprosił ją do siebie wieczorem, obiecując, że ma dla niej niespodziankę. Myślała, że może skontaktował się z nim ktoś poszukujący aktorki albo w ostateczności modelki, a gdy już zdyszana dotarła na miejsce, usiadła na sofie, wachlując się chusteczką – upał panował przeokropny, to ten straszny człowiek położył przed nią plik zdjęć, pytając, czy poznaje.

W pierwszej chwili nie zrozumiała, o co chodzi. Przecież na pewno nie o nią. Gdyby kiedykolwiek tak się roznegliżowała, to na pewno pamiętałaby o tym zdarzeniu. Na zdjęciach widziała siebie i nie siebie. Gdyby ktoś obcy uznał, że to ona jest na zdjęciach, to protestowałaby do upadłego. Przecież ta kobieta wyglądała jak Marylin Monroe, miała fryzurę Marilyn i biust Marilyn. To musiała być Marylin! A jednak to była ona, Janka Królikowska, skromna dziewczyna z Oświęcimia, córka handlary warzywami. Dobrze, że nie sprzątaczkę, pomyślała pogardliwie i znowu się rozpłakała. Co matka była winna, że tak nieszczęśliwie ułożyło się jej życie?

I co ona ma teraz zrobić?

Zenobiusz Żak zapowiedział, że jeżeli nie zgodzi się na kontynuowanie tych sesji, to roześle zdjęcia do wszystkich sąsiadów, do proboszcza i pierwszego sekretarza i całe miasto się dowie, że daje dupy po kryjomu i za ile. Nawet nie mogła mu nic odpowiedzieć, tak ją łzy dławiły w gardle. Był okrutny i bezwzględny, czuła, że nie ustąpi. Nie pomoże jej, tylko tak długo, jak mu będzie pasowało, będzie ją wykorzystywał. A co potem? Przeraziła się. Pociągnęła nosem, otarła łzy. Wstała niemrawo i podreptała do kuchni.

– Matko Boska! Jak ty, dziecko, wyglądasz?! – Matka poderwała się z krzesła na jej widok, podeszła i mocno przytuliła. – Już cię nie boli? – zapytała z troską, dotykając prawego policzka. Janka potwierdziła, że już prawie nie boli, ale ona musi...

Matka zerknęła na podłogę pod stołem i zakłęła. Zajrzała we wszystkie kąty kuchni, potem do pokoju. Wybiegła z mieszkania, nie zamykając drzwi. Do Janki doleciało soczyste:

– Zawadzka, ty kurwo niemyta! Otwieraj, lafiryndo! Miskę umiałaś pożyczyć, ale oddać nie potrafisz!

Matka łupnęła pięścią w drzwi. Przez chwilę było cicho, potem drzwi skrzypnęły, ktoś zamamrotał przeprosiny i Leokadia z miską wróciła do domu.

– I jeszcze niedomyta. Co też za ludzie tu mieszkają?! Jeszcze rok, dwa i się wyprowadzimy, córciu, wyprowadzimy się, obiecuję ci to! – powtarzała gorączkowo, szorując miskę i dolewając wody do gara na piecu. Brudną wodę zlała do wiaderka i po chwili napelniła naczynie ciepłą wodą. – Weź, umyj się, dziecko, potem na spokojnie zjemy kolację i porozmawiamy.

Leokadia zostawiła Jankę samą i weszła do pokoju.

To, co działo się ostatnio, w ogóle jej się nie podobało, a w bolący ząb wierzyła tyle, co w świętego Mikołaja. Ale na razie dla dobra domowej atmosfery postanowiła udać, że wierzy córce. Już ona się wszystkiego dowie, kto skrzywdził jej córeczkę, i zabije albo i co gorszego zrobi. Ręce jej się trzęsły, a serce telepało w piersi jak oszalałe, więc dla uspokojenia sięgnęła po leżącą na stole gazetę. Może to i czasem było nieco zbereżne i takie nie z jej świata, ale polubiła „Przekroje”, a nawet kilka razy ugotowała coś według przepisu Jana Kalkowskiego, no i zaczytywała się Kroniką sądową prowadzoną przez Wandę Falkowską. Uwielbiała te kryminałki z życia wzięte. Może czytałaby więcej, ale codziennie przychodziła z pracy bardzo zmęczona i zanim zjadła zrobiony przez Jankę obiad, zanim odpoczęła, to już zaczynał się w telewizji jakiś ciekawy program i szła do sąsiadów. Chyba jednak skusi się na własny odbiornik. Janka się ucieszy.

Pospiesznie złożyła gazetę, słysząc, że córka kończy mycie i wychodzi na zewnątrz do ustępu. Miała mortadelę, postanowiła, że opieczje ją na patelni, do tego chleb od Skorusia i kiszzone ogórki, jeszcze zostały im z zeszłego roku. Kolacja jak marzenie. A jak Janka nie będzie chciała rozmawiać, to odpuści, zasugeruje, żeby zainteresowała się tymi studiami, kiedy papiery składać, no i że musi przygotować się do egzaminów.

Westchnęła ze złością, wspominając ostatnią wizytę ojca. Że też musiał spaść z tych cholernych schodów! Nie zdążył jej niczego zapisać, niby się jej należało, ale potem okazało się, że spadek był mocno zadłużony i przeszedł w ręce wierzyciela. Nawet się nie szarpała, ale ze śmiercią taty straciła ostatnie oparcie, jakie miała w życiu. Mimo obecności córki została boleśnie sama. Lepiej byłoby, gdyby niczego nie pamiętała – czasem marzyła, że zaśnie i już się nie obudzi, przechodząc bezboleśnie do świata zmarłych. Wtedy dopiero by sobie z ojcem porozmawiała. Bo z matką nie rozmawiała nigdy. Bała się jej.

CZERWCOWE ŚLEDZTWO

2017

No w końcu! Od tygodnia usiłuję się do pana dodzwonić!

Maurycy ledwo zdążył otworzyć oczy, gdy rozdzwonił się telefon. Dał na głośnomówiący i sięgnął po butelkę mineralnej. Suszyło go, jakby imprezował przez całą noc.

– No właśnie, widziałem, że pan dzwonił. Jak rozumiem, już wszystko załatwione i możemy zakończyć współpracę – w głosie Leszka Dębickiego pobrzmiwała nuta wyższości, tak nieznośna u niektórych osób.

Maurycy policzył w myślach do trzech, żeby nie wybuchnąć.

– Czy odsłuchiwał pan wiadomości ze skrzynki pocztowej, bo nagrałem się tam kilka razy? – zapytał wprost, przeczesując sobie włosy palcami.

– A nie, no przecież po co innego by pan dzwonił? Poza tym nie mam czasu, telefon pęka od połączeń, bo widzi pan – tu zleceniodawca nieco się spieszył – musiałem zostawić telefon w serwisie, coś tam nie stykło, no i na wczasy wziąłem drugi. Dziesięć dni bez kontaktu ze światem. – Zaśmiał się hałaśliwie. – No ale jestem, jestem – dodał łaskawie.

Maurycy chrząknął, zastanawiając się, jak zacząć.

– To szkoda, że pan nie odsłuchiwał, ale trudno. W tym domu popełniono morderstwo, zginął jego właściciel i... – Maurycy zawiesił głos, czekając na reakcję. Słyszał, jak facet szybko wciąga powietrze i po chwili wypuszcza je. Należało sądzić, że wiadomość go zaskoczyła.

– Nic z tego nie rozumiem – wyjąkał. – Przecież to mój spadek, wuj od lat nie żyje, nieważne, że przyrodni, ale rodzina – tłumaczył bezładnie. – Tam nie mogło być innego właściciela, musi mi pan uwierzyć. No i policja, policja musi mi uwierzyć – uświadomił sobie odkrywczo.

Maurycy chrząknął znacząco.

– Obawiam się, że policja wcale nie musi panu uwierzyć na słowo, a papiery na pewno sprawdzą. I na pewno dzwonił do pana, więc może się pan spodziewać, że lokalna policja się odezwie.

– Tak, tak, zaraz sprawdzę. No sam nie wiem, co robić. Mam kupca na ten dom, niecierpliwi się, ale w takim układzie...

– Cóż, policja pozwoliła nam wejść i ja mogę wywiązać się z umowy, ale pod warunkiem, że przeleje mi pan resztę kasy wynikającej z umowy. – Maurycy postanowił, że najwyższy czas zacząć dbać o własne interesy.

– Skoro tak... Ja mam papier, prawdziwy papier, nie jakieś szemrane dokumenty – jego rozmówca zgodził się nadspodziewanie łatwo. – Niech pan zaczyna, dzisiaj zrobię

przelew i załatwię, co trzeba – zdecydował.

Do Maurycego nagle dotarło, co usłyszał przed kilkoma minutami. To mogło mieć ogromne znaczenie.

– Jeszcze chwila, mam pytanie. Powiedział pan, że Zenobiusz Żak był pana wujkiem, prawda?

– No tak, zgadza się.

– Ale Leokadia Królikowska-Wnuk była pana ciotką, więc jak to możliwe? Przepraszam, pytam, bo...

– Tak, tak, rozumiem, ale to było jakieś pokrewieństwo i jak on zmarł, to ona odziedziczyła, no a potem ja – wyjaśnił mężczyzna. – To jesteśmy dogadani, bo teraz to, wie pan, policja i te sprawy... – Połączenie zostało przerwane.

No chociaż tyle, że nie musiał robić w ciemno. Dlaczego to wszystko jest takie zagmatwane? Ciekawe, czy Maciejak wyciągnął dane z ksiąg wieczystych. I kto faktycznie płacił podatek od nieruchomości? Bo skoro stała pusta i podobno bez właściciela... Maurycy, wchodząc pod prysznic, zaczynał tworzyć własny scenariusz zdarzeń.

* * *

Tym razem Kornelia odpuściła sobie wizytę na dawnym placu Rybnym. Zaskoczona nowymi informacjami obiecała, że spróbuje sobie jeszcze cokolwiek przypomnieć. Zenobiusz Żak i Leokadia? Czyli fotograf mógł być dla Janki wujkiem? Nie wydawało się to możliwe, ale też o tak wielu sprawach się wtedy nie mówiło. Kornelia przypomniła sobie, jak mama ściszała głos, opowiadając o mieszkającej w Anglii rodzinie. Żeby nikt nie doniósł, chociaż Kornelia uważała, że ci, co chcą wiedzieć, wiedzą. Byli nieszkodliwi, nie mieszały się w politykę, bo jak zawsze mówił ojciec: cudem udało im się przeżyć wojnę, to nie chciałby zginąć, gdy panuje jaki taki spokój na ulicach. Może to i było zachowawcze, ale tata ledwie uniknął obozu i bał się o nich. Że nie będą mieli prawdziwego dzieciństwa, że to, co udało się z trudem zbudować, runie jak domek z kart. Westchnęła, czując w gardle ucisk wzruszenia. Załamała tatę śmierć syna, taka durna, niepotrzebna. Miał pretensje do synowej, że zawsze się awanturowała, czepiała o byle co. Może i słusznie, ale co z tego, skoro oboje szybko przenieśli się do lepszego ze światów.

Kornelia mechanicznie wycierała talerze, układając je na blacie pod oknem do ostatecznego przeschnięcia. Coś tam na obiad miała, wrzuci do wody pierogi, najwyższy czas zjeść zapasy z zamrażarki, zupę mieli z wczoraj. Wprawdzie teraz musiały pamiętać o większej liczbie gęb do wyżywienia, ale w sumie sprawiało jej to przyjemność. Nie można całe życie żyć tylko dla siebie i własnymi sprawami. To niezdrowe dla psychiki.

Tak, kuchnia była ogarnięta, menu ustalone, mogła spokojnie zrobić sobie kawę i przejrzeć te papiery od Janki pod całkiem innym kątem. Wcześniej czytali, jak leci, nie bardzo wiedząc, czego szukają, ale teraz... Czy Zenobiusz Żak byłby zdolny do morderstwa? A może to ktoś inny? Kto oprócz niej wiedział, że Janka zamierza wyjechać z Oświęcimia? Komu powiedziała, a kto się domyślił?

Kuchnia wypełniła się aromatem świeżo parzonej kawy. Kornelia przymknęła na moment oczy, rozkoszując się chwilą ciszy. Była pewna, że uda im się znaleźć osobę odpowiedzialną za zniknięcie jednej z najpiękniejszych, jeśli nie najpiękniejszej, oświęcimianki. Gdyby Janka startowała w wyborach Miss Polonia, to wygraną miałyby w kieszeni. Ale ostatni konkurs urządzono cztery lata przed jej zniknięciem, nie miały jeszcze osiemnastu lat, więc mogły tylko pomarzyć i z zachwytem oglądać zdjęcia

zwycięzcy Zuzanny Cembrowskiej. Przepiękna kobieta! Ostatnia miss z tamtych czasów. – Kornelia westchnęła z nostalgią. Potem to już nie było to samo. Ileż straconych szans!

Nalała sobie kawy i zmobilizowana skierowała się do salonu, by przeprowadzić własne śledztwo.

Gdyby tylko wiedziała, jakie konsekwencje przyniesie ta jedna rozmowa, to zapewne nigdy nie wybrałaby tego numeru telefonu.

JAK ZŁY DUCH

Czerwiec 1962

Józek Widłęga przyjechał do domu pod koniec czerwca, wzbudzając radość u matki i niepokój u ojca. Starał się ich traktować jak prawdziwych rodziców, a po zastanowieniu mógł nawet powiedzieć, że miał sporo szczęścia w tym swoim sierocym nieszczęściu, ale zawsze na dnie serca odzywała się zadra z przeszłości i świadomość, że tak naprawdę jest sierotą. A jednak cieszył się, że mógł sprawić radość matce i niepokoił razem z ojcem. Bo było czym.

Przyszli do niego nad ranem, kazali wyjść z akademika, szczęście, że nie wywlekli, bo nie miałby już wstępu w mury uczelni. Zabrali do siebie i wypytywali o kolegów, o wywrotowców czytających zagraniczną prasę i słuchających Radia Wolna Europa. Zaprzeczał, nie wiedział tak naprawdę nic. Na studia dostał się dzięki pochodzeniu robotniczemu i przynależności ojca do PZPR, a akademik dostał za wysoką średnią ocen, bo wkuwał jak szalony. Z kolegami był w dobrych układach, ale nie miał czasu na imprezowanie, a ci, z którymi mieszkał, też wkuwali, bo na AGH człowiek nie dostaje się przez przypadek, tylko musi coś umieć. Tak tłumaczył, patrząc na nich błagalnie, bo bał się, że zaczną bić, a tego by nie przetrzymał. Matkę też bili, tamci, Niemcy, oprawcy. Ale ona na pewno niczego nie zdradziła, bo inaczej nadal by żyła. Zginęła dla sprawy, przez sprawę. On nie miał takiego zamiaru. Po trzech godzinach dostał szklankę zimnej wody. Pił ją szybko, haustami, bał się, że zaraz mu ją wytrącą z ręki, zaczną bić, sponiewierają. Nie bili. Wyszli, zostawiając go samego w małym, ponurym pomieszczeniu z biurkiem, lampą, prostym krzesłem i zdezelowanym taboretym, na którym siedział. Zaczął przypominać sobie wszystkie historie o przesłuchaniach prowadzonych przez Służbę Bezpieczeństwa, nie przez ludzi, przez służby, jakby takie postawienie sprawy zwalniało ich od jakiegokolwiek odpowiedzialności. Historie o tych tysiącach wybitych zębów, połamanych rękach i zgruchotanych kościach. Bał się jak nigdy dotąd i chciał tylko przeżyć. Był gotowy zgodzić się na wszystko, co mu zaproponują, byle uratować życie.

Gdy usłyszał zgrzyt otwieranych drzwi, poczuł w sobie pustkę i kompletną rezygnację. Nie wiedział, że właśnie o to chodziło obserwującym go funkcjonariuszom.

Był gotowy do współpracy, tym bardziej gotowy, że usłyszał, co mogłoby przytrafić się Jance, jeśli nie zechce współpracować.

Podpisał wszystkie papiery. Pseudonim „Ziutek” brzmiał w jego uszach dziwnie obco, a przecież tak wołali na niego koledzy z podwórka. Gdy wrócił do akademika, nie wiedział, gdzie ma się podziąć. Na pytania jedyne kolegi, który widział całe zamieszanie, odpowiedział, że chyba padł ofiarą pomyłki. Nie wiedział, czy Jurek mu uwierzył, ale w sumie w tym momencie niewiele go to obchodziło. Miał donosić, jak

jakiś szpicel – kazali mu sprawdzić przybranego ojca, mieć oko na sąsiadów, znajomych. No i odczepić się od Zenobiusza Żaka, któremu nie w smak było jego zainteresowanie Janką. Bo od niej też się miał odczepić, bo inaczej... Nie wiedział, co może kryć się za tym „inaczej”, ale naprawdę nie miał zamiaru sprawdzać.

Miał milczeć, więc milczał. Zjadł obiad, opowiedział parę historii ze studiów, tak jak zawsze. Potem długo siedział w swojej klitce wydzielonej z dużego pokoju, zastanawiając się co dalej. Na ojca nie zamierzał donosić, ale coś powiedzieć musiał, żeby i jemu, i ojcu nic złego się nie przytrafiło. Zresztą zdawał sobie sprawę, że ojciec jest nic nieznaczącą płotką w tej skomplikowanej układance.

Wieczorem wyszedł na miasto, tak sobie pochodzić nad Sołą – w powszedni dzień było tam raczej pusto. Zamyślony dotarł aż do ogródka jordanowskiego, posłał przez chwilę, wpatrując się bezmyślnie w zjeżdżalnię, i wolnym krokiem wrócił do domu. Nie zauważył przyglądającego mu się z daleka mężczyzny. Ubrany w jasnoniebieską koszulę z podwiniętymi długimi rękawami, krawat w rzucik i płócienne spodnie, nie wyróżniał się spośród innych mężczyzn. Z aparatem fotograficznym zawieszonym na szyi i marynarką przewieszoną przez ramię robił wrażenie turysty. Do całkowitego kamuflażu brakowało mu słodko uśmiechniętej żony i gromadki dzieci albo roześmianej, beztroskiej dziewczyny. Takiej jak Janka. Janki mu brakowało i zamierzał to zmienić. Zamierzał ją zdobyć.

Gdy wracał, słyszał za drzwiami Królikowskich podniesione głosy. To matka Janki krzyczała coś o wstydzie czy jejami braku i że pan Bóg pokarał ją taką córką, głupią jak but i leniwą. I jeszcze inaczej... Józek wszedł do siebie na piętro i czekał, aż usłyszy trzaśnięcie drzwiami i kroki Janki na klatce. Zazwyczaj w ten sposób kończyły się awantury młodej i starej Królikowskiej. Powinien wrócić do domu, matka na pewno już się niepokoiła, ale chciał zobaczyć Jankę, ostrzec ją przez tym obleśnym dziadem obmacującym ją spojrzeniem i pewnie nie tylko. Aż zadrżał, wyobrażając sobie przebieg spotkania Janki z tym... Nie umiał znaleźć słów, żeby określić postępowanie Żaka. Z tym... degeneratem! Właśnie tak!

Czekał daremnie, tym razem skończyły się na płaczu. Janka nie zamierzała wychodzić z domu.

Rano zobaczył ją idącą obok matki, uśmiechniętą, tak jakby nic się nie stało. Obie wyglądały jakoś odświeżone, a on uświadomił sobie, że przyjechał prawie na obchody święta Bożego Ciała. Ojciec nie chodził do kościoła i mało przychylnym okiem spoglądał na rozmodlenie żony, która starała się uczestniczyć w większych uroczystościach. Tym razem też podbiegła do Królikowskich i razem z nimi ruszyła w kierunku kościoła, przy którym miała odbyć się procesja. Józek, czając się za murami budynków pamiętających galicyjskie czasy, ruszył za nimi. Wokół kościoła zbierali się wierni, widać było zaafekowanych księży – z daleka rozpoznał księdza Domino, do którego chodzili z całą klasą na lekcje religii. Czasy były trudne i takie manifestowanie się z wiarą było opowiedzeniem się przeciw niepodzielnie rządzącej w Polsce władzy, ale ludzie potrzebowali oparcia i poczucia bezpieczeństwa, które dawał Kościół. Panowała atmosfera podniosłej radości, która mimowolnie udzieliła się także Józkowi. Z obserwatora stał się niemal uczestnikiem procesji. Niemał, bo w ostatniej chwili zauważył znajomą sylwetkę oficera SB, który jak najwierniejszy katolik przyłączył się do rozmodlonego tłumu.

– Takie kwiatki! – Młody mężczyzna zgrzytnął zębami i wycofał się w kierunku synagogi. W tłumie mignęła mu jeszcze skupiona twarz Janki. Prześladowca ukrył się umiętnie.

Długo spacerował uliczkami Starego Miasta, nie mógł się uspokoić. Zawszędobiegały go pieśni kościelne, bo przy Salezjanach zebrał się tłum. Jak zawsze.

Zazdrościł tym ludziom prostej wiary i ufności, ale też zaczynał dostrzegać w tym stadzie owiec niebezpieczne wilki. Kto jeszcze był nie tym, za kogo się podawał? A on, Józef Widłęga, pseudonim „Ziutek”, kim był? Nigdy nie uważał się za mocno wierzącego, ale też nigdy nie odrzucił wiary. Był między matką a ojcem, po dwóch stronach barykady. Sprzedał się za cenę życia Janki, tak chciał myśleć o swojej natychmiastowej kapitulacji, a tak naprawdę był pospolitym tchórzem, który najchętniej skończyłby ze sobą natychmiast, gdyby tylko miał odrobinę odwagi. Na razie żył, dla Janki, żeby ją chronić. Nawet przed nią samą, a już na pewno przed wszystkimi czyhajęcymi na jej wdzięki.

* * *

Widziała go z daleka, jak krył się za murami, nawet zamierzała zawołać, ale zrezygnowała. Potem zagadał coś do niej ten modniś pod czterdziestkę, co to niby taki rozmodlony, ale słów pieśni nie znał, widziała, że tylko porusza ustami dla pozorów. Dreszcz przeszedł ją zimny, gdy rozpoznała w nim faceta, który co jakiś czas pojawiał się i znikał, jak duch umiejętnie kamuflujący swoją zewnętrzną powłokę. Ale z wąsami czy bez, w czapce, berecie, z włosami do kołnierza i tak oczy miał takie same, niebieskie i lodowato zimne. Zenobiusz Żak wyjechał na wczasy, podobno nad morze, ale nie wiedziała dokładnie dokąd, więc trochę się uspokoiła. Niby nie musiała do niego przychodzić, ale po tamtych seansach, które wspominała ze wstrętem, przyszedł czas na prawdziwą naukę. Pod wpływem fotografa sięgnęła po wiersze Władysława Broniewskiego. Żak twierdził, że nauczy ją recytować z takim patriotycznym zacięciem, że na pewno zrobi wrażenie na członkach komisji egzaminacyjnej. Te całe egzaminy, zdawanie na studia, nauka zdawały się Jance jakąś mrzonką, nieosiągalnym celem, do którego już sama przestała dążyć, a jednak uczyła się i powtarzała wieczorami, stojąc przed lustrem:

Dzień dobry, kochana! Śniegi
świat niedługo zawieją.
Aż po jeziora brzegi
bieli się wszystko – nadzieją.
Mnie – cóż? Kieliszek koniaku,
pióro, kawałek papieru,
myślę i „w braku laku”,
(znaczy natchnienia) – papieros.
Pomyślę jeszcze: kocham,
pomyślę dłużej: w płacz...
Chciałem szczęścia choć trochę,
a teraz płaczę – patrz¹.

Wzruszały ją te wyznania poety, głos się łamał, gdy uświadamiała sobie, że córka mu zmarła kiedyś tam, a on sam nie żyje od lutego. Gdyby zapytać, czy rozumie, o czym czyta i co recytuje, to zapewne spieszyłaby się i znowu poczuła niepewnie, chociaż przecież nie była głupia i maturę zdała bardzo dobrze. Ale Żak nie pytał, przymykał oczy i wsłuchiwał się w jej niewyszkolony tembr głosu, dobiegający jakby z oddali.

Józek pojechał na następny dzień, a Janka odetchnęła z ulgą, jakoś nie bardzo chciała się z nim spotkać, nie miała o czym z nim rozmawiać, a powiedzieć mu, co się tak naprawdę dzieje w jej życiu, nie mogła. Ona spaliłaby się ze wstydu, a on? Być może

wykorzystałby tę wiedzę przeciw niej. Tak jak Zenobiusz Żak, tak jak ten włóczący się za nią i za Leokadią milicjant, co to odgrażał się ostatnio, że gdyby chciał, to wsadziłby Leokadię na wiele lat do więzienia, i ona powinna być mu wdzięczna, bo jak nie... I tamten, co chodził za nią, a potem zniknął i znowu się pojawiał jak zły duch. Tamtego bała się chyba najbardziej. Dlatego musiała zniknąć i to jak najszybciej.

¹ Wiersz Władysława Broniewskiego Dzień dobry kochana.

TRUPY W SZAFIE I NIE TYLKO

2017

Nic z tego nie kumam – wymamrotał Kazik, wodząc wzrokiem po wnętrzu domu.

Powoli wnosili do środka potrzebne przy tego rodzaju pracy środki czyszczące i narzędzia. Na stole w kuchni ustawili termos z kawą i zgrzewkę wody mineralnej. Maurycy od razu pootwierał okna w całym budynku, bo w środku panował taki zaduch, że nie było czym oddychać. Po tygodniu od znalezienia zwłok Karwasa zainteresowanie okolicznych mieszkańców osłabło i mogli zacząć spokojnie pracować.

– Czego nie rozumiesz?

– Bo, szefie, skoro on to sprzedaje, to po co my? – Kazik wyraził swój niepokój.

– Żeby wyczyścić wnętrze. Wiesz, jesteśmy trochę jak ksiądz, czegokolwiek nie znajdziemy, to obowiązuje nas tajemnica, a jakby wszedł ktoś obcy i znalazł coś trefnego, to mogłoby się zrobić nieprzyjemnie. Zresztą co nas to obchodzi, mamy zlecenie, trzeba je wykonać.

– To ja wiem, głupi nie jestem, ale co innego jakaś zaścierdnieęta miejscówka z robalami czy nawet to zagracone mieszkanie, a co innego tamta ruina w Katowicach – Kazik wyznał, co go dręczy najbardziej.

Maurycy wzruszył ramionami. Sam nie wiedział, co o tym myśleć, a tamten zleceniodawca nadal milczał.

– A może się tam nie dogadali, coś ktoś pomylił... – wysunął swoje przypuszczenie Sławek Ożegalski, już przebrany w roboczy uniform.

– Pożyjemy, zobaczymy. Na razie bierzemy się za robotę i myślę – Maurycy westchnął rozziewając – że tym razem zrobimy jak zawsze inwentaryzację fotograficzną i dodatkowo spis z natury. Bo nigdy nie wiadomo, co będzie dalej z tą chałupą. A może – spojrzał na kolegę – zadzwoniłbyś do Maciejaka, niech posprawdza te umowy gdzie tylko się da. Tak na cito, bo na mój nos coś tu nie gra.

Budynek wbrew pozorom wcale nie był taki mały – z zewnątrz wydawało się, że ledwie mieści kuchnię i pokój z jakąś przybudówką w roli łazienki, ale w środku okazał się bardzo dobrze rozplanowany. Wykuty po zewnętrznej stronie nad wejściowymi drzwiami napis informował, że pierwsi lokatorzy wprowadzili się tutaj w 1910 roku, co potwierdzała tabliczka informująca, że dom został ubezpieczony. Podłoga w sieni była wyłożona równie wiekowymi kafłami w stylu przypominającym marokański. Ściany pomalowano kiedyś krzykliwie niebieską, teraz wyblakłą, farbą olejną, gdzieniegdzie łuszczącą się. Z sionki do reszty pomieszczeń prowadziły dwuskrzydłowe, przeszklone drzwi. Niewielki przedpokój, wyłożony boazerią łącznie z sufitem, reprezentował modę

z lat siedemdziesiątych, gdy wszędzie królowało drewno powlekane bezbarwnym lakierem. Przytulna kuchnia, kredens prababci, na pewno autentyczny wymagający porządnej renowacji, i węglowy piec, na którym ktoś ustawił dwupalnikową kuchenkę elektryczną. Mimo pajęczyn w każdym kącie, brudnych zasłonek i ścian wołających o odświeżenie kuchnia wyglądała na używaną. Niedomyty garnek ze stali nierdzewnej był na pewno współczesny, podobnie jak i ekspres przelewowy, w którym odkryli zeschnięte fusy. Ale szuflady pełne były haftowanych ściereczek, szklanych talerzyków, posrebrzanych koszyczków i innych kuchennych utensyliów, które używane były co najmniej kilkadziesiąt lat temu. Z przedpokoju drzwi prowadziły do dwóch pokoi, w jednym urządzono sypialnię. Łóżko nadal było przykryte haftowaną kapą, na której rozsiadły się lalki, na pewno pamiętające przedwojenne czasy. Brud oblepiający każdy skrawek materiału nie odebrał im uroku. Na pewno warte były sporo pieniędzy. Na nakastliku nadal leżał „Żołnierz Niepokalanej” otwarty na środkowej stronie. Maurycy pokręcił głową, wzdychając. Jakim cudem to się tak wszystko uchowało? Podszedł do stojącej naprzeciw łóżka szafy trzydrzwiowej z widocznymi śladami po lustrze, które kiedyś zdobiło środkowe drzwi. W bocznych jeszcze tkwił lepki od kurzu klucz. Maurycy chwycił za klucz i przekręcił. Zgrzytnęło i wewnątrz szafy stanęło otworem.

– O kurde! Ale capi! – Obok Maurycego zmaterializował się Kazik. – To jakiś nieboszczyk tak jedzie, szefie, bo to podobno niektórzy trzymają w szafie trupy. – Mrugnął porozumiewawczo.

Maurycemu nie było do śmiechu.

– Głupoty się ciebie trzymają, tak jedzie naftalina, przecież wiesz – wyjaśnił, otwierając drzwi na oścież. Kazik, żeby nie stać beczynnym, chwilę wydziwiał nad zakurzoną lalką.

– Popatrzmy, co my tu mamy. – Maurycy, wstrzymując oddech, zaczął wyklądać rzeczy z szafy: staromodne płaszcze z pelisą, jakieś marynarki w prążki z ciężkiej wełny, wyleniałe prawie w całości futro. Półki zajmowały bluzki i swetry nienoszone od kilkadziesiąt lat, jakieś suknie jak z początku zeszłego stulecia, zgryziona przez mole parasolka i mnóstwo przypominających bieliznę strzępów materiału. – Kazik! Bierz worki i pakuj jak leci, chyba że jakiś pierścionek czy łańcuszek ktoś tu zakamuflował. Albo dokumenty – polecił, przechodząc do badania wnętrza nakastlika.

Na dworze powiało i do wnętrza wtargnęło trochę świeżego powietrza. Znów mieli czym oddychać. Sypialnia na pierwszy i drugi rzut oka wyglądała na nieużywaną od lat. Tak jakby Karwas nie korzystał z tej swojej, albo niby swojej, własności.

Maurycy zostawił Kazika, który zawsze potrafił poradzić sobie z ogarnianiem najgorszego bajzlu, i skierował się do drugiego pokoju, który wyglądał na częściowo używany.

– A tutaj co mamy? Bo sypialnia do wyrzucenia.

Ożegalski oderwał się od wyjmowania z kredensu zastawy stołowej, wstał i otarł rękę o materiał spodni.

– Sam popatrz. Mnie się wydaje, że to nie jest nic warte, ale może się nie znam. Takie starocie oszczerbione, jakieś filizanki, ale wszystko takie raczej biedne. To dziwne, bo skoro ta chałupa należała do Zenobiusza Żaka, fotografa, który kazał sobie zapewne słono płacić za zdjęcia portretowe na przykład, to powinno być raczej na bogato. A tu cóż... – Zatoczył ręką koło, wzdychając uciesznie.

Maurycy przytaknął. W sumie Sławek miał rację. Wszystko było tu stare, zaniedbane, jakby skazane na zapomnienie. Skąd w tym Karwas?

Ożegalski przykucnął przy otwartym kredensie i wsunął głowę do środka. Jęknął, tłumiąc przekleństwo. Rozległo się szuranie i były policjant zachwiał się i zaczął upadać do tyłu, nie wypuszczając jednak z rąk dużej, drewnianej skrzynki, inkrustowanej we

wzór z szarotek. Maurycy przyskoczył i w ostatnim momencie uchronił Ożegalskiego przed upadkiem.

– Daj mi to.

Ożegalski ścisnął kurczowo tajemniczą skrzynkę.

– Au! Ciężka jak diabli! – Poczul, jak coś wbija mu się w palce i wypuścił skrzynkę. Rozległ się trzask łamanego drewna i na podłogę wypadł plik zdjęć pokrytych plamami wilgoci.

– Co się tak rozbijacie? – Do pokoju zajrzał usmolony Kazik. Z ucha zwisała mu pajęczyna, a wokół niego unosił się odór naftaliny i dawno zdechłych gryzoni. – To jest ta dziewczyna! – Sięgnął po jedno ze zdjęć zaświecających wytarty dywan.

– I nie tylko ona, widzę, że to większa kolekcja. – Maurycy przykucnął i przyjrzał się dokładniej fotografiom. Jedną z nich wziął do ręki. Zdjęcie było pożółkłe, pokryte plamami. Twarz kobiety ze zdjęcia była mu znajoma i kojarzyła się ze starymi filmami. Burza blond loków, nieobecne spojrzenie. Obejrzał je dokładnie. Na drugiej stronie ktoś napisał ołówkiem: „Przed zniknięciem taty, chyba 1913 rok”.

– Zniknięciem?

– Tak napisał. Przypuszczam, że to jakaś część archiwum tego zmarłego fotografa i jego ojca.

– To dziwne. – Ożegalski zasępił się. – Dlaczego tego nie spalili?

– Może miał swój powód, wie pan, niektórzy bywają sentymentalni – podsunął Kazik, jak na niego nieco uszczypliwie.

– Też prawda.

Ożegalski powoli zbierał rozsypane zdjęcia i stare rolki filmów.

– Tu jest coś jeszcze.

Nieco zdyszany postawił pudło na środku okrągłego stołu i zaczął z niego wyjmować szare koperty. To, co w nich znaleźli, sprawiło, że przez chwilę w pokoju panowała grobowa cisza. Pierwszy ocknął się były policjant.

– Słuchajcie, trzeba to wszystko przejrzeć na spokojnie. Na razie proponowałbym wszystko dobrze zawinać, tak żeby nie rzucało się w oczy, i przy pierwszej okazji wywieźć stąd. Czego oko nie widzi... bo skoro tak, to tu mogą być...

– Trupy w szafie i to niejednej! – dokończył za niego Kazik i nie czekając na polecenie, zaczął wszystko z powrotem wkładać do pudełka.

Pracowali w milczeniu, opróżniając kolejne szuflady i przeglądając z najwyższą starannością wszystkie drobiazgi.

– Jeszcze to znalazłem. – Kazik po godzinie sprawdzania staroci aż do podszewki stanął w drzwiach, dyndając kluczykiem zawieszonym na palcu.

– A gdzieś to znalazł?

– Szefie, tak jak czułem, zaszyte pod podszewką było, na dole płaszczka, tej pelisy. Jak jest listwa z podłożeniem, tam namacałem. – Kazik był bardzo z siebie zadowolony. – Ciekawe, jakie drzwi otwiera ten klucz.

Ożegalski z uwagą przyglądał się dosyć prostemu w konstrukcji kluczowi. Żadnych zawijasów, zdobień. Okrągła główka, pokryta warstwą rdzy, trzy ząbki, długi na sześć, może siedem centymetrów. Podobnych jest wiele.

– Sprawdźmy. Bo tak sobie myślę, że skoro dom należał do Żaków, mieszkanie i atelier też do Żaków, to on musi gdzieś pasować. Chyba że nie wiemy o jakiejś miejscówce. – Maurycy wziął klucz do ręki i zbliżył go do oczu. – W sumie gdybym miał obstawiać, to szukałbym komórki albo piwnicy. – Zabezpiecz go dobrze razem z tymi zdjęciami i szukaj dalej. Dobra robota! – Uśmiechnął się do dumnego z siebie Kazika.

Zza okna doszedł ich odgłos hamowania na zwirowej drodze. Maurycy wychylił się i szybko cofnął głowę.

– Niech to szlag! Kazik, szybko bierz pudło i włóż pomiędzy te śmierdziele, tak żeby nie było widać – zarządził nerwowo.

Po chwili witał się serdecznie z podkomisarzem Maciejakiem, który przyjechał sprawdzić, jak idzie im praca.

POWRÓT DO PRZESZŁOŚCI

Lipiec 1962

Leokadię obudził krzyk przypominający wycie psa. Przez chwilę siedziała na łóżku półprzytomna, ledwie wyrwana z mocnego snu. Nasłuchiwała. Nocne ciemności przerzedzały się, była prawie trzecia nad ranem. Z przeciwległej strony pokoju dochodził do niej równomierny oddech córki. Ki czort? – pomyślała rozdrażniona i po cichu, żeby nie obudzić Janki, wstała. Podeszła do okna, wyjrzała, ale nikogo nie zauważyła. Już miała zamknąć uchylone okno, gdy usłyszała powtórny krzyk, nieco cichszy, i odgłosy szurania, tak jakby nad ich mieszkaniem. Zaciekawiona narzuciła na siebie szlafrok i wyszła do kuchni. Zamierzała skorzystać z ubikacji i przy okazji zajrzeć na piętro, sprawdzić, czy coś się nie stało. Była wykończona i udręczona, coraz bardziej martwiła się o Jankę. Dziewczyna wyraźnie się pogubiła, a ona nie umiała jej pomóc, zresztą jak, skoro córka nie chciała się jej zwierzyć. Odburkiwała tylko, że matka przesadza, nic się nie dzieje i ona sobie poradzi.

– I tak to jest w życiu – westchnęła do siebie, otwierając drzwi do korytarza. – Małe dzieci, mały problem, duże dzieci, duży problem.

Na korytarzu zamigotała stara żarówka wisząca na kablu, a Leokadię przeszył dreszcz. Korytarz był pusty, w kamienicy ustał wszelki ruch. Nagle ogarnęło ją przecucie, że zdarzyło się coś bardzo złego, strasznego, nieodwracalnego.

Miała rację. Na pogrzeb starego Widłęgi poszły z Janką przyodziane na czarno, jak wypadalo najbliższemu sąsiadkom. Wokół wykopanego przy murze cmentarnym dołu zgromadził się tłum rodziny, sąsiadów, znajomych z klubu brydżowego, kolegów z pracy i ciekawskich. Ksiądz z niechęcią spełnił swoją powinność, a jak głośiła sąsiedzka plotka, Widłęgowa musiała zapłacić mu podwójnie za chrześcijański pochówek, którego zwykle odmawiano samobójcom. Józek Widłęga wyglądał na pogrzebie jak półtora nieszczęścia – wychudzony, a maturalny garnitur, za duży w ramionach, jeszcze pogłębiał to wrażenie. Sam potrzebując pomocy, niezdarnie podtrzymywał wdowę pod rękę. Wyjechał zaraz po pogrzebie, zostawiając matkę na łaskę opustoszałych czterech ścian mieszkania. Krążyły plotki, że do wcześniejszego pożegnania się ze światem zmusiły Widłęgę służby. Te, z którymi nikt nie chciał mieć do czynienia. Co było prawdziwym powodem tego desperackiego czynu? Na to pytanie potrafił odpowiedzieć tylko nieboszczyk, ale on z wiadomych powodów nie mógł tego zrobić.

– Idę do pracy! – Janka oznajmiła swoją decyzję w czasie niedzielnego obiadu, który spędzały przy dopiero co kupionym telewizorze. Leokadia się złamała i załatwiła co trzeba – posmarowała w sklepie ze sprzętem gospodarstwa domowego, najczęściej straszczym pustkami, i teraz mogła cieszyć się nowym nabytkiem. Tak się złożyło, że telewizor przywiozła dzień po pogrzebie, potem miała trochę problemów z kupieniem anteny, pomógł dopiero syn jednej z klientek obeznany z nowoczesnością.

Leokadia przełknęła kęs kotleta, wzięła oddech i w pamięci policzyła do trzech. Któryż to raz z kolei jej córka wyrażała chęć pójsia do pracy. Wszystko to słomiany zapał.

– Tak... A gdzie to są teraz wolne miejsca, w którym teatrze? – rzekła z przekąsem, poniewczasie gryząc się w język.

Janka spojrzała na matkę z politowaniem. Niczego się stara nie nauczyła.

– Przecież chciałaś, żebym poszła do pracy, to idę. Tylko nie licz na moją pomoc w sklepie, bo jak wyjdę na siódmą, to wrócę dopiero o czwartej, zmęczona. No ale skoro chcesz, żebym została nauczycielką, to postanowiłam zacząć od przedszkolanki, przyjmą mnie od września do siostr.

Leokadię zamurowało.

– Przecież nie masz wykształcenia. Dziecko, takie maluchy to odpowiedzialność. I jakim cudem u siostr? Do ochronki? Przecież ty tam nie pasujesz! – jęknęła, wzdychając ciężko.

Janka rozbawiona śledziła rozterki matki. Nie zamierzała pracować w przedszkolu, ale tak wyszło, że u Salezjanów spotkała siostrę Adelę, która narzekała, że potrzebują rąk do pomocy przy dzieciach, które złączą naukę w przedszkolu od nowego roku szkolnego. Janka trochę bezmyślnie zaoferowała pomoc, którą siostra Adela przyjęła. Cóż, akurat do kościoła starała się ubierać tak, żeby nie odstawać od reszty. Teraz też bardziej obchodziła ją przymiarka u krawcowej zaplanowana na poniedziałek niż jakaś tam praca. W ostatnim „Przekroju” zobaczyła świetny komplet na lato – białą bluzkę i marynarskie spodnie lekko rozszerzane do dołu, czerwone. Od razu poszła do znajomych w sklepie z materiałami i zakupiła potrzebne kupony bawełny. Do tego espadryle – wiedziała, że będzie musiała wybrać się na zakupy co najmniej do Katowic, jak nie do Krakowa, żeby kupić podobne. Ostatni krzyk mody.

– No i co tak siedzisz i oczami przewracasz?

Pytanie matki przywróciło ją do rzeczywistości. Przetarła oczy, dopiła resztkę kompotu i westchnęła przeciągle.

– Przepraszam, zamyśliłam się. Po prostu zastanawiałam się, w czym pójdę do pracy, do tego przedszkola, bo przecież muszę się odpowiednio ubrać, sama rozumiesz. – Uśmiechnęła się do matki.

Leokadia wciągnęła powietrze, w tle słychać było szum telewizora, antena nie łapała sygnału. Jeszcze i to!

– Masz pełną szafę, a praca w przedszkolu to nie rewia mody dla ubogich. No dobrze, ja już naprawdę nie mam siły do ciebie. Może tam sobie z tobą poradzą.

Janka kiwnęła głową potakująco. Miała już dość tego siedzenia przy stole i wypominania grzechów zaniedbania. Pogubiła się, nie ona pierwsza i nie ostatnia.

– To ja umyję naczynia, a mama niech odpocznie – zaproponowała, wchodząc w rolę przykładowej córki.

Leokadia przytaknęła. Skoro tak, to chętnie się położy, tylko najpierw wyłączy to pudło. Czują się coraz gorzej, od zapalenia płuc minęło już kilka miesięcy, a ona nadal odczuwała skutki choroby. To вина tego koszmarnego sklepiku – zimno, wilgoć i dźwiganie. Czują, że ma wszystkiego dość. Gdyby tylko mogła odpocząć, choćby tak jak dzisiaj, drzemiac w czasie dnia, po sutym obiedzie. Miała ochotę na kieliszek wódki, na

trawienie, ale nie chciało się jej wstawać. Napije się potem, może do kawy, miała jeszcze zakamuflowaną paczkę arabiki.

Zza kuchennych drzwi dochodziły odgłosy mycia naczyń, Janka coś podśpiewywała pod nosem. Leokadia musiała przyznać, że córka ma ładny głos.

* * *

Wrócił znad morza naładowany energią, z zapasem dolarów i złotych rubli przemysłnie zakamuflowanych w ubraniu. Nie wierzył w szwajcarskie konta i zapewnienia, że gdzieś tam kupka rośnie, wierzył, tak jak jego rodzice, w żywą gotówkę, złoto i dolary. No i jeszcze w ziemię, nieruchomości.

„Nie trzyma się jajek w jednym koszyku”.

Aż wzdrygnął się, tak wyraźnie usłyszał głos matki. Tak jakby stała nad nim i nadal kontrolowała, co robi. Nie żyła od wielu lat, a jednak miał wrażenie, że z każdym rokiem coraz bardziej ożywa w jego wspomnieniach. Może już czas zbierać się na tamtą stronę? – pomyślał z lękiem. Czas najwyższy zacząć porządkować sprawy. Tak żeby, jak już będzie po wszystkim, pozostała po nim chociaż dobra pamięć. Rozejrzał się po atelier. Gdyby tylko te ściany mogły mówić... Może lepiej, że nie mogą – uświadomił sobie.

Niedzielne popołudnie zmusiło go do odpoczynku, drzwi do zakładu fotograficznego zamknął na dwa zamki, zamknął też pamiętające czasy ojca drewniane okiennice. Z barku wyjął butelkę francuskiego koniaku, udało mu się kupić kilka od znajomego marynarza, i sięgnął po pękaty kieliszek. Nalał sobie odrobinę bursztynowego płynu i zaczął się rozkoszować aromatem luksusu. Do tego kawa i kawałek sernika z prawdziwymi rodzynkami kupionego w cukierni Kołaczka. Miał słabość do słodczy, dobrego alkoholu i pieniędzy. Pogwizdując pod nosem, zaśmiał się chrapliwie i pociągnął długi łyk. Błogie ciepło ulubionego napitku powoli rozchodziło się po całym ciele i pobudzało zastałe krążenie. Tego było mu trzeba! Namacał klucz przechowywany w wewnętrznej kieszeni marynarki i schylił się, żeby otworzyć jedną z licznych szuflad biurka. Najwyższy czas na porządki. Zamek przekręcił się bezszelestnie – zastanowiło go to, bo zamierzał wpuścić weń kilka kropel oliwy, ale cóż, widocznie jest z nim gorzej, niż przypuszczał, i sama czynność umknęła jego uwadze. Szuflada założona papierami bez znaczenia wyposażona była w dyskretnie umieszczony przycisk otwierający dostęp do drugiej szuflady, tej właściwej.

Szare koperty, mnóstwo szarych kopert. To jego dzieło. Fotografie robione przez ojca dawno zostały pokryte plamami wilgoci. Z sentymentu przechowywał najpiękniejsze z nich, zwłaszcza tę z Mary Pickford – poczuł podniecenie na wspomnienie jej długich, gęstych włosów, którymi zakrywała nagie piersi. Dom był z powrotem jego, ten stary przyk Bonifacy już gryzł ziemię od spodu, a Leokadia mogła się tylko wściekać i pomstować na niego i los. Nienawidził ojczyzna i myśl, że w końcu udało mu się wyprawić go na tamten świat, przynosiła mu ulgę. Niech się smaży w piekle czy gdzie indziej.

Przypomniał sobie tamten moment, gdy dowiedział się, że nie będzie już dla matki najważniejszy.

Od zniknięcia ojca minął prawie rok, gdy w zaroślach nad Sołą jakiś wędkarz odkrył ciało mężczyzny w stanie długotrwałego rozkładu. Twarz była pokiereszowana, jak przypuszczano, od uderzenia kamieniem, a może nieboszczyk utonął i nurt rzeki po jakimś czasie wyrzucił zwłoki. Człowiek bez nazwiska i pochodzenia, nikt się o niego nie upominał. Zenobiusz był pewien, że ten rozkładający się trup nie może być jego tatą, ale matka wykorzystwała okazję i zeznała, że rozpoznaje swojego zaginionego męża.

Pochowała go na cmentarzu, w rodzinnym grobie, a sama zaczęła od nowa układać sobie życie.

W ich domu przy placu Rybnym pojawił się potężnie zbudowany mężczyzna i dla Zenobiusza zaczęły się rządy pasa. Matka nigdy nie stanęła w jego obronie. Tylko dziadek Eustachy, zwany dziadkiem Staszkiem, mitygował syna i tłumaczył, że Zenio jest dobrym chłopakiem, tylko nieco zahukanym i raczej trzeba mu pomóc, a nie lać pasem za kolejne pały. Bo prawda była taka, że do nauki Zenobiusz głowy nie miał, wolał przesiadywać w atelier i uczyć się wszystkiego o fotografii. Chciał być kiedyś takim artystą, jak ojciec, mistrzem światłocienia i portrecistą pięknych dam. Tak... tyle lat, a on nadal czuł razy skórzanego pasa, którym wywijał ojczym. I ten ciągły wrzask małej Leośki, która urodziła się po kilku miesiącach od ślubu. Czerwona, pomarszczona na twarzy – jak bezzębna babka Michaśka przesiadująca pod kościołem i żebrząca o datki na przeżycie kolejnego dnia, przeganiana przez księży i dumnych ze swej zamożności mieszkańców. Pamiętał, że pewnego dnia Michaśka zniknęła i wszyscy poczuli ulgę, że już nie muszą jej przeganiać.

A to czerwone coś darło się jak opętane, wiecznie głodne, a matka zachwycała się córeczką i siedziała na kanapie w kuchni z tą małą glistą przyklejoną do piersi. Nawet teraz wzdrygał się, przypominając sobie tamte chwile. Nienawidził Leośki od pierwszego dnia, gdy ją zobaczył, i chociaż minęło kilkadziesiąt lat, to nadal nic się nie zmieniło.

Może dałby spokój Jance, ale tak długo czekał na zemstę, na zabranie tej małej gnidzie wszystkiego, co kocha. Zabrał jej dom, zabrał poczucie bezpieczeństwa, teraz przychodził czas, żeby zabrać jej najcenniejsze, co miała. Na razie zarabiał na urodzie Janki, eksploatując ją niemiłosiernie, a potem... potem się zobaczy.

Głowa zaczynała mu się kiwać, od nadmiaru alkoholu poczuł nadchodzącą senność. Jeden kieliszek, drugi, trzeci... „W życiu potrzebny jest umiar!” – matka po raz kolejny przypomniła mu o sobie. Czuł, że czas się zbierać.

TAJEMNICE PIWNICZKI DOMU PRZY PLACU RYBNYM

2017

Na szczęście pojechał i mogliśmy dokończyć robotę. Na razie trochę rzeczy przywieźliśmy ze sobą, ale to wszystko trzeba najpierw wywietrzyć, no i umyć, bo ta naftalina daje popalić. Zostawiamy kredens, jest całkiem ładny, tylko do odnowienia, zabierzemy też komodę, jakieś drobiazgi, może ten nakastlik. Ale generalnie to sama starzyzna bez żadnej wartości. Ani zabytkowej, ani pamiątkowej. – Maurycy skrzywił się z niesmakiem.

Jak zawsze przy śniadaniu relacjonował Kornelii, co zdołali zrobić poprzedniego dnia. Od tygodnia wracali padnięci, ale akurat na piątkowe popołudnie Maurycy zaplanował koniec pracy. Budynek był w zasadzie wysprzątany do czystego, zlikwidowali całe wyposażenie, a te kilka mebli zamierzali od razu wpakować do furgonetki. Na resztę Maurycy machnął ręką.

– Jedno co mnie dziwi – kontynuował, nabierając sobie jajecznicy – to brak piwnicy. Znaleźliśmy spiżarnię, jest komórka, ale nigdzie nie ma wejścia do piwnicy. A przecież ten dom wygląda na podpiwniczony. Co o tym myślisz? – zwrócił się do pogrążonej w myślach Kornelii. Ciotka ostatnio rzadko się odzywała, wysłuchiwała cierpliwie jego relacji, ale sama zachowywała się, jakby była już zmęczona całą sprawą.

– Jedz na razie, a potem się zastanowimy – odpowiedziała, zagłębiając się w internetowe wiadomości. Kornelia rozpoczęła dzień od przeglądania newsów przy śniadaniu. „To tańsze niż gazety, a ja lubię być na bieżąco”, poinformowała go, gdy zapytał o to zaangażowanie w sprawę z kraju i ze świata.

Do kuchni wpadało wczesne słońce, od rana zapowiadał się ciężki, duszny dzień.

– Dzisiaj możemy spodziewać się burz – poinformowała go ciotka, sięgając po kubek z kawą. – Najlepiej będzie załatwić wszystko z samego rana. Wybiorę się z tobą, spojrzę świeżym okiem i może coś wymyślę – zaferowała pomoc.

* * *

Wstępne oględziny nie przyniosły rozwiązań zagadki.

– Popatrz, mamy klucz, on musi pasować do drzwi, po prostu musi – jęknął zniecierpliwiony Maurycy.

– Musi, nie musi i niekoniecznie do drzwi, zobaczymy. Sprawdziliśmy wszystkie oczywiste miejsca, to teraz musimy sprawdzić nieoczywiste – odpowiedziała Kornelia,

wpatrując się w podłogę. Zwykłą, z desek pomalowanych na bordowo jakąś dziwną farbą.

- Tutaj nie widzę, chyba że jestem już całkowicie ślepa. Ale to powinno być w kuchni – szepnęła do siebie.

Trzej mężczyźni wodzili za nią pełnym nadziei wzrokiem. Kornelia przystanąła na środku kuchni, potem przyklęła i zaczęła pięścią uderzać w każdą deskę po kolei, nasłuchując odgłosów. Wszystkie brzmiały jednakowo.

- No nic, na razie dajmy sobie spokój z pokojami, wróćmy do sieni. Tamtędy też może prowadzić wejście. No co się tak patrzycie? Uparliście się, że klucz i drzwi równa się piwnica, a to nie jest takie oczywiste!

Kornelia otworzyła drzwi do sieni, przeszła kawałek i nacisnęła włącznik. Pomieszczenie zalało blade światło.

- Chłopcy, macie latarkę? O, świetnie, dziękuję, Kaziu.

Z niedużej latarki wylał się snop światła, tak że widzieli każdą rysę na płytkach posadzki. Kornelia centymetr po centymetrze omiatała je światłem, tak żeby niczego nie przeoczyć.

- Jest!

Wszystkie głowy pochyliły się nad wskazanym miejscem.

- Myślisz? Przecież to są płytki – wyraził wątpliwość Maurycy.

- A widzisz, że akurat te są złączone w kwadrat i odstają od reszty? Tu nie potrzeba klucza, ale łomu, żeby to podważyć – Kornelia odezwała się podniesionym głosem, dumna ze swojego sukcesu.

Rzeczywiście, cztery duże płytki tworzyły spójny kwadrat, a pomiędzy szerokimi fugami blado połyskiwał metal uchwyty.

- Takie samo zejście do piwnicy było u mojej koleżanki, bardzo przydatne w czasie wojny. Można było ukrywać w piwnicy potrzebujących. Akurat u niej znajdowali schronienie zbiegowie z obozu. Zazwyczaj było nakryte dywanikiem albo grubą wycieraczką, a pod spodem podkładano belki, żeby nie wyróżniało się odgłosem, gdyby ktoś przechodził. Myśmy na to nie zwrócili uwagi, ale posłuchaj. – Kobieta sięgnęła po młotek i stuknęła kilka razy. Teraz byli pewni, że ma rację.

- Mam! – Kazik targał ze sobą stary łom, pokryty gdzieniegdzie rdzą. – Leżał w spiżarni, nawet pomyślałem, że on to się już tylko nadaje na złom. No ale teraz się przyda.

Kornelia miała rację. Konstrukcja z czterech płytek naklejonych na kawałek betonowej płyty zakrywała wejście do mrocznej piwniczki usytuowane z boku schodów prowadzących do przedpokoju. Ożegalski przykucnął przy krawędzi i wstrzymując oddech, skierował snop światła do wewnątrz. Z dołu dochodził przeraźliwy smród zgniłych cmentarnych liści i śmieci.

- Bożesz ty mój, jak tu cuchnie!

Wrażliwy na zapachy Kazik cofnął się do wnętrza domu, nagle nieciekawy kolejnych odkryć. Ciotka Kornelia przyłożyła do nosa chusteczkę. Ożegalski przypomniał sobie wszystkie śledztwa związane z utonięciami, zaginięciami i odnajdywaniem przeterminowanych zwłok. Coś musiało być na rzeczy.

- Nie chcę nic mówić, ale stare zwłoki dawno już powinny się rozłożyć – rzekł z namysłem, jeszcze raz przyświecając sobie latarką.

- Stare, czyli jakie?

- Wiesz, te, o których myślimy. Jeżeli na dole ktoś pochował Jankę, to śmiem twierdzić, że zostały z niej tylko resztki kości, może szkielet. Bakterie gnilne już dawno skończyły swoją pracę. A kości to tylko kości. Nie, tu musiała mieć miejsce jakaś świeższa zbrodnia – zdecydował były policjant.

– Pokaż, niech sam zobaczę. – Maurycy przejął latarkę od kolegi. – W sumie to chyba jakaś podręczna piwniczka, na moje oko nie wyższa niż półtora metra, może metr dwadzieścia. Może została usytuowana tylko pod częścią budynku? – zastanawiał się. – Najlepiej będzie, jak tam zeskokczę i sprawdzę.

– Nie, raczej nie ty, bez urazy, ja mam większe doświadczenie w poruszaniu się na miejscu przestępstwa – zaprotestował Ożegalski. – Karwas nie był już w najlepszej formie i sądzę, że nie zeskakiwał do środka, bo miałyby problem z wydostaniem się na zewnątrz. W kuchni mamy jeszcze nasze drabinki.

– Ta chyba będzie dobra? – Kazik nie próżnował i już tłukł się z drabinką pod pachą.

– Niech ci będzie.

Maurycy odsunął się, żeby zrobić miejsce Kazikowi przepychającemu się z drabinką. Ciotka Kornelia trzymała się za piersi, wstrzymując oddech.

– Jasna cholera, rzeczywiście trup! – Ożegalski dał upust emocjom.

Wszystkie głowy pochyliły się nad otworem, usiłując dojrzeć cokolwiek. Widzieli tylko, jak lampa błyskowa z komórki oświetla pomieszczenie i leżące przy ścianie ciało.

– Na razie zasuńmy ten otwór. Musimy zadzwonić do Maciejaka, żeby przyjechał z ekipą. Coś okropnego! – westchnął smartwiony emerytowany glina. – Nic z tego nie rozumiem.

Kazik z rumorem zasunął otwór. W tym czasie reszta w milczeniu wróciła do opróżnionej do gołych ścian kuchni.

– Pokaż nam te zdjęcia – zażądała Kornelia.

– Tak, oczywiście. Ale to nie jest przyjemny widok – ostrzegł Ożegalski.

– Tak przypuszczam, ale to nie pierwsze zwłoki w moim życiu, więc bez obaw, nie zemdleję – w głosie kobiety pobrzmiwał sarkazm.

Po chwili łapczywie łąpała powietrze, nie dowierzając własnym oczom.

– A ona, ona co tutaj robi? – wycharczała z wysiłkiem. – I te kości... Przecież...

– Spokojnie, pani Kornelio. Proszę się napić, przepraszam, że z butelki...

– Już dobrze, zaraz dojdę do siebie. – Starsza pani piła łapczywie.

– Zna pani tę kobietę? – Ożegalski nie czekał, aż Kornelia dojdzie do siebie i znacznie kalkuluować.

– Znam, oczywiście, że znam – potwierdziła. – To moja koleżanka z dawnych lat, Julka Kowalska, razem chodziłyśmy do szkoły podstawowej. Całkiem niedawno z nią rozmawiałam o Jance. O matko jedyna! Pewnie przeze mnie tutaj leży.

– Ale dlaczego, ciociu, tak przypuszczasz? Powiedziała ci coś?

Kornelia pokiwała głową przecząco.

– Właśnie nie. Tak gadałyśmy o różnych sprawach, takich codziennych, jak to od lat na kawie u Kołaczka, i nagle Julka oznajmiła, że może będzie mogła pomóc w tym naszym śledztwie.

– To oznacza, że wtajemniczyłaś osobę postronną w nasze sprawy – w głosie Maurycego słychać było pretensję.

Kornelia zmarszczyła czoło i odpowiedziała lodowatym głosem:

– Nie przypuszczam. Potrafię jeszcze rozróżnić, co poufne, a o czym można rozmawiać, bo nie jest tajemnicą. Zaginięcie Janki jest sprawą powszechnie znaną, tak samo śmierć jej matki. Jak wiele razy dotychczas, wspominałyśmy dawne lata i nawiązałam do sprawy Janki, bo widzicie, cały czas mam wrażenie, że coś mi umyka. Nie było mnie wtedy przez większą część roku, więc to normalne, ale Julka cały czas mieszkala w Oświęcimiu, jej mama pracowała w jacie, Julka ją zastępowała i widywała się z Janką regularnie. Może nie była to ta przyjaźń, co w podstawówce, ale one się lubiły. Gdy tak siedziałyśmy przy tej kawie, miałam wrażenie, że Julce coś się przypomniało. Albo może kogoś zobaczyła? Nie wiem... Miała taką dziwną minę. I to, że

nie chciała nic powiedzieć. Szybko się pożegnała. Obiecała, że zadzwoni, i już się nie odezwała. – Kornelii głos się załamał, w oczach załśniły łzy, które szybko otarła batystową chusteczką. – Martwiłam się, telefonowałam, ale nikt nie odebrał. Julka mieszkała z synem, więc może on będzie wiedział, kiedy zniknęła. A może zgłosił zaginięcie na policję? Może już jej szukają? – ożywiła się.

– No tak, racja, wtedy będzie wiadomo, kiedy mniej więcej spotkała się ze swoim zabójcą – rzekł w zamyśleniu Sławek Ożegalski. Westchnął i rozprostował ramiona, które coraz bardziej mu ciążyły. Pomyślał, że mało skomplikowana praca zamieniła się w odkrywanie ciągu ludzkich tragedii, od śmierci do śmierci, bo nie wątpił, że zaginięcie Janki było związane z morderstwem. – Cóż, teraz musimy zadzwonić po Maciejaka, niech przyjedzie albo kogoś tu przysła. Odkryliśmy coś w rodzaju „czerwonej oberży”, tylko zapewne zabijano tu znajomych, nie podróźnych – zasugerował, sięgając po leżący na parapecie okna telefon. Obrócony bokiem, dojrzał zarys postaci mężczyzny oddalającego się od domu ulicą prowadzącą do centrum miasta. Wysoka, nieco przygarbiona sylwetka, szczupła. Szarpnął się, jakby chciał za nim pobiec, ale wzruszył ramionami i przystanął. Ten przypadkowy człowiek zapewne nie miał nic wspólnego z ich sprawą. Może zatrzymał się w pobliżu na moment, może był u kogoś na sąsiedniej ulicy? Dopadła go mania prześladowcza, ot i tyle!

– Stało się coś? – spytał Maurycy, przyglądając się podejrzliwie koledze. Ten pokręcił głową przecząco.

– Już dzwonię, bo utknieni tu na wieki wieków, amen – oznajmił lekko i zrobiło mu się głupio. Jak nie uznają, że dopadła go znieczulica.

Gdy w telefonie odezwał się zaspany głos Zygmunta Maciejaka, Ożegalski uderzył w tak żalobne tony, że podkomisarz w pierwszej chwili nie rozpoznał byłego szefa. Gdy Maciejak notował co i jak, w tle Ożegalski słyszał upierdliwe miauczenie Bartusia, ukochanego kota policjanta, który po ponad roku dostosowywania się zamieszkał w bloku na Kopernika i ruszał się z mieszkania tylko w razie wyraźnej potrzeby. Zapewne Bartuś znowu był głodny.

– Za chwilę będą. Wprawdzie Maciejak na urlopie, ale on z tych, co nie odpuszczają – poinformował Ożegalski wpatrujące się w niego jak sroka w gnat towarzystwo.

* * *

Julia Kowalska zajmowała z synem niewielkie mieszkanie przy Dąbrowskiego. Zanim weszli do klatki, Maciejak sprawdził, czy ktokolwiek zgłaszał zaginięcie kobiety. Okazało się, że nie.

– Przecież to jest nienormalne, żeby nie zgłosić zaginięcia własnej matki. – Kornelia potrząsnęła głową z ubolewaniem.

Maciejak nacisnął przycisk domofonu i nie odrywał palca od metalu, dopóki ktoś, przypuszczalnie syn Julii, nie zwolnił zatrasku.

– Czego? – Zza uchylonych drzwi przywitało ich pijackie beknięcie. Na klatkę schodową wionęło odorem alkoholu pomieszanym ze smrodem rzygowin i zastarzałego moczu. Kornelia zasłoniła nos dłonią i na moment wstrzymała oddech. Jezusie nazareński! Tyle lat się znały, a ona nie miała zielonego pojęcia, że Julia mieszka w takich warunkach. Zawsze czysto ubrana, skromnie, bez ekstrawagancji, ale ładnie, z ułożonymi włosami, siwe loki okalały jej twarz, uwypuklając ostre rysy. Czerwona szminka, dodatki. I ona w tym wszystkim, z synem... Kornelia najchętniej nie poznałaby mrocznego sekretu koleżanki. Początkowo Maciejak nie chciał się zgodzić, by z nim

poszła, dopiero Sławek go namówił. Pewnie teraz, patrząc na nią współczująco, myślał, że niepotrzebnie jej na to pozwolił.

– Policja do pana, podkomisarz Zygmunt Maciejak, proszę mnie wpuścić! – oficer podniósł głos, jednocześnie podsuwając przed oczy Adama Kowalskiego legitymację służbową.

– Ano dobrze, pewnie sąsiedzi donieśli – wymamrotał mężczyzna i cofnął się do środka przedpokoju.

Maciejak wszedł, a Kornelia została sama na klatce. Już zaczęła żałować, że tak napierała na przyjście, gdy drzwi naprzeciwko mieszkania Kowalskich uchyliły się bezszelestnie i usłyszała ciche pytanie o powód sterczenia przed drzwiami sąsiada. Kornelia rozejrzała się wokół, wydawało się jej, że przestrzeń za uchylonymi drzwiami jest pusta. Nie czekając dłużej, podeszła do szpary w drzwiach, które trzymała upstrzona wątrobowymi plamami dłoń starszka. Gdy znalazła się wystarczająco blisko, dłoń wysunęła się i capnęła ją za rękaw żakietu, wciągając zaskoczoną kobietę do mieszkania. Przez chwilę Kornelia wahała się pomiędzy zachowaniem absolutnej ciszy a głośnym poinformowaniem o porwaniu. Zanim zdołała podjąć decyzję, drzwi zamknęły się i ujrzała przed sobą odzianego w dawno niemodną bonżurkę starszego mężczyznę. Mocno starszego, ale przewiercającego ją przenikliwym spojrzeniem.

– Czy mam przyjemność z panią Kornelią Henk? – zapytał chropawym głosem palacza, nadal trzymając ją za rękaw. Potwierdziła oszołomiona. – Och, przepraszam najmocniej. Nie chciałem, żeby Adaś się zorientował, że jestem w domu, dlatego w ten sposób... – Mężczyzna puścił jej rękaw i poprawił delikatnie pognieciony materiał. – Pozwoli pani, że się przedstawię, Marek Wierusz-Lewandowski, do usług szanowanej pani. – Skłonił się elegancko.

Kornelia miała wrażenie, że język jej skołczał od rzuconego uroku. Próbowwała się przemóc, ćwicząc wymawianie pojedynczych wyrazów.

– Przepraszam... nie rozumiem... ale tak... rzeczywiście... – Nie była pewna, czy kiedykolwiek Julia wspominała o ekscentrycznym sąsiedzie. – Bardzo mi przyjemnie, że mogę pana poznać – odwzajemniła się uprzejmie.

– Bardzo proszę, pani pozwoli dalej. – Starszek przepuścił ją elegancko do pokoju, który pełnił funkcję salonu. Wskazał fotel, zaproponował herbatę lub kawę, „bo my w naszym wieku...”, a potem zadał kluczowe pytanie.

* * *

Podkomisarz Maciejak zdezorientowany rozglądał się po klatce schodowej. Była pusta, w zasięgu wzroku nie było znajomej sylwetki Kornelii Henk. Może poszła do domu? Zszedł, ale niepokój nie dał mu odejść za daleko od bloku. Sięgnął po telefon i wybrał numer ciotki Maurycego. Nigdy by sobie nie darował, gdyby coś jej się stało.

* * *

– I w sumie nie wiem, co o tym myśleć – stwierdził Kornelia, kończąc relację ze spotkania z ekscentrycznym starszkiem.

Musieli odpocząć po pełnym napięć dniu. Maciejak zaproponował starszej pani kawę i, jak to określił, „coś na ząb”, czyli sernik szefa. Usiedli przy stoliku na zewnątrz kawiarni i znijając głos, relacjonowali sobie przebieg spotkań.

Podkomisarz Maciejak sięgnął po drugą saszetkę z cukrem, zamieszał i wypił łyk, uśmiechając się z błogością. Lubił słodczyce, tak samo jak jego ukochany kot. Kornelia

piła kawę czarną jak smoła i gorzką, tak by równoważyła smak sernika polanego ciemną czekoladą. Delikatnie ukroiła kawałek, spróbowała, odłożyła widelczyk. Czuli się dobrze w towarzystwie podkomisarza, który już zdążył zawiadomić Maurycego, że ciotka wróci do domu trochę później. Parasole rozpostarte nad stolikami chroniły ich przed słońcem i zapewniały miłą przytulność. Na chwilę ich rozmowę zagłuszył gwar przechodzącej obok zagranicznej wycieczki. Przewodnik pokazywał coś ręką, ale turyści nie słuchali go, gromadząc się przed witryną z lodami.

– Wracając do naszych spraw... – wymruczał podkomisarz, pochylając się konspiracyjnie w stronę Kornelii, która spojrzała na niego bystro.

– Ten syn to lepsze ziółko – stwierdziła bez owijania w bawełnę.

Maciejak kiwnął głową potakująco.

– Zgadza się, toto nie trzeźwieje, nawet nie był pewien, kiedy matka wyszła, nie wspominając, że nie miał pojęcia o jej życiu. Z kim się miała spotkać, kogo znała, jakieś szczegóły... U niego byle wódka była i kasa na wódkę. Matka podobno kasę miała, czasem skąpiła, ale zawsze mu dawała. Z tego, co wybelkotał, jak już trochę doszedł do siebie, wynikało, że kiedyś pracował normalnie, miał rodzinę i generalnie to chyba nie jest zły człowiek, tylko słaby...

Kornelia prychnęła niedowierzająco.

– Ty, chłopcze, zawsze widzisz te dobre strony, a glina, bez urazy, powinien widzieć raczej złe strony człowieka! – Spojrzała z naganą na Maciejaka nabierającego resztki sernika na widelczyk. Ten spłoszył się nieco, wytarł usta serwetką i przez chwilę namyślał się, jak zareagować.

Kornelia, widząc jego zachowanie, uśmiechnęła się z pobłażaniem. Z Zygmunta dobry był człowiek, więc zakładał, że reszta też nie najgorsza. Oczywiście służbowo musiał brać pod uwagę wszelkie scenariusze, ale...

– No już dobrze – odezwała się uspokajająco. – W sumie powinnam wiedzieć więcej, ale jakoś nigdy mnie to specjalnie nie obchodziło. Julia urodziła go, gdy ja mieszkiałam jeszcze w Krakowie, był jej ukochanym synkiem, tatuś gdzieś się zmył... standardowo. Czyli od syna niewiele się dowiem.

– Ale jutro ma przyjść na komendę – dodał podkomisarz Maciejak, zastanawiając się nad kolejną porcją serowego szaleństwa. – Zobaczymy, co powie. Informacja o śmierci matki na pewno była dla niego szokiem.

– Zgadza się, bo będzie musiał poszukać pracy albo nowej sponsorki swojego pijaństwa. No bo żeby było jasne, za własne nie chłął, tylko mamusia dawała. A mamusia miała emeryturę tysiąc pięćset złotych, więc ciekawe, skąd miała te dodatkowe złotówki dla synusia – w głosie Kornelii słychać było sarkazm.

– No właśnie, skąd? – powtórzył mało kreatywnie podkomisarz.

– No i tutaj docieramy do sąsiada spod dwunastki... – Kornelia zawiesiła głos, potęgując emocje. Niebo zakryły chmury i w oddali rozległy się pierwsze pohukiwania grzmotów. – O nie, jak dla mnie to za dużo. Odwieszysz mnie chłopcze, to ci powiem – zdecydowała błyskawicznie, a podkomisarz pożegnał się z wizją degustacji kolejnego kawałka sernika.

* * *

– Czyli ta twoja przyjaciółka...

– Koleżanka. Julia nigdy nie była moją przyjaciółką, taką od serca – Kornelia stanowczo odcięła się od bliższych powiązań. Była zła na siebie, że nigdy nie przyszło jej do głowy pytanie, z czego Julia żyje, ale też nie miała wszystkich danych, a o alkoholizmie syna nie miała pojęcia.

– Dobrze, niech będzie, koleżanka. Czyli jak doniósł sąsiad spod dwunastki, Julia miała dodatkowe źródło dochodu i było to związane z jakąś jej wiedzą? – Maurycy chłoną relację ciotki, zastanawiając się, czego jeszcze się dowiedzą.

– Tak. I wiesz, mnie się wydaje, że miała wątpliwości. Może wiedziała o czymś, co wydawało się niegroźne, ale w kontekście innych zdarzeń nabrało znaczenia. Podobno dostawała przekazy, jakaś forsa zasilala jej budżet systematycznie. Nie przypuszczam, żeby kogoś szantażowała, ale kto wie. Za chwilę się okaże, że znałam ją prawie całe życie, nie znając w ogóle. I wiesz, im dłużej myślę, tym bardziej jestem pewna, że był to ktoś jej bliski. Może ojciec Adasia, który ponoć zaginął przed jego urodzeniem...

– I ten ktoś miałby wiedzieć coś na temat zaginięcia Janki? – Maurycy pokręcił głową z powątpiewaniem, mimochodem zerkając na zegar w kuchni.

Dochodziła dwudziesta druga i oboje byli wykończeni. Maciejak pojechał do domu, obiecał dać znać, gdy będą wiedzieli coś konkretnego o czasie zgonu Julii i pozostałych odnalezionych szczątkach. Kazik pojechał do Katowic, bo jak to on – musiał odreagować stresy, a Ożegalski chciał w końcu trochę czasu spędzić z żoną. Robotę zrobili, to mógł się byczyć nawet do końca tygodnia, zanim nie nawinie się coś nowego. Na razie stali w miejscu, bogatsi o informacje, które zakłóciły ich spokój.

Maurycy przeklinał moment, gdy spojrział w niewinne oczy dziewczyny. Zauroczyła go jej uroda i tajemnica otaczająca jej zniknięcie. A teraz dwie osoby nie żyły. Miał nadzieję, że na nich się skończy. Janka Królikowska kiedyś się odnajdzie, a raczej to, co z niej zostało. W jego pokoju leżała kasetka ze zdjęciami znaleziona w domu Franciszka Karwasa, ale nawet nie miał ochoty ich przejrzeć. Może lepiej to wszystko spalić i zapomnieć?

– O czym tak dumasz? Bo wyglądasz, jakbyś ducha zobaczył. – Kornelia odgarnęła opadające na czoło włosy i ziewnęła. – A co do tej wiedzy, to byś się zdziwił, ten ramolowaty starzec moim zdaniem wiedział więcej, niż mi powiedział. I wiedział, że w razie czego ma się ze mną skontaktować. Julia przed wyjściem powiedziała mu, że wyjeżdża do siostrzenicy, gdzieś na Mazury. Fakt, siostrę miała, ale o siostrzenicy nie wiedziałam. Dlatego jej nie szukał, spokojny, że wyjechała. Zresztą już jej się zdarzało zostawiać syna na kilka dni. I tak stale pił. A teraz Julka nie żyje. Mam nadzieję, że nie cierpiała. No i na razie nie wiemy, kto zginął pierwszy, Julia czy ten emerytowany inspektor. – Nerwowym ruchem otarła spływające po policzkach łzy i energicznie wstała od stołu. – Jak możesz, to sprzątnij naczynia. Albo zostaw i też odpocznij. – Machnęła ręką zrezygnowana. – Padam z nóg.

– Jasne, też zaraz pójdę. Dobranoc! – Maurycy odprowadził ciotkę wzrokiem, potem wstał, pozbierał naczynia i szybko je umył. Odstawił wszystko na ociekacz, nie bawiąc się w wycieranie. Kuchnia u Kornelii i tak zawsze wyglądała jak z żurnala.

WALKA SEZONU

Sierpień 1962

Józek Widłęga zamiast przyjechać do domu, do matki, na wakacje, wyjechał na jakieś przeszkolenie wojskowe. Janka odetchnęła z ulgą – w końcu mogła przestać o nim myśleć. Chociaż tyle dobrego. W głębi serca żal było jej Józka i pani Widługowej, która powoli zaczynała żyć w swoim świecie i niewiele brakowało, by znalazła się na leczeniu w Kobierzynie. Jednak lepiej było dla wszystkich, żeby Józek nie przyjeżdżał. Wiedziała, że śledził ją, podglądał, podobno dla jej bezpieczeństwa, ale trudno było mu wierzyć. Tak naprawdę trudno było wierzyć komukolwiek. Otoczona zainteresowanymi nią mężczyznami czuła się coraz bardziej samotna. I jeszcze te mamrotania matki o zamążpójściu! Z pracą odpuściła – Janka przy okazji poinformowała siostrę Adelę, że jednak rezygnuje z pracy przy dzieciach, po prostu czuje, że nie nadaje się do tego. Ku jej zdziwieniu siostra Adela potwierdziła jej decyzję, z zaskowaniem radząc, by dobrze się zastanowiła, co chce robić w życiu, kim być. „Dla własnego dobra”, dodała, szybko wchodząc do kościoła. Janka tym razem zamiast do kościoła skierowała się na Klucznikowską, bo chciała zobaczyć się z Julią, która musiała siedzieć w domu i niańczyć syna siostry. Posiedziała chwilę, ale mdliło ją od zapachu gotowanego mleka i mydlin, w których gotowały się pieluchy małego. Musiała jak najszybciej wyjść na świeże powietrze. Umówiły się na następny tydzień, w Tysięcznej. Miały tam iść z bratem Julki, który trenował boks i marzył o walce w tym miejscu. Ale jak to w życiu, wszystko potoczyło się inaczej.

Julka na walki bokserskie chodziła systematycznie, zawsze pod opieką brata, który powoli zaczynał być znany w środowisku i już niewiele dzieliło go od występowania w barwach klubowych. Kiedyś nawet zaproponował Jance wspólne wyjście, ale dziewczyna odmówiła. Nie podobał jej się umięśniony rudzielec, z którym mogła rozmawiać tylko o sporcie, a lewe sierpowe i jakiegokolwiek inne nigdy jej nie interesowały.

Dzień przed walką Stefek Kowalski trafił do szpitala w Rajsku ze złamaną nogą, i to w trzech miejscach. Twierdził, że to samochód go potracił, ale Julka zwierzyła się Jance, że podejrzewa, iż jej brat został przez kogoś pobity, a nogę połamano mu z premedytacją. Na długi czas będzie musiał pożegnać się z ringiem, no i nie pójdzie z nimi na zapowiadzaną walkę. Janka zachnęła się, że przecież wcale nie muszą iść, dla niej to bez znaczenia, ważne, żeby Stefek wyzdrowiał. Mogła go nie lubić, ale nie życzyła mu źle, byle szedł własną drogą, bez niej.

– Nic z tych rzeczy. Stefan napisał do mnie list, skoro się zobowiązał, to kolega go zastąpi – rzekła z dziwnym uśmiechem Julka. – Wiesz, jaki on jest, ten mój brat, słowny zawsze – dodała cicho.

Janka obrzuciła przyjaciółkę uważnym spojrzeniem. Julka emanowała smutkiem i taką dziwną rezygnacją, jakby nie spodziewała się już niczego dobrego od losu. Martwiła się Stefanem, to na pewno, poza tym jej siostra miała jakieś problemy w pracy i musiały wyjechać z Oświęcimia, tylko na razie nie miała dokąd. Wszystko się waliło, bo na ojca i matkę to rodzeństwo raczej nie mogło liczyć. Stary Kowalski pił świątek, piątek i niedzielę, a matka przekonana, że jeżeli ona też wypije, to mniej przypadnie na męża, towarzyszyła ślubnemu. Nie piła tak intensywnie, jeszcze pamiętała o ugotowaniu posiłku i jakim takim ogarnięciu niewielkiego domku, ale Janka widziała, że Julka w domu nie ma wsparcia. Ona, cóż, niby miała, ale matka i tak nie miała pojęcia o większości jej problemów. Też musi wyjechać, zniknąć, zacząć od nowa.

– Podobno ten jego kolega ma podjechać po nas samochodem. On wie, gdzie ty mieszkasz, więc nie musimy się spieszyć. Tylko przebierz się jakoś, bo na razie to nie widać, żebyś się gdziekolwiek wybierała – zażartowała smętnie Julka, przyglądając się Jance odzianej w zwiewny szlafroczek.

– Jasne, zaraz będę gotowa. – Janka sięgnęła po przygotowane na oparciu krzesła ciuchy i zaczęła się ubierać. – A ten kolega to kto? Znamy go? – Spojrzała zaciekawiona na Julkę, która usiadła na brzegu łóżka i szukała czegoś w torebce.

Ta, nie podnosząc wzroku, wymamrotała niewyraźnie:

– No właśnie nie wiem, czy znamy. Tu mam ten świstek od Stefka. – Podała Jance kartkę papieru w kratkę zapisaną niewyraźnym pismem brata.

– Ale z tego nic nie wynika, tyle że wiadomo, że on się nami zaopiekuje, ten jakiś Jarek. I tyle. W sumie dlaczego nie miałybyśmy iść same, skoro ci na tym zależy? – Janka zdążyła już ubrać się w nowy komplet marynarski, do koloru dobrała czerwoną torebkę, na nos założyła okulary przeciwsłoneczne. Bujne blond włosy upięła w koński ogon. – Jeszcze tylko odrobina szminki i jestem gotowa. – Sięgnęła po szminkę Elizabeth Arden, a widząc zazdrosne spojrzenie Julki, podała jej kredkę. – Spróbuj, na pewno będziesz wyglądała bosko – zachęciła ją.

Gdy zobaczyła, kim jest kolega Stefana, nogi odmówiły jej posłuszeństwa, ale zmobilizowała się i usiadła na tylnym siedzeniu samochodu, obok Julki.

W hali tłoczyło się prawie samo męskie towarzystwo, niewiele kobiet postanowiło przyjść obejrzeć najgłośniejszą walkę sezonu. Jarek znalazł im miejsce na przodzie, wąskie ławki, a właściwie deski, były niewygodne, siedzieli przytuleni jeden do drugiego. Janka czuła, jak ręka Jarka wędruje po jej kolanie, i zamiast zareagować i dać mu w twarz, niecierpliwie usuwała z kolana zaborczą dłoń. Miała dość, chciała wstać i wyjść, ale nawet gdyby to zrobiła, to miałyby na karku podochoconego syna dyrektora kopalni. Julka Kowalska, zafascynowana walką, na pewno zostałaby w środku.

Po skończonej walce odetchnęła, nie interesował jej wynik ani plotki ze świata oświecimskiego sportu. Chciała jak najszybciej wrócić do domu, najlepiej sama albo ostatecznie w towarzystwie przyjaciółki. W co wplątał się Stefan, że w jego miejsce jako opiekuna wskoczył Jarek Zagórny? W przyjaźń tych dwóch Janka nie wierzyła.

Postawiła na swoim, spacer od Zakładów Chemicznych do centrum miasta Julce nie przypadł do gustu, ale nie protestowała, widząc zaciętą minę koleżanki. Szły, mijając nieznanym żywo dyskutujących po zakończonej imprezie. Pogoda dopisywała, było ciepło, ale nie upalnie. Przy przystanku minęły saturator, do którego ustawiła się kolejka chętnych.

– Chodź, napijemy się, ja stawiam – zaproponowała Janka, otwierając torebkę w poszukiwaniu portmonetki.

– Dobrze, niech ci będzie – Julka zgodziła się niespodziewanie łatwo. – Wiesz, on mi się nie podoba, jest taki oślizły – zwierzyła się koleżance, zniżając głos do szeptu.

Janka skinęła głową potakująco. Znała Jarka lepiej niż przyjaciółka i zdawała sobie sprawę, do czego potrafi być zdolny.

* * *

Janka z niedowierzaniem wpatrywała się w swoje zaniedbane dłonie. Coś takiego! Paznokcie musiała opilać, bo wyrosły nadmiernie, a skóra dłoni zrobiła się szara i szorstka od pracy w warzywniaku. Jak na złość kupiony spod lady krem nivea dawno się skończył, a resztkę mydła glicerynowego zużyła matka wczoraj. Nie pozostawało nic innego, jak ruszyć na łowy do sklepów i zaopatrzyć się w jakieś zdatne do użytku kosmetyki.

Nogi same zaniosły ją w kierunku Atelier Miraż. Drzwi do środka były szeroko otwarte, z wewnątrz dobiegały znajome dźwięki – Zenobiusz Żak delektował się rytmami walca znad pięknego, modrego Dunaju. Zajrzała, czego pożałowała po sekundzie. Dojrzał ją i zaprosił do środka. Zawahała się, ale odmówić nie potrafiła.

– Jak zawsze herbata i może tym razem ciasteczka, mam angielskie z puszki – zaproponował życzliwie, a ona kiwnęła głową, jakby zapomniała słów.

Nie był zdziwiony, dziewczyna z twarzą stężałą od przerażenia wpatrywała się w informację o śmierci bogini ekranu. Marylin Monroe popełniła samobójstwo – w ten okrutny dla wielbicieli i wielbicielek sposób „Przekrój” donosił o przedwczesnej śmierci gwiazdy kina. Szóstego sierpnia 1962 roku boska MM opuściła ziemski plan filmowy, pomyślał z patosem. Ruszony współczuciem pogłaskał delikatnie drgające od płaczu ramiona Janki.

Zmierzchało, chociaż na zewnątrz paliło mocne, sierpniowe słońce.

PO NITCE DO KLĘBKA

2017

Podkomisarz Zygmunt Maciejak kłął, na czym świat stoi, i robił to z wyraźną przyjemnością. Musiał jakoś odreagować poranne spotkanie z szefostwem, a konkretnie z komendantem, który czepiał się tych pozaproceduralnych relacji łączących go z byłym nadkomisarzem Sławomirem Ożegalskim, po przejściu na emeryturę będącym zwykłym obywatelem poza policyjnymi strukturami. Trudno było nie zgodzić się z argumentacją komendanta, ale jak dowodził Maciejak, gdyby trafiło na jakiegoś niedoświadczonego funkcjonariusza, to mógłby zlekceważyć informacje od Sławka albo, co gorsza, zachować się jak tamte krawężniki.

Jakoś się dogadali, Maciejak przerwał urlop, zlecił badania i rozsiadł się przy założonym papierami biurku, żeby przeczytać raporty. Piwnica była rozlokowana pod całym domem i podzielona na części. Do tej używanej wchodziło się z dobudowanej od tyłu domu komórki. To tam mieszkańcy trzymali ziemniaki i inne warzywa, jakieś zaprawy i węgiel. Działo się to przed wielu laty, gdy dom był zamieszany, chyba przez rodzinę Żaków. Taką informacją podzieliła się z policjantami sąsiadka mieszkająca w pobliżu wału. O ludziach, którzy pomieszkiwali w budynku po śmierci Żaka, nie wiedziała nic. Ale cóż, nie był to jakiś element, zachowywali się spokojnie, chociaż ta chałupa nikomu szczęścia nie przyniosła.

Maciejak czytał dalej, a jego zainteresowanie rosło. Musiał sprawdzić księgi stanu cywilnego i na pewno osobiście zajrzeć do sądu, żeby w końcu wyjaśnić, kto naprawdę w ostatnich latach był właścicielem pechowej miejscówki. Czy pomoże mu to w wykryciu sprawcy morderstwa albo nawet kilku morderstw? Nie miał pewności, ale wszystkie wątki sprawy związane z Franciszkiem Karwasem i Julią Kowalską prowadziły w przeszłość. Do tego mitycznego fotografa Zenobiusza Żaka, do niedawno zmarłej Leokadii Królikowskiej-Wnuk i jej zaginionej córki Janki Królikowskiej. Ale na tym nie kończył się wykaz dziwnych zaginięć i nierozwiązanych spraw.

To w dalekiej przeszłości musiał szukać motywów współczesnych zbrodni.

* * *

– Podobno Zygmunt trafił na coś ciekawego, ale nie chciał nic powiedzieć. Jak wykroi trochę czasu, to zajrzy do was jutro, i ja też wtedy podjadę. Trochę mi to odpoczywanie dało w kość i miło byłoby wrócić do pracy.

Sławomir Ożegalski nigdy nie owijał w bawełnę. Po latach intensywnej pracy i nie mniej intensywnych działań przy okazji sprzątnięcia mieszkań odzwyczaił się od

całodziennego pobytu w towarzystwie żony i dzieci. Wprawdzie bliźniaki zajmowały się najchętniej własnymi sprawami, ale osobista małżonka wymagała uwagi i najchętniej od razu zaprzęgały go do czynności domowych. Udało mu się wynegocjować jednodniowy wyjazd do Krakowa i wycieczkę rowerową do Bulowic, żeby chociaż z daleka przyjrzeć się zameczkowi. Przez chwilę miał ochotę poszukać dziury w siatce. Opowiadał mu o niej znajomy, któremu udało wdrzeć się na teren posiadłości, ale po chwili zganił się za chęć postąpienia niezgodnie z prawem. Zresztą na pewno dziura już dawno została zabezpieczona, żeby nie kusić obcych. Cóż, gdyby miał pieniądze i możliwości, to chętnie kupiłby jakiś niewielki pałacyk albo dworek. Zdawał sobie sprawę, że na utrzymanie tak urokliwego miejsca są potrzebne niemałe pieniądze, ale pomarzyć mógł.

– To i dobrze. Może do czegoś dojdziemy wspólnie. Udało mi się przejrzeć te zdjęcia, niektóre tak zeżarte przez wilgoć, że ledwie widoczne, ale fachowcy na pewno doprowadzą je do względnego porządku. Nie wiem, w co się wplątała ta dziewczyna, ale nie dziwię się, że chciała uciec, tylko jak to w życiu bywa, związała z deszczu pod rynną. Mam wrażenie, że ona była osaczona, taka piękna laleczka, ale nie wierzę, że jej to pasowało. Skoro chciała się uczyć, studiować, to musiała wierzyć we własne siły – głos Maurycego brzmiał pewnie, widocznie zdążył sobie sporo przemyśleć.

Ożegalski przez chwilę milczał. Nie czuł się tak jak Maurycy emocjonalnie związany z tą nieznaną dziewczyną sprzed lat, która zaginęła. Może to właśnie dzięki temu zachował zdrowy rozsądek i zdolność odsiania ziarna od plew?

– No cóż, według mnie... – zawahał się i kontynuował, starannie dobierając słowa: – Mogło być różnie. Być może, gdy uda nam się poskładać wszystkie informacje, dowiemy się, jaki los ją spotkał, ale teraz chyba najważniejsze jest znaleźć zabójcę Karwasa. Bo jeżeli nawet Karwas zabił Kowalską, to kto zabił inspektora, kto zadzwonił do policjantów i nasłał ich na nas? Jest dużo pytań. A nie ma kto udzielić nam odpowiedzi – westchnął ze smutkiem. Odszedł z pracy, ale praca go nie opuściła.

Maurycy coś mruknął, jakby potwierdzał słowa kolegi, i rozłączył się. Cień Janki rozmył się w powietrzu i mężczyzna mógł zająć się innymi sprawami. Bardziej przyziemnymi.

ZDRADLIWY UŚMIECH LOSU

Wrzesień 1962

Lato dobiegało końca, dzieci poszły do szkoły, a kto nie wyjechał na wakacje, ten musiał poczekać do następnego roku, co najmniej do ferii zimowych. Janka pogodziła się z coraz bardziej monotonnym rytmem dnia. Zenobiusz Żak na razie odpuścił jej i zajął się młodszymi od Janki dziewczętami. Kilka razy zauważyła rozchichotane małolaty czekające na swoją kolej, by zrobić zdjęcie do legitymacji. Niektóre z nich otrzymywały dodatkowe propozycje, odrzucane z wielkim oburzeniem i przyjmowane po cichu, zwłaszcza gdy sytuacja materialna nie pozwalała na nowe ciuszki i wypadły do kawiarni. Janka widziała te zdjęcia, gdy któregoś dnia wstąpiła do niego, żeby się przywitać. Instynktownie czuła, że należy zadbać o dobre stosunki z Żakiem, choćby dlatego, że to właśnie on otworzył jej oczy na wiele spraw. Wykorzystał, to fakt, musiała przyjąć do wiadomości, że jej roznegliżowane zdjęcia w nie całkiem przyzwoitych pozach sprzedają się jak świeże bułeczki, ale jak tłumaczył, gdyby została aktorką czy modelką, to też miałyby podobnego typu propozycje. A tak nauczył ją od podstaw pozowania i w przyszłości, gdy już zrobi karierę, zrozumie, ile mu zawdzięcza. Pamiętała, jak perorował, machając rękami. Przytaknęła, bo w pewnym sensie miał rację. Tylko to wrywanie się z miasteczka szło jej jak po grudzie.

Po okresie buntu wróciła do sklepu i pomagała matce w dźwiganiu ciężkich skrzynek z warzywami i owocami, obsłudze klientów i przyjmowaniu zamówień. Po całym dniu pracy czuła się tak zmęczona, że marzyła tylko o położeniu się do łóżka, ale nie mogła, matka nadal narzekała na złe samopoczucie i Janka przejęła na siebie gotowanie codziennych posiłków.

Z przerażeniem odliczała kolejny miesiąc, który minął bez działań z jej strony. Życie przelatywało jej przez palce jak ta woda, którą codziennie musiała przynosić w wiadrach. Dobrze, że matka obiecała przeprowadzkę, jeszcze rok, najwyżej dwa i znikną z tej przekłętej ulicy. Janka czuła się tak, jakby żyła w dziewiętnastowiecznych slumsach, bo wprawdzie prąd mieli, ale reszta pozostawiała dużo do życzenia. Ale i tak nadal prowadziłyby ten sklepik, bo z czegoś żyć musiały.

Dziewczyna szła przed siebie, nie patrząc na mijanych ludzi. Nie miała ochoty z nikim rozmawiać, co najwyżej sama ze sobą. Minęła kościół i zaczęła schodzić w dół. W dłoni ścisnęła karteczkę, którą znalazła wciśniętą w drzwi z prośbą o spotkanie – Julka znowu nie mogła wyrwać się z domu i prosiła, żeby przyjaciółka do niej zajrzała. Zamierzała odmówić, ale krótkie zdania tchnęły taką rozpaczą, że postanowiła dokładnie sprawdzić, o co w tym wszystkim chodzi. Czy Julka potrzebowała pomocy? Stefan podobno już wrócił ze szpitala, noga zrastała się powoli, ale przynajmniej był już pod ręką.

– Hej, lalka, ludzi nie poznajesz?!

Jak spod ziemi wyrósł przed nią Jarosław Zagórny. Górujący nad nią wzrostem cuchnął alkoholem zmieszany z drogą wodą kolońską, której użył w nadmiarze. Podwinięte rękawy odsłaniały owłosione przedramiona, a trzy guziki ledwo trzymały się na nitkach, kołysząc się pod niedbale zawiązanym krawatem. Pasek z dużą klamrą połyskującą złotem podtrzymywał zsuwające się z bioder spodnie. Janka poczuła, jak ten pasek wpija jej się w brzuch, gdy mężczyzna zaczął na nią napierać. Za sobą miała tylko mur mijanego domu, a wokół, jak na złość, nagle zrobiło się pusto i szaro. Wieczory w takich miejscach nie należą do najbezpieczniejszych, pomyślała po niewczasie, usiłując odepchnąć mężczyznę od siebie.

– Zostaw mnie, ty chamie! Odczep się ode mnie w końcu! – wrzasnęła, ale on tylko bardziej na nią naparł, szarpiąc za guziki bluzki.

– Nie takie kurwy jak ty miałem bez prośzenia, a ty robisz z siebie nie wiadomo co i po co. Myślisz, że nikt nie wie?! – wycharczał, plując dookoła śliną. – No już, albo sama mi dasz, albo sobie wezmę, na co mam ochotę!

Janka poczuła, że ma wszystkiego dość. Najlepiej, żeby ją zabił, będzie koniec z problemami, matka trochę popłacze, ale jakoś się pogodzi, jego zamkną, a potem wypuszczą, bo pewnie przed sądem powie, że zabił ją w samoobronie – pomyślała w przebłysku czarnego humoru. Nie wiedziała, co się stało potem, bo zemdłała. A nachelny damski bokser dostał w pysk, jak wyjaśnił jej zabawną polszczyzną szcypły mężczyzna po czterdzieste, podając rękę i pomagając wstać, gdy się ocknęła.

– Jesteś piękna jak bogini, la più bella del mondo, jak on śmiał, doprze mówię, vero? – zwrócił się do Janki, której nadal kręciło się w głowie. – Wszystko doprze? – wymawiał wyrazy powoli, z cudzoziemskim akcentem, popatrując na nią z góry.

Powoli zapięła porozpinane guziki bluzki, wygładziła spódnice, poszarpane włosy spięła w niedbały kok. Najchętniej sięgnęłaby po lustro, ale nagle poczuła się skrępowana.

– Tak, już wszystko będzie dobrze, dziękuję za pomoc. – Uśmiechnęła się z wysiłkiem do nieznanego. Ten stał z boku, przypatrując się młodej kobiecie z widocznym zainteresowaniem. Jarek gdzieś zniknął, ale Janka była pewna, że wróci i znowu będzie ją napastował. Widocznie niewesołe myśli odbiły się na jej twarzy, bo cudzoziemiec pospieszył z zapewnieniem, które ją zdumiało.

– Ty się już nic nie bój, jego jakby nie było.

Uśmiechnął się łobuzersko, a Janka poczuła dreszcz, jakby nagle owiał ją zimny, listopadowy wiatr. Usiłowała wyjaśnić nieznanemu, że Jarosław Zagórny tak szybko nie odpuści, ale instynktownie poczuła, że mądrzej będzie dalej nie drążyć. Wołała nie wiedzieć.

– Ale, ale, *scuzi, signorina, non mi sono presentato, scuzi, bella*, nie przestawiłem się – wydekłamał mężczyzna, kłaniając się nisko. – *Il mio nome è Alberto Tozzi*.

– Czy wszystko w porządku? – Obok Janki i cudzoziemca przystanął Zenobiusz Żak.

– Tak, oczywiście, nie musi się pan o mnie martwić. – Janka uśmiechnęła się sztucznie do fotografa. – Wszystko w porządku, prawda? – zwróciła się do nowego znajomego.

– Si, si, znaczy tak, my tylko rozmawiamy – zapewnił Włoch, nie wspominając ani słowem o napadzie na Jankę i swojej interwencji.

– W razie czego wiesz, że zawsze możesz ze mną porozmawiać – Żak zwrócił się do Janki, uważnie lustrując wzrokiem nieznanego.

– Oczywiście, pamiętam – zapewniła, czekając, kiedy starszy pan oddali się w stronę swojego rodzinnego domu. Nie wszyscy wiedzieli, że domek przy placu Rybnym należał do jego rodziny i Janka też by nie wiedziała, gdyby matce nie wymknęła się ta

informacja przy okazji rozmowy o przeszłości Zenobiusza. Matka nie chciała dzielić się wiedzą, ale czasem traciła czujność.

– Spacer czy może *ristorante? Cafe?* – Alberto szarmancko podał jej ramię.

Janka zawahała się. Powinna zajrzeć do Julki, ale przecież gdyby Jarek ją dorwał, to nie miałyby szans. Ciekawe, czy to był przypadek. Nagle zaświtało jej w głowie, że cała akcja została ukartowana, a przystojny cudzoziemiec zaraz ją zgwałci, a może od razu zabije. Nie, żadne spacerki nie wchodziły w grę. Musiała wrócić do domu. Ostatecznie mogli iść do tej knajpy u Haberfelda i napić się kawy. Tak, to był dobry pomysł – w lokalu byli ludzie, ona blisko domu, a może Włoch okaże się prawdziwym Włochem i znajomość z nim da jej szansę na nowe życie. Ileż to razy słuchała Marino Mariniego i tańczyła szalonego twista, gdy nikt nie widział? A raz nawet z Józkiem na potańcówce dali popis. Kiedy to było? Kilka miesięcy temu, a teraz ani jej w głowie tańce, chociaż... Nie, takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach.

– Pójdziemy na kawę – zdecydowała i prostując plecy, lekko dotknęła ręki nowego znajomego. Ten, nie czekając, pochylił się i namiętnie pocałował ją w dłoń. Poczua, jak dreszcz oczekiwania przebiega jej przez ciało. Nie wyrwała ręki, lekkim krokiem skierowała się ku górcie, uśmiechając się zalotnie do miłego nieznajomego, który idąc obok niej, nucił coś melodyjnie, po włosku.

Nikomu nie powiedziała o tej nowej znajomości. Przez godzinę spędzoną wspólnie przy kawie zdążyła opowiedzieć Alberto o swojej tęsknocie za wielkim światem i brakiem szans na wyrwanie się z tej pipidówki. Siedzieli w kacie, bo Janka wołała, żeby nikt matce nie doniósł, że spotyka się z obcymi w niezbyt odpowiednim dla niej miejscu. Tylko Mieciu z daleka pogroził jej palcem. Ale Mieciu o tej porze miał już sporo w czubie i mało kto dałby wiarę jego relacji. Co innego kelner, ale ten raczej był zainteresowany dolarowym biznesem i coś ustalał z jej nowym znajomym.

Rozstali się, obiecując sobie, że się jeszcze spotkają. Alberto chyba wziął sobie do serca opowieści Janki i chciał jej pomóc, a ona ani przez moment nie pomyślała, że w życiu nie ma nic za darmo.

* * *

Gdy jeszcze rozmawiali przytuleni do kruszejącej cegły starej kamienicy na górcie, Zenobiusz Żak zdążył dotrzeć do swojego domku i z daleka przypatrywał się tej dziwnej parze. Ciekawe, kim był ten mężczyzna. Już niemłody, dobiegający czterdziestki, ubrany z zagranicznym sznytem. Żak miał oko do dodatków. Jakiś znajomy z Bukowiny, może Węgier? Mówił z cudzoziemskim akcentem. Tutaj, w Oświęcimiu? Postanowił, że przy najbliższej okazji wypyta dziewczynę, może zrobi jej kilka zwykłych zdjęć. Chociaż musiał przyznać, że na zwykłych zdjęciach Janka i tak prezentowała się, jakby była z innego, nie szarego, komunistycznego świata. Miała dar dziewczyna.

Pogmerał w kieszeni i wyjął z niej klucz do domku. Rzadko tu przychodził, miał gdzie mieszkać, a z mieszkania przy Rynku miał do pracowni tak blisko, jakby w niej mieszkał. Otworzył drzwi, pchnął, jęknięty zawiasy, ze środka buchnęła wilgoć nieogrzewanych pomieszczeń.

W komórce za domem składowali węgiel i drewno do palenia w piecach. Do komórki wchodziło się od zewnątrz, tak samo do piwnicy. Jako gówniarz ganiał z wiaderkiem wypełnionym drobnym węglem pełnym miazgą, uginając się pod ciężarem ładunku. Za mały był na taką pracę, ale ani matka, ani tym bardziej ojciec nie zwracali na to uwagi. W piwnicy przechowywali ziemniaki w starych, drewnianych skrzyniach. Pamiętał, jak na przednówku musiał je przebierać i odcinać nadgniłe części, tak by resztę można było ugotować. Na polepie zasypana piaskiem leżała marchew, a w dużej

donicy matka przechowywała pietruszkę. Biednie mieli, jedzenia nie można było marnować. Dopiero potem, gdy matka przejęła po ojcu zakład fotograficzny, sytuacja się poprawiła. Tak, matka była obrotną kobietą. Musiała wykarmić córkę, bo Leośka od dziecka tylko wołała o jedzenie, jego i najmłodszego brata, Staszka, z którego było chuchro i matka się o niego trzęsła. Trzęsła się o te gęby nienażarte, bo o niego nigdy. Tak jakby wiedziała, tylko skąd?

Zenobiusz powiesił płaszcz na wieszaku w przedpokoju i przeszedł do kuchni. I tutaj powinien zrobić porządki, żeby w razie niespodziewanej wizyty nie wyszło nic nieprzyjemnego. Właśnie... Przez wiele lat nie zdawał sobie sprawy, że pod domem jest usytuowana druga piwnica. Ta właściwa.

W 1942 roku Stasiek mieszkał już na Podhalu i jedynym znakiem, że żyje i ma się dobrze, były pękate pakunki dostarczane matce co dwa, trzy miesiące przez znajomego kolejarza. Ta kontrabanda pozwalała im przeżyć. Leośka nie wykazywała najmniejszego zainteresowania fotografią, a i do nauki nie miała nabożeństwa. Z tej nijakiej dziewczynki wyrosła piękna kobieta i w adoratorach mogła przebierać jak w ulęgawkach. Gdy wrócił z tego miejsca, o którym nikomu nie powiedział, własna siostra wydała mu się obca i pociągająca. Pewna siebie, urocza jak te kobiety sprzed lat przed obiektywem aparatu ojca. Leośka byłaby doskonałą modelką i prawie, prawie mu się udało. Prawie... a mógł ją mieć na zawsze dla siebie, do śmierci. Jej śmierci. A ona żyła i żyła, jakby była nieśmiertelna. Już wdowa, a pamiętał, jak się puszyła, gdy młody Królikowski się jej oświadczył. Jak wynosiła ponad inne dziewczęta, że taką partię złapała. Taksówkarz, syn właściciela niewielkiego folwarku pod Oświęcimiem, zaradny, przystojny, zakochany. Zmarło mu się, biedaczynie, tragicznie...

Zenobiusz zachichotał złowieszczo. Tylko on wiedział, co wydarzyło się tamtej nocy. Był człowiek i nie ma człowieka. Jakie to proste! A Leośka musi tyrać w tym sklepiku, żeby utrzymać siebie i córkę. Udaje, że go nie zna, a po wojnie to mało kto swój, więcej napływowych. Jak kto przeżył, to patrzy swego i w cudze się nie wtrąca. Ot, przyjdzie do zakładu, żeby zdjęcie zrobić, bo ślubna chciałaby mieć portret z małżonkiem do powieszenia na ścianie w sypialni. A tylko on zna w tych rejonach sekret udanego monidla.

Zamyślił się, zapatrzył w siebie. Od tak wielu lat był sam, że wydawało mu się, jakby był sam przez całe życie. Wstał z taboretu i podszedł do okna. Zapadała ciemność, na tym skrawku miejskiego gruntu nikt nie pomyślał o latarni oświetlającej nierówne chodniki. W domach rozbłysły światła, jakiś pies rozszczękał się zajadłe. Ktoś laził po ulicy. Nie pamiętał, czy zamknął drzwi – powinien sprawdzić. Ziewnął, życie przeszło mu zdecydowanie zbyt szybko. Zasłonił okna, oddzielając się od ciekawskich. Przekręcił klucz w zamku, zgasił światło w sieni, wrócił do kuchni. Nalał sobie wina i z kieliszkiem w rękę udał się do pokoju, który kiedyś służył rodzicom za sypialnię. Usiadł na łóżku, pochylił się i z nakastlika wyjął grubą szarą kopertę, w której przechowywał zdjęcia wykonane przez ojca. Swoje ulubione. Ojciec był mistrzem fotografii portretowej i gdyby tylko miał więcej szczęścia, to mógłby zająć wysoko. Matka miała nieco inne zamiłowania, ale nie można było odmówić jej talentu. Oboje nie żyli, tylko on wiedział, że grób mają wspólny. Powinien spalić te zdjęcia, ale jeszcze nie teraz, jeszcze zaczeka. Dłoń mu zadrżała, westchnął i nie była to modlitwa za dusze zmarłych.

Zanim zamknął za sobą drzwi, przystanął w sieni i rzucił krótkie spojrzenie w bok. Jedynie on wiedział, co tak naprawdę kryły piwnice tego niewielkiego domku. I niech tak zostanie, pomyślał, uśmiechając się sardonicznie.

KTO SIEJE WIATR, TEN ZBIERA BURZĘ

2017

Intuicyjnie czuł, że nadchodzi ostatnia rozgrywka, że w każdej chwili ta zgraja nieudaczników może wpaść na jego trop. Oczywiście przypadkiem, ale to właśnie przypadek kierował całym jego życiem. Jeszcze nie wiedzieli, że to on, jeszcze niczego nie kojarzyli. Mógł nie ryzykować, ale w sumie co miał do stracenia? I tak wiedział, że to kwestia czasu, może dni, może tygodni? Mógł zostać na drugim końcu świata i korzystać z uroków wypracowanej emerytury. Cóż z tego, skoro zatęsknił za miejscem urodzenia. Kraj lat dziecinnych, jak u Iwaszkiewicza. Czarodziejski świat niewinnych przygód i miłosnych uniesień. Całe życie sam, bez rodziny. Chociaż nie do końca. Czy gdyby wiedział, inaczej ułożyłoby się jego życie? Od pierwszego spotkania po ostatnie. Tęsknił każdego dnia za tą dziurą na końcu świata, za ulicami, którymi ona spacerowała, i dlatego wrócił. Wszystko już się przedawniło i mógł stanąć na środku tego zalanego słońcem Rynku i wykrzyknąć na cały głos: „Tak, ja ją zabiłem, tak, mam ją na sumieniu!”. Powinien był zareagować, porozmawiać z jej matką. Ostrzec, żeby uważała. A on po prostu patrzył urażony, zraniony, bo jego męska duma doznała uszczerbku.

Mężczyzna chodził po domu, szamocząc się jak oszalałe zwierzę w klatce. Jak zawsze, od lat.

* * *

Telefon zadzwonił o szóstej rano, wrywając Maurycego ze snu. Oczy mu się zamykały, gdy usiłował rozpoznać numer komórki, ale ten był zastrzeżony. Odebrał, ledwo hamując ziewanie. Nowe zlecenie zapowiadało się interesująco. Wnuczka po dwóch miesiącach nieobecności wróciła do domu i zastała zwłoki babci w stanie rozkładu. Sąsiedzi ponoć myśleli, że razem wyjechały, bo od jej wyjazdu nikt już babci nie spotkał. Kobieta błagała o pomoc, bo nie była w stanie wejść drugi raz do domu. Miała zapewnione mieszkanie u przyjaciółki, ale tylko na kilka dni. Cóż, babcię już wywieziono, ona skupi się na załatwieniu pogrzebu, byle nie myśleć o tym, co zastała.

Maurycy potakiwał mechanicznie, na koniec wy dobył adres od klientki. Niewielki domek w pobliżu Rynku...

Kazik będzie się krzywił, ale Sławek powinien być zadowolony.

* * *

– Znowu potknęłam się o kamień na Rynku. – Kornelia zaprezentowała bratankowi zakrwawione kolano. – Weź te zakupy i włóż do zamrażarki, bo ja muszę zająć się sobą.

Torby położyła na stole, przed nosem Maurycego, i pokuśtykała do łazienki, z której po chwili dobiegł szum wody.

Maurycy, nie czekając, wrzucił mrożonki do szuflady w zamrażarce i z apteczki wyjął wodę utlenioną, której, jak przypuszczał, ciocia będzie potrzebowała.

– Mogę? – spytał, pukając do drzwi łazienki. – Wodę utlenioną przyniosłem.

Drzwi uchyliły się lekko i Kornelia capnęła buteleczkę.

– Dziękuję! Jak tak dalej pójdzie, to ich w końcu pozwę. Nigdy mi się nie podobał pomysł powyrywania wszystkich drzew i zalania betonem placu na środku miasta, ale te otoczaki znad Soły to był całkiem dobry pomysł. W życiu bym nie przypuszczała, że będą się tak wykruszać z podłoża. Kiedyś ktoś naprawdę zrobi sobie krzywdę, nie daj Bóg, zabije się albo co gorszego. Najlepiej do gazety pójde, media są od takich spraw! – zagroziła podniesionym głosem.

Maurycy nie odzywał się, wiedział, że ciocia musi się wygadać. Gdy odświeżona i z zaklejonym kolanem pojawiła się w kuchni, poprosił, żeby usiadła i napiła się soku.

– Zaraz będzie obiad, ty naprawdę musisz, ciociu, się oszczędzać – pouczył, jednocześnie podsmażając ziemniaki.

Na obiad mieli żurek z jajkiem i pierogi z kapustą, w które zaopatrywali się systematycznie w pobliskiej pierogarni. Pod wieczór spodziewali się Maciejaka i Ożegalskiego, a nawet Kazik wyraził chęć przyjazdu, chociaż gdy dowiedział się o czekającej ich robocie, to chęć mu nieco skłęśła. Nadal nie cierpiał robali i pod tym względem nie zamierzał się zmieniać.

– Jeszcze nie zapomniałeś, jak się gotuje – Kornelia pochwaliła go wstrzemięźliwie, sięgając po pucharek z borówkami i bitą śmietaną.

Jagody obrodziły w ogrodzie, więc wstyd byłoby nie skorzystać. Maurycemu zrobiło się przyjemnie, że mógł wyręczyć ciotkę. Wprawdzie Kornelia, jak na swój wiek, trzymała się bardzo dobrze, ale ostatnie przeżycia odbiły się na jej twarzy.

– Co ty mi się tak przyglądasz? Brudna jestem? – Ciotka nerwowo sięgnęła po chusteczkę.

– Ależ nie, skąd, po prostu tak patrzę. W wolnej chwili pomalowałbym ściany, tapety byśmy położyli z Kazikiem. Taki mały remoncik, szybko i tanio – zaproponował bez namysłu.

Kornelia ucieszyła się. Oczywiście jej błysnęły, plecy wyprostowały – już wiedział, że trafił z propozycją.

– Dobry chłopak z ciebie – kobieta się rozczuliła. – Pomyślmy o tym wszystkim. Na razie muszę się położyć, bo jak Zygmunt przyjdzie, to muszę być w jakiejś takiej formie. A ty znalazłeś coś nowego? – Spojrzała na bratanka z zaciekawieniem. Miał jeszcze raz przejrzeć papiery i zdjęcia z chałupy, ale nie przypuszczała, że miał na to czas. Obiad sam przygotował...

Maurycy skinął głową potakująco.

– Tak, trochę się dowiedziałem, trochę powiązałem fakty i plotki, więc jak Maciejak dołoży swoje, to może coś nam wyjdzie z tej układanki. A jutro robimy obok Małego Rynku... Obudzę cię, ciociu – zapewnił, widząc, że Kornelia ledwie panuje nad zamykającymi się powiekami.

– Jasne.

Przez chwilę słucał, jak zmierza do swojego pokoju, nieco powłóczęc nogami. Zamierzał zaproponować tabletkę przeciwbólową, ale odpuścił – ciocia nienawidziła nadopiekuńczości.

* * *

Sławomir Ożegalski zebrał się z domu w miarę szybko. Żonę uprzedził, że mają z kolegami do pogadania, bo podobno coś się ruszyło w sprawie tych dwóch morderstw, a potem chcą jeszcze skoczyć na Mały Rynek i sprawdzić, w jakim stanie jest to mieszkanie nieboszczki babci. Może wnuczka przesadziła? Tak że na kolację to on się na pewno spóźni.

Żona skinęła głową, nie odrywając wzroku od szycia. Miała wrażenie, że od czasu przejścia na emeryturę mąż jest jeszcze bardziej nieobecny w ich życiu niż do tej pory. A jak już był obecny, to intensywnie i na pewno był dużo bardziej zadowolony z tej dodatkowej pracy. I pieniądze zarabiał na tym całkiem niezłe. Nawet się nie spodziewała, że ludzie aż tyle płacą za sprzątanie. Nikt mu nad głową nie huczał, nie straszył, że wyleci z roboty, nie groził, nie przypominał, żeby nie wtykał nosa w nie swoje sprawy. Nie tak jak przez te wszystkie lata pracy w policji. Bo też Sławek miał taki charakter, że jak już się zaangażował, to nie było przebaczenia.

Uniosła wzrok i zobaczyła, że mąż nadal przypatruje się jej z widoczną troską. Uśmiechnęła się do niego ciepło.

– Mam wrażenie, że jesteś przemęczona, kochanie. Jak już skończymy z tą sprawą, to zrobię sobie urlop i pojedziemy na wczasy. Dokąd chcesz, sami – zaproponował bez namysłu.

Żona skrzywiła się.

– Sami?

– No tak, chłopcy są na obozie, potem mają wyjazd na kolonie, więc moglibyśmy wyjechać chociaż na tydzień – przypomniał nieco zniecierpliwiony. – Pomyśl nad tym, proszę, a ja na razie uciekam. – Pochylił się i pocałował żonę w policzek. Powinien jednak okazywać jej więcej czułości.

Przyjechał ostatni, a tak nie lubił się spóźniać. Zdenerwowany spojrzął na zegarek, do dziewiętnastej brakowało siedmiu minut, co oznaczało, że reszta stawiała się przed czasem.

* * *

– Pani Julia Kowalska zginęła mniej więcej w tym samym czasie co Franciszek Karwas, tak twierdzi nasz lekarz – oznajmił Zygmunt Maciejak, zaczynając swoje sprawozdanie z postępów w śledztwie. – Wszystko, czego się dzisiaj dowiedziecie, jest tajne, więc byłbym wdzięczny... – Zakaszał rozzdzierająco. – Przepraszam, coś mnie bierze, wziąłem urlop, żeby poleżeć, ale wiadomo, praca wzywa. Sami wiecie. Co to ja...? – Speszył się pod przesywającym spojrzeniem ciotki Kornelii. – To znaczy jestem pewien, że mogę wam zaufać. Bo i pan nadkomisarz...

– Do brzegu, Zyg, do brzegu! Przecież wiesz, że i tak bez nas nie skończysz tego śledztwa. Może i dowiesz się, kto zabił Karwasa i Kowalską, ale wątpię, czy dotrzesz do motywów zbrodni. Moim zdaniem wszystko wiąże się z ich przeszłością, z czymś, co zaszło akurat wtedy, gdy Janka zamierzała rozpocząć nowe życie. W swoich dość oszczędnie prowadzonych zapiskach dziewczyna zwierza się, że dostała od losu całkiem niespodziewanie szansę. – Maurycy zerknął do zapisanego równym piśmem Janki zeszytu w linie. – Spójrzcie. – Położył zeszyt na środku stołu i wszyscy pochylili się, żeby cokolwiek dojrzeć. – Ja tam nie wiem, bo w sumie może to dotyczyć wszystkiego, takie „Los podsunął mi niespodziewaną szansę i zamierzam z niej

skorzystać, tak, mam, zrobię to też dla ciebie”. Może dziewczyna dostała fajną ofertę pracy?

– Nie, raczej nie. Sprawdź, z kiedy są te zapiski, bo tu litery jakieś zamazane. – Kornelia przesunęła palcami po fakturze papieru.

Maciejak sięgnął po zeszyt, przybliżył go sobie do oczu.

– Będzie wrzesień, pani Kornelio, tylko dzień zamazany, jakby coś tu się rozlało. A może płakała biedulka – rozczulił się.

– Mówisz wrzesień? – Kornelia zamyśliła się. – Przyjechałam na tydzień do rodziców i pamiętam, że widziałyśmy się raz czy dwa. Była chyba trochę zła na Julię albo na jej brata, że podobno wpakowali ją na minę, tak to określiła. Raczej nie działo się nic, co można określić szansą od losu. Ktoś jej coś zrobił... Boże mój, pamięć mnie zawodzi. Gdybym pomyślała, że to się przyda, tobym chociaż jakieś notatki robiła, jak ona – wskazała palcem na zeszyt. – Julka nie wspominała ani słowem o tamtych czasach, zresztą nawet w czasie tych naszych spotkań raczej nie wracałyśmy do przeszłości, tylko... – Starsza pani zamilkła wpatrzona przed siebie. – Przepraszam, Zygmunco, kontynuuj. Jak sobie przypomnę, o co mi chodzi, to wam powiem.

Podkomisarz Maciejak wyjął z przepastnej torby czarną teczkę formatu A4, położył ją na stole i z namaszczeniem otworzył.

– No więc tak... Trochę musiałem się pokręcić w różnych miejscach, popytać, ale powiem wam, że było warto. Ta dziewczyna dla facetów była jak lep na muchy. Z tych zapisków i z pani wspomnień – spojrzął na Kornelię – wylania się obraz młodej kobiety, pięknej i jak wiemy, bardzo fotogenicznej, ambitnej, ale rozchwianej emocjonalnie, podatnej na wpływy. Na pewno dokuczalo jej życie w miejscu, które nijak nie pasowało do jej ambicji. Mieszkanie bez wygod, praca w zieleniaku... Ona chyba nie bardzo zdawała sobie sprawę z tego, co się wokół niej dzieje – głos mu drgnął niespodziewanie.

– Trafne podsumowanie – oznajmiła sucho Kornelia – ale co nam to daje? Dziewczyna zaginęła i nie wiadomo ani gdzie, ani w jaki sposób.

– Dokładnie tak – ucieszył się Maciejak, wyciągając z teczki plik kartek. – Na szczęście mogłem skserować, bo inaczej babrałbym się z tym tygodniami. Postanowiłem pójść tropem tych facetów, którzy przewinęli się w jej życiu. Skserowałem sobie kartkę z nazwiskami, co to inspektor ci dał – zwrócił się do Ożegalskiego, a ten potwierdził fakt skinieniem głowy – no i od niej zacząłem. I mam parę rewelacji z zamierzchłej przeszłości. – Sięgnął po pierwszą kartkę i powoli wodził po niej wzrokiem, nie odzywając się.

– Panie szanowny, ale teraz nie czas na popisy, tylko konkrety się liczy. – Kazik odstawił na stół pustą szklanekę po herbacie i skupił uwagę na podkomisarzu Maciejaku, który, by nie zrugać pracownika Maurycego, zacisnął wargi w wąskie kreseczki.

Po chwili policjant odłożył kartkę do teczki, odchrząknął nieco teatralnie, powiódł spojrzeniem po obecnych, zauważając iskrzące się ciekawością spojrzenie Kazika, wyczekiwanie Maurycego, napiętą uwagę cioci Kornelii i dopingujące spojrzenie byłego szefa. Raz a dobrze, pamiętaj, ludzie na ciebie patrzą, pomyślał z resztką humoru tłumioną zmęczeniem.

– Będzie konkrety i to taki, że ci włosy staną na głowie – zażartował, patrząc na przerzedzone kosmyki Kazika. Ten odruchowo pomacał się po głowie i już miał coś odpyskować, ale zmilczał. Ciekawość zwyciężyła. – Więc tak, prawdę mówiąc, nie bardzo miałem nadzieję, że uda mi się czegokolwiek dowiedzieć, ale pomyślałem, że w pierwszym rzucie sprawdze, kiedy zmarli ci ludzie, jak długo żyli, czy mieli jakąś rodzinę. A może któryś z tych satelitów pięknej Janki żyje do dzisiaj? Bo przecież Karwas żył, wprawdzie teraz już świętej pamięci, ale jakby go ktoś nie zabił, to żyłby do dzisiaj i może do setki. Zrobiłem sobie listę i spójrzcie, jak to wygląda. – Maciejak

położył na stole kartkę, a słysząc cmoknięcie Kornelii wpatrującej się w kolumny nazwisk i dat, potwierdził: – Widać jak na dłoni. Na pierwszy ogień poszedł Zenobiusz Żak, urodzony w tysiąc dziewięćset siódmym roku w Oświęcimiu, w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim roku miał zaledwie pięćdziesiąt pięć lat, zmarł wskutek pobicia przez nieznanych sprawców w marcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku i został pochowany na naszym cmentarzu w grobowcu, który kazał dla siebie wybudować, ziemię pod zabudowę wykupił od parafii, taki był przewidujący. Z tego wniossek, że rodzice zostali gdzie indziej pochowani, ojciec niby zaginiony, ale znalazłem datę pogrzebu, wdowa krótko po tym wyszła za mąż po raz drugi za niejakiego Bonifacego Komornickiego, syna Eustachego, i tu mam niespodziankę... – Zadowolony Maciejak powiódł dumnym wzrokiem po słuchających go w skupieniu ludziach. – Nasza Leokadia była córką tegoż Bonifacego, czyli siostrą przyrodną Zenobiusza Żaka. Był jeszcze z tego drugiego małżeństwa syn Stanisław, ale o nim wiele nie wiem, tylko że urodzony dopiero w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku. Ale wracając do Zenobiusza, po jego śmierci cały majątek odziedziczyli przyrodni siostra i brat, ale faktycznie w posiadanie majątku weszła Leokadia. Może spłaciła tego brata?

– Możliwe, że tak. Ona miała pieniądze, pamiętam, jak Janka się odgrażała, że w końcu będą mieszkały w porządnym warunkach. Jej matka dogadała się z kimś, kto miał mieszkać w domkach szeregowych, ale potrzebował kasy na auto, bo akurat trafiła się możliwość odkupienia talonu na samochód. Więc skoro nie zamieszkała w tych domkach, to spłacić mogła. I jeszcze wam powiem, że tak myślę i myślę o tych naszych ostatnich spotkaniach z Julką. W tym roku widziałyśmy się dwa razy i właśnie za drugim razem, kiedy rozmawiałyśmy o Jance, ona chyba kogoś zobaczyła. Nie wiem, może się mylę, a może coś jej się przypomniało... ale jednak nie... – Kornelia przygryzła wargi, usiłując wydostać z pamięci szczegóły ostatniego spotkania. Reszta wpatrywała się w nią w napięciu. – No nic, kontynuuj, przepraszam, że ci przeszkodziłam.

– Nic nie szkodzi, jak coś sobie pani przypomni, to niech pani mówi od razu, ja mam zapisane na kartce, a pamięć, wiadomo, jest ulotna. – Maciejak pokiwał głową ze zrozumieniem. – Wracając do tych facetów i ich losów... Żak leży na cmentarzu. Własnej rodziny podobno nie miał, w aktach kościelnych nie znalazłem informacji o ślubie. Ale wygrzebałem, że w czasie wojny pracował w Auschwitz jako pracownik zewnętrzny, plotka głosiła, że podpisał volkslistę i dlatego przeżył.

– Nie on jeden – mruknęła pod nosem Kornelia. – Zdziwieni? Każdy chciał wtedy przeżyć, a przecież mieliśmy być wzorcowym miastem niemieckim. No i pamiętajcie, że Oświęcim należał przed wojną do Austro-Węgier, a co za tym idzie wielu mieszkańców miało rodziny poza Polską, na przykład w Austrii. To naprawdę żadna sensacja, tylko jedna z rzeczy, o których się po prostu nie mówi.

Maciejak westchnął ciężko i przetań zroszone potem czoło. Wypił kilka łyków wody i wrócił do swojego sprawozdania.

– Kontynuując, znalazłem Zenobiusza Żaka na liście współpracowników Służby Bezpieczeństwa, a wcześniej Urzędu Bezpieczeństwa, tak zwanej Bezpieki. To dostępne dane, wystarczy wejść na jedną ze stron IPN-u, zresztą nie tylko on tam widnieje, ale o tym za chwilę. Żak był człowiekiem wielu talentów, a jednym z nich była umiejętność zarabiania kasy w miłych dla oka zielonych banknotach. Tak, to znalazłem w jego teczce, ten facet był pod ochroną służb, bo był po prostu użyteczny, ale też gdyby zaczął fikać, to oni mieli na niego mocne papiery. Jako fotograf miał kontakt z wieloma osobami i na wszelkie sposoby prowokował do przejawów słownego buntu wobec rządzących i naszych wielkich przyjaciół – Maciejak wymówił te słowa z ironią. – Ale też jak na zwykłego człowieka, fotografa w niewielkim mieście wyjeżdżał często i do różnych krajów. Nawet do Anglii, gdzie mieszkali jego znajomi z czasów, gdy pracował

w obozie. Przywoził stamtąd nowoczesne klisze i różne, jak to teraz mówią, gadzety fotograficzne oraz donosił o sytuacji w środowisku polonijnym. Ale co ciekawe, wywoził z kraju zdjęcia ponieglizowanych panienek, które sprzedawał zainteresowanym napaleńcom. Poniaważ był artystą fotografem, to oczywiście te zdjęcia różniły się od tych wulgarnie erotycznych, ale na pewno nie nadawały się do pokazania rodzicom albo narzeczonemu. Mam tu jedno, było w tych aktach, chwila... – Maciejak sięgnął po telefon. – O, tutaj... Piękna, prawda? – Zaczerwienił się lekko.

– Piękna, jak zawsze – skomentowała sucho Kornelia, powiększając fragment zdjęcia, na którym Janka Królikowska prezentowała swoje wdzięki. Naga, jakby rozespiana, leżała bokiem na sofie okrytej jasnym futrem. Od razu przyciągała wzrok, taka rozpustnie niewinna kobieta z marzeń.

– Właściwie, biorąc pod uwagę dzisiejszy poziom golizny w mediach, to moim zdaniem jest to fotografia artystyczna – stwierdził Sławek Ożegalski, zatrzymując dłużej wzrok na pełnej uroku dziewczynie.

– Teraz tak, zgadzam się z tobą, ale wtedy... gdyby ktoś się o tym dowiedział, to raczej nie miałyby czego tutaj szukać. Ale w sumie i tak chciała wyjechać, na pewno wiedziała...

– Tak, ciociu? – Maurycy spojrział na starszą panią pytająco.

– To skomplikowane, ale w sumie chodziły plotki, że ktoś, że gdzieś. A ona na pewno wiedziała, na co się pisze. Może nie od samego początku, bo Żak mógł ją mieć, że dzięki tym zdjęciom zrobi karierę, albo coś w tym typie, ale potem... I ciekawe, czy wiedziała, że był jej wujkiem. Bo ja nie miałam wtedy pojęcia. – Kornelia westchnęła z ubolewaniem.

– Tak, tak, Zenobiusz Żak to ciekawa postać. No i ta śmierć... Obstawiam, że załatwiły go służby z jakichś nieznanych nam powodów. Może stał się zbędny? W dwa lata po jego śmierci Leokadia wprowadziła się do tego mieszkania, a Atelier Miraż wydzierżawiła przyjezdnej fotografce. Jakaś pani Lola je prowadziła chyba do osiemdziesiątego roku. Lokal podobno stanowił własność prywatną i z tego, co pamiętam, od lat stał pusty, aż się dziwiłem, że w takim miejscu nikt nie chce prowadzić działalności. No i przecież ten wasz klient od sprzątania ani słowem nie wspomniał, że go odziedziczył. Dziwne to. No ale, jak to mówią, kto bogatemu zabroni? – skonkludował Maciejak.

Maurycy poruszył się niespokojnie. Czyżby coś przeoczył?

– Faktycznie, nie przypominam sobie, żeby goście wspominał o tym lokalu. Było mieszkanie i potem ten domek. Już do niego dzwoniłem, że wynieśliśmy wszystko i w sumie, jak policja pozwoli, to może z nim robić, co chce. Facet się ucieszył, bo podobno kupiec napiera, że chciałby już zacząć remont. Może nie wie, że odziedziczył ten lokal, a może nie odziedziczył? – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Jednak powinien wiedzieć, zdecydowanie.

– To się dowiedz, bo to ciekawe. – Maciejak pogrzebał w pliku kartek. – Kończymy z Zenobiuszem Żakiem i przechodzimy do następnego delikwenta. Jarosław Zagórny. To nazwisko przewinęło się na liście Karwasa i szczerze mówiąc, nie wiem dlaczego. Zagórny, syn dyrektora kopalni zaginął, a tuż przed zniknięciem Janki odnalazł się. Podobno wyjechał, stracił pamięć, tak przekazali mi jego krewni. Pani Basia, daleka kuzynka nadal mieszkająca w Oświęcimiu, twierdzi, że Jarek został porwany i wuj, który był dyrektorem kopalni, zapłacił za powrót syna potężny okup. Ale nawet jeżeli, to z jakichś powodów chcieli utrzymać całe zdarzenie w tajemnicy.

– Pamiętam, że Janka kiedyś wspominała o tym Jarku, coś w kontekście wypadku Stefana, brata Julki. Podobno był to wyjątkowo wredny typ. – Kornelia ożywiła się. – Ale

czy mógł mieć coś wspólnego z zaginięciem Janki? Ona go unikała, jak tylko się dało. Żyje czy może zmarł?

Maciejak chrząknął znacząco.

– No? Coś z nim nie tak? – ucieszył się Kazik.

– Fakt.

– Czyli mamy zabójcę?

– Kazik, nie tak szybko – zmitygował pracownika Maurycy.

– Prawda jest taka, że Jarosław Zagórny niby nie żyje. Tak twierdzi rodzina, ale ci, z którymi rozmawiałem, nigdy nie widzieli go na oczy. Taki krewny, o którym krążą różne historie, znany z fotografii z młodości. Może i gdzieś tam żyje, ale moim zdaniem, gdyby żył, to upomniałby się o majątek po ojcu, a tu cisza. Kiedy zmarł stary Zagórny, to wszystko zachapał młodszy z braci, Tomasz. No i kolejny fatygant. Józef Widłęga. Na razie nie udało mi się ustalić jego miejsca zamieszkania, ale nigdzie nie znalazłem adnotacji o śmierci, miejsca pochówku. Więc tutaj mamy sprawę otwartą, a jako sąsiad i adorator Janki jest dla mnie osobą podejrzaną. No i też był uwikłany w donosy i takie tam brudne sprawy, ojciec popełnił samobójstwo, ale czy naprawdę? Bo w tych dokumentach też nie ma wszystkiego. Przy okazji sprawdziłem też Burdziaka, co to podpisał zgłoszenie zaginięcia, ale on nie żyje od lat. Ponoć wypadek samochodowy. Jakoś nikt po nim nie płakał, bo współpracował, z kim trzeba, ale z tego, co sprawdziłem, wynika, że wielu współpracowało. Gdybym zaczął mocniej grzebać, to strach się bać, co by wyszło. To byłoby na tyle, ale będę drążył – przyrzekł Maciejak, odkładając kartkę do teczki.

– To wszystko?

– Tak, pani Kornelio. Naprawdę się starałem, ale to już tyle lat i... – Maciejak zaczął się usprawiedliwiać.

– Dobrze, dobrze, już się tak nie sumituj. Przynajmniej coś tam wiemy.

– A i jeszcze mam tu zdjęcia, mieli w aktach, wprawdzie zamazane, ale można się chociaż zorientować, jak który wyglądał. – Maciejak wyjął z teczki folię, w której trzymał skserowane fotografie do dowodu osobistego.

Zaczęli się im przyglądać.

– Nie, nie rozumiem... – mamrotała nerwowo pod nosem Kornelia, to zbliżając, to oddalając od siebie jedno ze zdjęć.

– Coś ci się nie zgadza? – zapytał Maurycy zaniepokojony wyrazem twarzy ciotki.

– Wszystko mi się nie zgadza, tak prawdę mówiąc. O, spójrzcie, tego pamiętam z młodości, ale mam nieodparte wrażenie, że niedawno widziałam kogoś podobnego. Oczywiście starszego, bo ten tutaj to młodzik, ale jednak... Może wtedy razem z Julią?

NADZIEJA NA LEPSZE JUTRO

Październik 1962

Jarek Zagórny zaginął bez wieści, a Janka na wspomnienie tamtego spotkania dostawała zimnych dreszczy. Czy interwencja sympatycznego Włocha miała cokolwiek wspólnego ze zniknięciem syna dyrektora kopalni? Wprawdzie czuła ulgę, w końcu przestała się bać, że spotka go w którejś z ciemnych, wąskich uliczek Starego Miasta, ale nie życzyła mu niczego złego. Mógł sobie żyć, jak chciał, byle z daleka od niej. Z Julką zerwała kontakty, przyjaciółka nawet nie dopytywała o nią, nie prosiła o spotkanie. Janka była pewna, że to dlatego, że wystawiła ją Jarkowi. Może za pieniądze, tych zawsze jej brakowało, a może było to coś związanego ze Stefką, który unieruchomiony w domu zmieniał się w podobnego potwora jak ich rodzice. Pijaństwu nie było końca. O tym Janka dowiedziała się od matki, która rozmawiała z sąsiadką Kowalskich narzekającą na picie i ciągle awantury. No ale przecież niech Bóg broni, ona nie będzie się wtrącać! – matka powiedziała to z przekąsem. Od zawsze bardzo pobożna, zdołała zachować umiejętność prawidłowej oceny sytuacji. Może powinna porozmawiać z Kowalską, ale to potem.

– Wychodzę, mamolo! – Janka narzuciła na ramiona jesienny płaszcz, zmieniała papucie na botki i nie czekając na odpowiedź matki, wyszła z mieszkania. Nosiła ją. Nie mogła doczekać się obiecanego spotkania z uroczym Alberto, a jednocześnie odczuwała lęk, ta sprawa z Jarkiem... Postanowiła, że nie będzie o tym myśleć. To Alberto zajmował jej myśli. Tyle jej obiecał i nie chciał nic w zamian. Ale czy naprawdę?

Zbiegła po schodach, jakby ją ktoś gonił, i wpadła w ramiona przystojnego Włocha.

– Co ty tutaj robisz? – wyszeptła wystraszona.

Mężczyzna energicznie przygarnął ją do siebie i pocałował namiętnie.

Janka wzdrygnęła się.

– Cóż się stało? *Mia bella!* – Alberto nie wypuszczał jej z objęć.

– Nie, oczywiście, że nie. Po prostu poczułam chłód. Zimno mi, ale zaraz się ogrzeję. – Rzuciła mu zalotne spojrzenie. Żarówka w sieni świeciła niemrawo. – Myślałam, że spotkamy się przy kamienicy, nie tutaj.

Alberto objął ją ramieniem i przytulił. Ledwie się powstrzymała, żeby się nie wyrwać. Czuła, że powinna uciekać, ale nie potrafiła. Otulił ją aromat dobrej wody kolońskiej i cygar. Pachniał luksusem, wielkim światem i przyszłością bez żadnych zmartwień. A jednak niczego nie była pewna.

– No, chodź już ze mną, zatrzymałem się u znajomych, jeszcze nie wrócili, więc mieszkanie stoi puste. Zapraszam.

– Ci znajomi... wyjechali?

– Tak, wyjechali i jeszcze długo nie wrócą – potwierdził z dziwnym uśmiechem, ledwie widocznym pod modnie przystrzyżonym wąsem.

– To chodźmy. – Janka rozejrzała się czujnie. Miała szczęście, sąsiedzi byli zajęci innymi sprawami, a boczne uliczki puste.

Całowali się namiętnie, popijając wino i tańcząc w rytm piosenki Filipinek śpiewających kryształowymi głosami w radiu o dzieciach Pireusu. Janka poddawała się rytmowi, nagle spokojna w ramionach tego szczupłego, ale emanującego wyjątkową siłą mężczyzny.

– Muszę iść, już późno. – Wysunęła się z jego objęć niechętnie, z oporem, ale nie miała ochoty na wysłuchiwanie biadolenia matki. To śmieszne, żeby dorosła kobieta nie mogła zostać na noc poza domem. A jednak nie, nie tym razem. Usiadła na łóżku i sięgnęła po sukienkę leżącą na podłodze. Ręka mężczyzny zaczęła błądzić po jej udach, niecierpliwie domagając się uwagi. – Zostaw, naprawdę muszę iść, bo matka zacznie mnie szukać przez milicję – usiłowała zażartować, ale Alberto wyraźnie się zaniepokoił. Cofnął rękę i usiadł na łóżku, opierając się o obity czerwonym aksamitem zagłówek.

– Jak to milicję? – zapytał ostro.

– Och, tak się mówi – zbagatelizowała sprawę, wstając.

– A tego to nie rozumiem, co ty za głupoty opowiadasz? Chcesz mnie nastraszyć? – krzyknęła na nią i z zadowoleniem patrzył, jak w jej oczach pojawiają się łzy.

– No coś ty?! Po prostu moja mama zawsze tak mówi, że jakbym nie wróciła na noc, to będzie mnie szukać przez milicję, wiesz, zgłosi moje zaginięcie. I tak zgłosi, ale to dopiero, jak wyjadę. Z tobą oczywiście – dodała szybko i po chwili zobaczyła, że jej nowy znajomy rozpogadza się. Chciała tylko wyjść z tego pokoju urządzonego jak burdel i tego mieszkania, należącego do ludzi, którzy już do niego nie wrócą. W żadne przedłużające się wyjazdy nie wierzyła. Nie ci ludzie, nie w tej kamienicy. W to, że nowy znajomy jest prawdziwym Włochem, też przestała wierzyć, zbyt dobrze mówił po polsku w chwilach, gdy przestawał się kontrolować. Udawała, że nie dostrzega tych zmian, a może po prostu nie chciała zrezygnować z nadarzającej się okazji. – Nie odprowadzaj mnie, pójdę sama – powiedziała, stojąc przy drzwiach.

Alberto przytulił ją czule i pocałował, jego szczeciniaste wąsy drapały ją w policzki. Znowu będą zaczerwienione – pomyślała, zła na mężczyznę.

– Dopsze, moja piękna, tylko uważaj na siebie – zmiękczał głoski, uśmiechając się zabawnie. Całkiem inny, uroczy Alberto.

– Oczywiście. Zresztą sam wiesz, że do domu mam blisko. Spotkamy się jeszcze?

– Tak, moja mała, i będziemy już ze sobą do końca życia. Mojego albo twojego. No tak to jakoś brzmi – dopowiedział, widząc w jej oczach zdziwienie i strach. – Dopóki śmierć nas nie rozłączy, *vero*? Jadę jutro z samego rana do Warszawy, pozałatwiam sprawy związane z koncertem Marino Mariniego, który zachwycony zeszłorocznymi sukcesami chciałby przyjechać do kraju nad Wisłą na kolejne występy, wiesz, ambasador twista. – Alberto uśmiechnął się lekceważąco. – Potem muszę jechać do kraju, ale wrócę po ciebie i wyjedziemy stąd razem. Mam już wszystko dogadane, ty tylko przyjdź wieczorem do tej knajpy, tej, jak to wy mówicie? – Zastanowił się. – O jakoś tak... mordownia?

Janka przytaknęła skinieniem głowy.

– To jest mordownia z ambicjami.

– Zobaczysz, a nawet usłyszysz – odpowiedział tajemniczo na nieme pytanie czające się w jej oczach. – A teraz do zobaczenia, *arrivederci*, kochana!

Gdy już leżała w łóżku i przypominała sobie wydarzenia mijającego dnia, miała nieodparte wrażenie, że popełnia błąd, ale jest już za późno, żeby się wycofać.

NA WŁASNYCH WARUNKACH

2017

Maurycy długo nie mógł zasnąć, rozmyślając o Jance. Zastanawiał się, jaka była naprawdę. Dziewczyna o niebieskich oczach, niczym bławatki w zbożu – tak samo odznaczały się w jej twarzy, przykuwały uwagę. Tego dowiedział się od ciotki, która rozemocjonowana zaczęła wspominać dawne czasy, ciuchy, jakie nosiły, fryzury, buty i właśnie tę bławatkową niebieskość.

Przypomniawszy sobie, jak Kornelia wyrwała się z zamyślenia i niecierpliwie przekładała papierowe rupiecie zalegające na kredensie w salonie. Wcześniej zabrała je z pokoju Maurycego pod pretekstem kolejnego przejrzenia, ale już tyle razy czytali te nieregularnie prowadzone zapiski, że Janka musiałaby pisać atramentem sympatycznym, żeby mogli odkryć cokolwiek nowego, a o taką pomysłowość jej nie podejrzewali.

– Wiesz, niby nic takiego, ale takich niebieskości u nikogo jeszcze nie widziałam – stwierdziła z zadumą ciotka.

Nie odezwał się wtedy, zmęczony tymi rozważaniami – dziewczyna od tylu lat nie żyła i nikomu to nie przeszkadzało, zapewne tylko matka za nią tęskniła, ale przecież ułożyła sobie życie z kolejnym mężem, w mieszkaniu przyrodniego brata. A on dał się oczarować, omamić jak ten głupek i pośrednio, o tym był przekonany, doprowadził do dwóch niepotrzebnych śmierci. Zaczął grzebać w brudach i komuś puściły nerwy. Sławek Ożegalski twierdził, że emerytowany inspektor Karwas to rasowy glina, porządny człowiek, ale jednak coś musiało łączyć go ze sprawą zaginięcia Janki. A może poszło o coś całkiem innego?

Przewracał się z boku na bok, ziewając i wdychając, a gdy w końcu zasnął, przyszła do niego kobieta spowita w czerni – nie widział jej twarzy ukrytej za zasłoną z czarnej koronki, ale czuł jej obecność, tak jakby stała obok jego łóżka. Była z niego zadowolona, a może wdzięczna, tylko z jakiego powodu? Nie miał pojęcia, kim była, ale spał spokojnie do rana, pewny, że wszystko, co zrobił, zostało zaakceptowane. Być może Franciszek Karwas i Julia Kowalska i tak odeszliby z tego świata, bo tak im było pisane?

* * *

– Jaki plan na dzisiaj? – Kornelia wodziła wzrokiem po ekranie tabletu, przesuwając palcem kolejne informacje. Stół, zazwyczaj suto zastawiony, tego ranka wydawał się prawie pusty. Maurycy dojrzał talerzyk z ugotowanymi jajkami i musztardę. Ukroił

sobie pajdę chleba, torebkę herbaty zalał wrzątkiem i zadowolony usiadł do stołu. – Ogluchłeś czy już zapomniałeś, o co pytałam? – Ciotka odsunęła tabletki od swojego talerza i sięgnęła po kubek z herbatą. Upiła kilka łyków, czekając, aż Maurycy przełknie zbyt duży kawałek jajka. Lubiła bratanka i nie chciała, żeby poniósł śmierć przez zadławienie.

– Uff, w końcu! – Maurycy odchrząknął kilka razy, łapiąc oddech. – Dzisiaj zajrzemy do mieszkania przy Małym Rynku. Będzie ciężko, bo staruszka trochę się przeleżała, ale sama wiesz, że to dla nas nie pierwszorzędne. Tylko Kazik przeżywa nadmiernie. – Parsknął śmiechem.

– To dzisiaj tylko rekonesans czy od razu dłuższa robótka?

– A ty tak pytasz, bo chcesz wiedzieć, jak długo mnie nie będzie? – zażartował Maurycy, ale chyba trafił w punkt. Kornelia nieco się zaróżowiła, prezentując odpowiedni poziom oburzenia.

– Też coś! To już zapytać nie można? – Gwałtownym ruchem dłoni odsunęła od siebie talerzyk i wstała.

– A zażartować też nie można? – Maurycy posłał jej uspokajający uśmiech. – W sumie to zobaczymy na miejscu. Sprzęt jest w samochodzie, kombinezony nowa sztuki. Tak szczerze to nie mam najmniejszej ochoty na robotę, Sławek też chciałby odpocząć, o Kaziku nawet nie wspomina, ale ta dziewczyna naciska na pośpiech, już trzy razy dzwoniła. Jak będzie mocno zasyfione, to może potrwać, zanim będzie mogła tam z powrotem zamieszkać. – Westchnął smętnie.

– No dobrze, powiem ci, bo mnie to męczy. – Kornelia z powrotem usiadła przy stole i niecierpliwym ruchem potarła czoło.

– Męczy? Coś z tą naszą nieodnalezioną?

Starsza pani przygryzła wargi. Nie zamierzała zwierzać się bratankowi ze swoich podejrzeń i wątpliwości, ale jeżeli trafiła, to cóż... nie chciała przez głupie tajniczenie skracać swojej ziemskiej wędrówki.

– No mów, o co biega – zachęcił ją zniecierpliwiony Maurycy.

– Bo widzisz, coś mi się w tym nie zgadza. Ten sąsiad... Opowiadał mi, jak mnie wciągnął do siebie i podzielił się informacjami o Julii. O tych przekazach, dodatkowej kasie i wyjeździe do siostrzenicy na Mazury. Nie dawało mi to spokoju, w końcu znałyśmy się prawie całe życie i wiedziałabym o siostrzenicy, gdziekolwiek by ona nie mieszkała. No i ta dodatkowa kasa... – Kornelia cmoknęła z powątpiewaniem. – Zadzwońłam dzisiaj rano do tego Adasia i nawet odebrał, prawie trzeźwy – zaznaczyła z przekąsem. – Zresztą na pogrzebie też był trzeźwy i do tego ta jego była żona się pojawiła, całkiem miła kobieta. Więc wracając do meritum, nie było żadnych przekazów, wizyt listonosza co miesiąc. Po prostu matka od jakiegoś czasu miała większą gotówkę. Nie zawsze tak było, ale generalnie nigdy biedy nie klepał. Pomagał im wujek z Francji, przysyłał paczki, jakąś kasę przy okazji...

– No i? – Maurycy nie pojmował, w czym rzecz.

– No i nie dziwi cię to, że on tak chętnie poopowiadał mi o Julce, ale tak naprawdę wprowadził mnie w błąd? I tak się zastanawiam... może powinnam z nim porozmawiać? – Kornelia posłała bratankowi pytające spojrzenie.

Ten aż sapnął ze wzburzenia.

– Ani się waż! Naprawdę, całkiem serio proszę, żebyś nie ryzykowała – powiedział lekko spanikowany. Rozszalała wyobraźnia podsuwała mu makabryczne obrazy, w których główną rolę grała jego ciotka.

– Nie przesadzaj, nie jestem głupia! – upomniała go szorstko.

– Wiem, że nie jesteś. Dobrze, że mi powiedziałaś, bo faktycznie, masz rację, coś tu nie gra. Ten starzec... czy Kowalski, powiedział cokolwiek na jego temat?

Kornelia zaprzeczyła.

– On raczej nie interesuje się otoczeniem, owszem, wiedział, że sąsiedzi im się zmienili, ale nie miało to dla niego najmniejszego znaczenia, byle miał na codzienną flaszkę. Tak sobie wykombinowałam, że odwiedzę tego starca, żeby zapytać, czy sobie czegoś nie przypomniał, ale wiesz, doszłam do wniosku, że nie mam żyłki detektywa. On wprawdzie wygląda na chuchro i na pewno ma pod dziewięćdziesiątkę, ale jak sobie przypomnę ten żelazny chwyt, to już niczego nie jestem pewna. Poza tym nazwisko... Nie przypominam sobie, żebym знаła Marka Wierusza-Lewandowskiego. Przecież bym pamiętała!

– Oczywiście, że byś pamiętała! Sam bym zapamiętał, ale z drugiej strony... nazwisko można zmienić, imię można zmienić, nawet wygląd, jedyne, z czym jest problem, to ruchy, bo poruszamy się w charakterystyczny sposób. Chyba że trafi się ktoś o zdolnościach aktorskich. – Maurycy snuł rozważania, przyglądając się uważnie ciotce. Widać było, że kobieta nad czymś się mocno zastanawia. – A może po prostu zadzwonimy do podkomisarza Maciejaka, w końcu prowadzi tę sprawę, i niech on zdecyduje, czy kusimy to lichy, czy nie ruszamy. Może mają jakieś swoje tropy? Na razie nie słyszałem, żeby mieli kogoś na oku, ale też Maciejak nie jest skory do zwierzeń.

– No nie jest – przytaknęła Kornelia. – Ja tutaj nic nie wymyślę, a jakoś czuję, że coś jest na rzeczy. Może facet nie ma nic wspólnego z tymi morderstwami, ale głowy bym za niego nie dała.

Maurycy wybrał połączenie do Maciejaka, ale numer była zajęty. Trochę trwało, zanim się dodzwonił i przekazał podejrzenia ciotki Kornelii.

– No i dobrze, Zygmunt robi, co trzeba – kobieta zwięźle skwitowała koniec rozmowy. – Ja dzisiaj zostanę w domu, maliny spadają z krzaków, muszę zająć się ogrodem i przetworami, trochę odpocząć psychicznie od tej makabry, a ty już idź, żeby znowu Sławek z Kaziem nie kwitli pod drzwiami nieboszczki.

* * *

W sumie upiekło mu się. Przez kilkadziesiąt lat czuł się bezpieczny, poza granicami kraju, pod zmienionym nazwiskiem, o tamtego chłopaka, tak do niego podobnego, nikt nie pytał. Miał wprawę w zabijaniu, chociaż zatarł w pamięci lata pracy dla zbrodniczego systemu. Umiał zniknąć, potrafił zmienić powierzchność, w zależności od potrzeb. Szpiegował, niuchał, zbierał haki na ludzi. Zdarzało się, że haki zamieniał na dolary albo złoto przechowywane na czarnej godzinę... która właśnie nadeszła. Nie był dobrym człowiekiem i nie zależało mu na byciu dobrym. Był skuteczny, odnosił sukcesy w służbie, awansował. Na co dzień w milicji jako śledczy, postrzegany jako karierowicz, co to po trupach do celu, ale jednocześnie fachowiec. A po godzinach pracownik służb, tajniak, „nos” czy jak tam ich zwali. Teraz nieważne. Teraz nadszedł ten ostatni moment na rozliczenie się z życiem. Ostateczne. Nie zamierzał uciekać, za dużo zachodu. W maju stuknęła mu dziewięćdziesiątka, więc w sumie już z górki. Nie zamierzał iść do więzienia ani tym bardziej doczekać chwili, gdy te pracusie z IPN-u dogrzebią się do jego akt. Chyba że po jego trupie. Na jego warunkach.

Przed chwilą zakończył rozmowę z podkomisarzem Zygmuntem Maciejakiem, który wprawdzie grzecznie, ale nieustępliwie wpraszał się do niego na chwilę rozmowy. Podobno nowe okoliczności... Ten ich milicyjno-policyjny żargon – jakby słyszał samego siebie przed laty. Tylko ten Maciejak to ciepłe kluchy, on od razu zaczynał z grubej rury i lampą po oczach, dokładnie tak, jak na filmach pokazujących te przekłete dla wielu czasu PRL-u. Jemu wtedy żyło się łatwo i ciekawie. Gdyby nie spotkał tamtej dziewczyny, wszystko w jego życiu potoczyłoby się inaczej. Miał czas do jutra.

Kasznął kilka razy – skutek zapalenia płuc, które przeszedł zimą. Położył pomarszczoną dłoń na stole i oddychając ciężko, wstał z krzesła. Przez chwilę łapał równowagę, oddychając nierówno, potem podszedł do barku i wyjął z niego prawie pełną butelkę koniaku, pękaty kryształowy kieliszek i notes w skórzanej oprawie, pociemniałej ze starości. Nie zamierzał odchodzić anonimowo, jako ten dziwny staruszek z mieszkania naprzeciw Kowalskich. Zamierzał opróżnić ostatnią butelkę ulubionego napitku, podzielić się wiedzą z organami śledczymi i odejść na własnych warunkach. Odpowiednia ilość valium od dawna czekała na ten szczególny i niepowtarzalny moment.

LISTOPADOWE MEMENTO

Listopad 1962

Od czasu śmierci ojca straciła poczucie bezpieczeństwa. Tak jakby ktoś zdjął z niej nagle przytulny koc, którym lubiła się okrywać. Powiało chłodem, kulila ramiona, chuchała w dłoń, ale to nie pomagało. Przez te wszystkie lata przychodziła na cmentarz, gdy czuła tę dojmującą tęsknotę, pełną bólu, buntu i złości na tego, który nie mógł się bronić. Gdy mieszkańcy szturmowali cmentarz parafialny, ona czekała, aż zapadnie wieczór i dopiero wtedy wychodziła. Matka z rana ustawiała kwiaty i znicze, a potem uczestniczyła w mszy świętej i odwiedzała groby reszty rodziny – ojca, który sprawił jej taki zawód, oraz kolejnych krewnych i znajomych. Janka pamiętała tylko dziadka Bonifacego, na groby pradziadków spadła bomba zrzucona przez amerykańskich lotników pod koniec wojny. Pomylili się i zamiast bombardować zakłady chemiczne, zbombardowali cmentarz katolicki.

Listopadowe ciemności rozświetlały tysiące światełek. Janka chłonęła ten obraz triumfu życia nad śmiercią. Życie to światło, życie to ogień, ogień, który potrafi spalić, obrócić w popiół wszystko co ważne. Ona na razie żyła i zamierzała żyć długo i szczęśliwie. Z Alberto albo i nie.

Stała przy cmentarnej bramie i wysupłała drobne dla żebraka, który co roku prosił o wsparcie weterana dwóch wojen. Czy naprawdę walczył, czy uznał, że ludzie nie oprą się wizji bohatera spod Lenino? Drobniaki zagrzechotały w kapeluszu starca i zmieszały się z innymi monetami wrzucanymi hojną ręką przez wchodzących. Nie tylko ona lubiła odwiedzać cmentarz po zapadnięciu zmroku.

Poszła do ojca, ale nie umiała skupić się na modlitwie. Za dużo ludzi, za dużo niespokojnych myśli. Odchodząc, zauważyła znajomą sylwetkę mężczyzny, który jak niepokojący cień towarzyszył jej od miesiący. Obserwował, czał się i krył. A czasami w sposób wręcz bezczelny zachodził jej drogę i nękał bliskich, tak jak wtedy Julkę. Biedną, głupią Julkę, która nie miała pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, i najpierw się go bała, a potem zakochała się w nim jak głupia. Bo podobno kasiasty i z układami. Spotkały się całkiem niedawno, pierwszy raz od tajemniczego zniknięcia Zagórnego, który podobno odnalazł się, ale zaraz potem wyjechał z miasta. Janka zamierzała wyminąć koleżankę, ale ta zastąpiła jej drogę i gorączkowo dopytywała, co słyhać, jak się czuje i jakie ma plany, bo ktoś wspominał, że wyjeżdża. Janka aż zdrętwiała na wspomnienie tamtej rozmowy. To trajkotanie byłej przyjaciółki... Wtedy pominęła pytanie o wyjazd milczeniem, teraz przyspieszyła kroku. Chciała jak najprędzej dotrzeć do domu i już nigdy z niego nie wychodzić.

– Cytrynówka będzie? – zapytała, widząc matkę pochyloną nad miską z przecierem.

Leokadia wyprostowała się, ocierając perlące się od potu czoło. To był ciężki dzień i chciała go mieć już za sobą. Spojrzała na stojącą w drzwiach córkę. Zacerwienione policzki, ślady łez, dłonie kurczowo zaciśnięte na ręczce najmłodniejszej torebki. Jej dziecko, tak bliskie, a zarazem tak dalekie jak nigdy dotąd.

– Jadzia podesłała cytryny, to od razu robię, żeby się nie zmarnowały – w jej głosie słychać było dziwną nutę, tak jakby usprawiedliwiała się przed córką, a przecież pędzenie bimbru było jedną ze specjalności ich domu. Podobno recepturę przekazała Leokadii jej matka, a ona dostała ją od swojej matki. Janka nie знаła proporcji i tajemnice pędzenia popularnego w ich domu napitku nie spędzały jej snu z powiek. Zresztą gdy zniknie, już nic nie będzie miało znaczenia.

Podeszła do matki i pocałowała ją w policzek, przytuliła twarz do jej ramienia. Matka pachniała mieszanką drożdży, cytryny i sklepowej stęchlizny. Pachniała też mydłem rumiankowym i kamforą, która z nastaniem jesieni była u niej w stałym użyciu.

– Pomóc coś? Może kolację zrobię? – zaproponowała odruchowo dziewczyna.

Matka kiwnęła głową, znowu pochylona nad emaliowaną miską z przecierem. Skupiła się na konstrukcji z rurek i wężyków. Z pokoju dobiegał głos Wandy Chotomskiej zapowiadającej kolejny odcinek przygód Jacka i Agatki. Janka zdjęła płaszcz i czapkę, zzuła buciki i przysiadła przy stole, obserwując grę kukiełek. Dobranocka dla dzieci. Przymknęła oczy, ale po chwili ocknęła się, wstała i z udawaną energią zabrała się za przygotowanie kolacji.

* * *

Koniec miesiąca przyszedł szybciej, niż oczekiwała, cały czas była zajęta pomocą w warzywniaku.

Spotkała go przez przypadek, gdy równym krokiem patrolował okolice rynku. Podobał jej się z wyglądu – młody, przystojny, w jej guście i z dobrą posadą. Nieraz ratował tyłek Leokadii, gdy służby przysyłały te swoje kontrole, uprzedzał o prowokacjach. A może zostać, związać się z tym młodym, ale obiecującym pracownikiem milicji? Wiedziała, że niczego by jej nie brakowało, było tylko jedno ale – zanudziłaby się na śmierć. Koniec z marzeniami o karierze. Miła mała stabilizacja. Matka odetchnęłaby z ulgą, Alberto by się wściekł, Zenobiusz Żak odczepił na zawsze, chociaż i tak ostatnio dał jej spokój, a nawet był miły, wracając do roli dobrotliwego starszego pana. Józio Widłęga nie pokazywał się w mieście, stara Widłęgowa zamierzała wyprowadzić się do rodziny na wieś, bo ciężko żyło się jej po tragicznej śmierci męża. Tamten człowiek widmo dałby jej spokój, w końcu byłaby żoną milicjanta. Kim był ten człowiek? Tego nie wiedziała, ale czuła, że jest niebezpieczny dla niej, dla matki, dla jej życia... taki cień nad przyszłością. Jeszcze miesiąc i Alberto, kimkolwiek jest, przyjedzie i zabierze ją do wielkiego świata, pomoże zrobić karierę. Najwyższy czas zacząć przygotowania do zniknięcia. Nie mogła spakować walizek na oczach matki i po prostu wyjść, musiała znaleźć sposób, by zabrać ze sobą część rzeczy, tych najładniejszych, najmłodniejszych, najdroższych. I jeszcze jedno musi, musi chociaż spróbować, ale to na ostatni moment...

NIEOCZEKIWANE KONSEKWENCJE REMONTU

2017

Maurycy otworzył drzwi do mieszkania i przytrzymując maskę na twarzy, powoli wszedł do przedpokoju. Cuchnęło charakterystyczną wonią śmierci i rozkładu. Szczelniej przycisnął kaptur zakrywający mu włosy, zauważając, że jego współpracownicy powtarzają każdy jego gest. Weszli z oporami, Kazik jak zawsze demonstrował niechęć do pracy w tak skrajnie nieprzyjemnych warunkach. Otworzyli na oścież pozamykane okna, zajrzeli do wszystkich pomieszczeń. Na pierwszy rzut oka było to po prostu opuszczone mieszkanie. Z pobliza dochodziły odgłosy pracy sprzętu budowlanego. Maurycy dostrzegł przez okno, że w pomieszczeniach na pierwszym piętrze kamienicy mieszczącej mieszkanie Leokadii Królikowskiej-Wnuk rozpoczął się remont. Wcześniej na portalu oświęcimskich „Faktów” przeczytał wywiad z nowym właścicielem mieszkania, który barwnie opowiadał o możliwości przyciągnięcia do miasta turystów, dla których nocleg w zabytkowej kamienicy może być kolejną atrakcją. Zwłaszcza że udało się wykupić wszystkie mieszkania od poprzednich właścicieli, a urzędnicy poszli mu na rękę i na dobrych warunkach wydzierżawili parter kamienicy, miejsce od lat opuszczone. Przypomniał sobie, co mówiła Kornelia – to tam kiedyś znajdowało się Atelier Miraż, należące do rodziny Żaków. Tylko dlaczego nie weszło w masę spadkową? Potem był tam inny zakład fotograficzny, jeszcze później sklepik z ciastkami, ale nie utrzymał się długo. Po nim obuwniczy, potem jeszcze ktoś, ale i tak od lat lokal stał pusty. Zdarzają się miejsca, które zamiast przyciągać, odpychają klientów. Chociaż... podobno atelier cieszyło się dużym powodzeniem.

Miejsca czy ludzie? – zastanowił się, zrywając wykładzinę z podłogi. Kazik posapywał z wysiłkiem, Sławek ogarniał kuchnię, najlepiej zachowane miejsce w mieszkaniu. Szarpnęli ciężki kawałek wykładziny i w tym samym momencie usłyszeli huk, jakby na posprzątaną podłogę runęła ściana. Zamurowało ich, Kazik rozejrzał się niepewnie.

– Co to było, do licha? Jakies ćwiczenia czy co? – Drżącą dłonią sięgnął do kieszeni i wyjął z niej paczkę klubowych i zapalki. – Muszę, szefie – usprawiedliwił się, widząc karcące spojrzenie Maurycego. Podszedł do okna, zapalił i zaciągnął się z lubością.

* * *

Ekipa remontowa zaangażowana przez nowego właściciela solidnie zabrała się do roboty. Wprawdzie nie musieli wysilać się nadmiernie, bo ktoś już zadbał

o przygotowanie największego wnętrza do remontu. Mniejsze mieszkanie było zaniedbane, wały się w nim jakieś meble zeżarte przez korniki i resztki sprzętów świadczących o tym, że kiedyś toczyło się tu normalne życie, a po śmierci właściciela zamarło jak człowiek w pół kroku. Duże – posprzątane, pozbawione wszystkiego, co przypominałoby o życiu. Bezosobowe. Dużo łatwiejsze do remontu. Od zleceniodawcy dostali plany przebudowy, podobno miał być tu hostel dla turystów, których z roku na rok przybywało w mieście. Dla nich kolejna robota do wykonania. Nie spodziewali się niespodzianek – prąd był prowadzony tradycyjnie i wiedzieli, że muszą wymienić wszystkie kable i zrobić podłączenia. Najlepiej byłoby, gdyby cała kamienica należała do jednego właściciela, ale gdy spytali, okazało się, że parter, też przeznaczony do remontu, formalnie należy do urzędu miasta. Duża powierzchnia od lat nieużywana. Nowy najemca, jednocześnie właściciel pięt, dogrywał jakieś formalności, ale już zapowiedział, żeby rezerwował czas na kolejny remont i dał im klucze dla projektanta, który w tygodniu miał wejść i pomierzyć pomieszczenia. Chodziły słuchy, że miała tu powstać kawiarnia w stylu retro. Tyle lat te pomieszczenia stały puste, a drzemał w nich niemały potencjał. Ale jakoś kolejni najemcy nie mieli szczęścia. Podobno panowała tam dziwna atmosfera.

– Ludzie wydziwiają, a nie dziwna atmosfera! – Majster uśmiechnął się z lekceważeniem, słuchając opowieści jednego z pracowników. – Niewietrzone od lat, na pewno zaduch, że zdechnąć można, poza tym w remont trzeba było włożyć sporo hajsu, a nie każdy miał, to i gadają głupoty. Za kilka miesięcy okaże się, jak to z tym straszaniem jest. Jak my zrobimy, to lokal będzie cud malina i klienci będą walić drzwiami i oknami – orzekł stanowczo.

Reszta pokiwała głowami. Nawet jeżeli miałyby być inaczej, to z majstrem nie warto dyskutować. Jak się uparł na swoje, to nie odpuści.

Zjedli, popili kawę z termosu, dołożyli energetykami i wzmocnieni zabrali się do roboty. W ruch poszły narzędzia, bo musieli zacząć od wyprucia instalacji i wyburzenia niepotrzebnych ścian. Byle tylko architektowi nie przyszło do głowy żądać wyburzenia konstrukcji nośnych, jak to niedawno miało miejsce – majster kłął wtedy, na czym świat stoi. Zamierzali zrobić do oporu i jak najszybciej pozbyć się problemu. Mieli płacone za wykonaną robotę, a nie za czas, który tutaj spędzą, więc opłacało się włożyć nieco więcej wysiłku i zgarnąć całkiem niezłe pieniądze. Następna robota już na nich czekała.

Architekt przyszedł koło południa i tonem nieznoszącym sprzeciwu zażądał kluczy oraz oddelegowania jednego pracownika do pomocy przy pomiarach.

– Weź pan jeszcze to, tam podobno dużo gzymsów, wypustów, jakieś schodki, trzeba to od razu rozwalić, bo te duperele tylko powierzchnię zabierają – zarządził nonszalancko nowo przybyły i nie czekając na reakcję majstra, ruszył w dół.

– Bier to i pilnuj, bo on jakiś nawiedzony, ani chybi jak ten sklep czy co tam było – majster wskazał ręką na Grzegorza, budowlanica z powołania, który nie dawał się bajerować i nie dopuściłby do zwalenia ścian nośnych, bo wiedział, które to były.

Oddelegowany powlókł się na dół, a reszta kontynuowała wyburzanie i wiercenie. Koncepcja architektoniczna zakładała połączenie obu mieszkań i wstawienie jak największej liczby łóżek, tak by móc osiągnąć jak największe wpływy. Właściciel przymierzał się też do zagospodarowania strychu, ale na razie szło mu jak po grudzie, więc pozostawało wycisnąć jak najwięcej z dostępnej powierzchni.

Skala zniszczeń dokonanych przez kolejnych użytkowników była ogromna. Wprawne oko Grzegorza Nowackiego dostrzegało nadmiar cementu, dobudowane progi, wykucia pod oknami i ślady po zamurowanym pomieszczeniu. Weszli wprost z zewnątrz do dużego lokalu zasłanego wyszarzałym linoleum. Niespodziewanie zadźwięczał dzwonek powieszony nad drzwiami, nieco melancholijnie, ale

zapraszająco. Pomieszczenie było prawie puste, tylko pod oknem ktoś zgromadził deski i metalowe pręty pokryte drobinami szkła, resztki lady sklepowej. Obok kurzyła się waga szalkowa i zardzewiałe odważniki. Niegdyś zielone ściany pokrywała siateczka pęknięć, a płyty farby utrzymywały się przy murze tylko dzięki snutym wokół pajęczynom. Obraz nędzy i rozpacz. Projektant, nucąc pod nosem, fotografował wszystko jak leci. Na środku sufitu zwiśla samotna żarówka, Nowacki poszukał wzrokiem kontaktu, podszedł i nacisnął. Prąd był, ale na pewno wszystkie kable do wymiany, tak jak na górze. Z tego pomieszczenia drzwi prowadziły do kolejnego – nie czekając na polecenie projektanta otworzył drzwi i wszedł. Nad głową słyszał przebijający się przez beton młot udarowy. Obok niezgrabnej kolumny jońskiej ozdabiającej pomieszczenie posypał się tynk. Kolumna, a bardziej kłoc joński, zasłaniała zamurowane wejście do kolejnego wnętrza – Grzegorz Nowacki dostrzegł zarys cegieł odcinający się od reszty powierzchni. Obok widniały stare drzwi pokryte żółtką farbą. Otworzył je i omiół wzrokiem niewielką, ale nawet po latach ładną łazienkę. Wanna na lwich łapach, na pewno zabytkowa, takż sedes i kryształowe lustro zdziwiły go, nie spodziewał się tutaj tak wytwornego wyposażenia. Płytki spękane, malowane w ledwo widoczne secesyjne maki, musiały być kiedyś warte majątek. Cud, że to wszystko przetrwało tyle lat i różnych najemców.

Przez ramię budowlanica zajrzał do środka zadyszany projektant i aż cmoknął prostacko.

– Cudo, no w życiu bym nie przypuszczał – jęknął z zachwytem, a Grzesiek po raz pierwszy spojrzął na niego przychylniej. – Wszystko zdemontujemy i damy tutaj nowoczesne sprzęty, a tym cudelkom znajdę nowy dom – stwierdził radośnie architekt. – Co tu jeszcze mamy? – Ruszył przed siebie, potrącając ramieniem kolumnę. – To do rozbiórki, co za brzydota – prychnął.

Jakby na zawołanie, z sufitu posypały się kolejne odłamki tynku, a powietrze przeszył ryk udaru. Kolumna zachybotwała, projektant odskoczył, wypuszczając z ręki nieodłączny telefon. Przytulony do bocznej ściany Nowacki spostrzegł na suficie powiększającą się niebezpiecznie dziurę. Kolumna zaczęła drgać, pozbawiona górnej części, tuman pyłu zakrył miejsce akcji, a młot udarowy zamilkł, złowieszco przygłuszony przez odgłos spadającego betonu – to kolumna runęła z hukiem, niknąc w cementowej mgłę.

– Życie tam? – W dziurze pokazała się sylwetka majstra.

– Żyjemy, żyjemy – uspokoił go pracownik, zatrzymując spojrzenie na siedzącym na linoleum i mamroczącym coś projektancie. Ten trzymał się za głowę i kołysał nierytmicznie. – Wszystko w porządku? Uderzyło coś pana?

Pochylił się nad nim i poklepał po ramieniu, strzepując drobinę gruzu. Pył opadał, zasnuwając podłogę szarym dywanem. W pomieszczeniu panowało istne pobojowisko. Grzegorz słyszał nawoływania majstra i narastający tupot ciężkich buciorów. Cóż, zawsze mogło być gorzej, a tak, posprzątają, zaklajstrują, co trzeba, i po sprawie – pomyślał z wrodzonym optymizmem. Przez otwarte przed chwilą drzwi wtargnęło świeże powietrze, szczęście, że akurat przytrafił im się na roboty chłodny dzień.

– Aleś celnął, Wiesiek! – Majster skarcił pracownika nadal kurczowo zaciskającego dłonie na niewielkim wiertle udarowym. Ten zwiesił smętnie głowę i trwał w poszokowym milczeniu. Jakim cudem zamiast przebijać ścianę do mniejszego mieszkanka, utrafił w podłogę – tego nie wiedział. – Ano dobrze, ważne, że wszyscy cali. Gdyby ten sufit był z porządnej wylewki, a nie napchany trocinami, to może byś się przebił, ale takiej dziury by nie było. Bierta się za łopaty, trza to wszystko sprzątnąć. Tak będzie lepiej, co nie? – Spojrzął na nadal oszołomionego projektanta. Ten powoli skinął głową i sięgnął po kawałek gruzu. Wziął go do ręki, popatrzył i podał majstrowi,

który spokojnie odłożył bryłę na bok. Widać było, że chwilę potrwa, zanim kadra inżynierska dojdzie do siebie. Rozległo się szuranie i poszturchiwanie, pracownicy chcieli jak najszybciej odwalić dodatkową robotę.

Grzegorz zdążył się pozbierać i ukradkiem utrwał gruzowisko, żeby je jako ciekawostkę żonie pokazać. No i tę kolumnę taką dziwną, kłocowatą, ale niepozbawioną wdzięku. Z daleka widział, że rozpadła się na dwie mniej więcej równe części. Podszedł i cyknął kilka fotek, zamierając w półukłonie. To nie mogła być prawda, raczej omamy wzrokowe po szoku – uznał. Zamknął oczy, a potem je otworzył, czując czyjąś obecność obok. Majster z rozmachem klepnął go w ramię i pochylił się nad nadszczerbioną połową kolumny. Obaj wpatrywali się w ledwo widoczny, zespólny ze starym betonem zarys ludzkiej czaszki. Zaciekawiony zamieszaniem niewielki tłumek gromadził się przy wejściu do dawnego Atelier Miraż.

– Ja pierdole! – jęknął z uczuciem majster, przyklękając.

– Trzeba zadzwonić na policję. Ten trup dawno nieświeży, ale jeszcze w życiu nie słyszałem o takiej formie pochówku – sprawca całego zamieszania zaczynał odzyskiwać równowagę.

– I co, wejda, zamkną budę, a my będziemy w dupie. Szalejuś się ożarł. – Majster wiedział, że niedawno zatrudniony Wiesiek ma słuszną, ale widmo terminów do dotrzymania i wściekłości inwestora brały górę.

– Ale tak nie można! Przecież nie wyrzucimy tego na gruzowisko, razem z resztą, przecież tu widać więcej kości. Dziwne to takie... – Grzegorz Nowacki poparł młodszego kolegę. Wyglądało to, jakby ktoś został zalany betonem i tak w tej kolumnie spędził ileś lat. Może dlatego straszyl? – Panie majster, w mojej klatce mieszka policjant, najlepiej byłoby do niego zadzwonić, tak półoficjalnie, niech poradzi – zaproponował odważnie.

W wejściu zrobił się tumult, ktoś chciał wejść do środka, ale jeden z pracowników skutecznie zagradzał mu drogę, usiłując zamknąć drzwi. Projektant na chwiejnych nogach powędrował prosto do łazienki, skąd po chwili dał się słyszeć charakterystyczny odgłos oczyszczania żołądka.

– A ten chyba dostał wstrząsu i wypadałoby zawołać pogotowie – stwierdził Grzesiek, nasłuchując.

– Ech, co jeden to jak stokrotka, badylek jeden, a tu trza twardym być. A ten czego? – Szamotanina przykuła uwagę majstra.

– No bo chce wejść taki jeden, mówi, że tu było kiedyś jakieś atelier... burdel znaczy chyba.

Maurycy zgrzytnął zębami. Od kilkunastu minut nasłuchiwał, co dzieje się we wnętrzu, i chyba intuicja go nie zawiodła.

– Bałwany, nieuki! – warknął rozdrażniony. – Żaden burdel, tylko atelier fotograficzne, przedwojenne i powojenne. Czy dobrze usłyszałem, że odnaleźliście jakieś szczątki? – spojrział pytająco na czerwonego na twarzy majstra i perorującego do telefonu ogorzalego mężczyznę.

– A co was to obchodzi? – huknął majster, popychając go w kierunku wyjścia.

Maurycy policzył do pięciu, dając się pchać, i wreszcie mruknął:

– Bo może wiem, do kogo należały te szczątki.

Majster puścił jego ramię i sapnął.

– Tak... to ciekawe. Mów pan.

Więc mu powiedział.

CIEŃ W GRUDNIOWEJ MGLE

Grudzień 1962

Tamten znowu za nią łąził, nawet zaglądał do sklepu, do matki. Poznała go, chociaż wyglądał inaczej, ale oczy pozostały te same, lodowato zimne, niebieskie, pochmurne jak jesienne niebo. Minęła go bez słowa, udając, że nie poznaje, a potem rozniosła towar od matki, inkasując zapłatę. Nie zamierzała oddać tych pieniędzy, wiedziała, że się jej przydadzą.

Matka była jeszcze w sklepie, gdy wykończona wracała do mieszkania, ślizgając się po oblodzonym chodniku. Zapadał zmrok, z pobliskiej mordowni dobiegały nastrojowe włoskie melodie. Alberto, tak jak obiecał, przyjechał po nią. Musiała tylko poczekać do północy – wystrzeliła korki od rosyjskiego szampana, a oni będą mogli cieszyć się sobą i wspólną przyszłością. Weszła do bramy u Habermfelda i powędrowała na piętro do znajomego lokalu, żeby dopakować pieniądze i zabrać prezent dla Zenobiusza Żaka. Postanowiła, że jednak zaryzykuje i go odwiedzi.

– Napijesz się herbaty, moje dziecko? – zapytał dobrotliwie, widząc, jak drży z zimna.

Przytaknęła i nie zdejmując sztucznego futerka, usiadła na krześle przy starym biurku. Policzki szczypały ją z zimna, zaczerwienione dłonie schowała do kieszeni. Zaszeleściło, to celofan, w który owinęła prezent dla starego fotografa. Była sama w pomieszczeniu atelier, z pokoju obok dobiegały odgłosy krzątanim gospodarza. Zatrzymała wzrok na potężnej kolumnie, która wbrew pozorom nie była aż taka ciężka. Kiedyś Zenobiusz pokazał jej, że służąca jako dekoracja do zdjęć kolumna jest pusta w środku. Wystarczyło tylko nacisnąć sprytny mechanizm i można było nawet się w niej schować. Ciekawe, gdzie Żak ukrył negatywy z jej zdjęciami.

– A może zjesz ciasta? Mam przepyszny makowca od Kołaczka. – Starszy pan stanął w drzwiach, zatrzymując wzrok na wyraźnie zafrasowanej dziewczynie. Jego ulubienica, jego ukochana zemsta. Gdyby nie przyszła, ale przyszła...

– Przyszłam się pożegnać, no i życzyć szczęśliwego Nowego Roku. To dla pana. – Wstała szybko i podeszła do niego, mnąc w dłoni szeleszczący pakunek.

Przyjął podarunek i przez chwilę obracał go w dłoniach niezdecydowany.

– Proszę przymierzyć, mam nadzieję, że się panu spodoba. – Uśmiechnęła się do niego rozbijając, stając się wręcz boleśnie podobna do tamtej dziewczyny z jego snów.

Krawat był piękny, bordowy w szare paski, bardzo elegancki, z dobrego materiału.

– Dziękuję, sprawiłaś mi ogromną radość – podziękował jej szczerze.

Janka odetchnęła z ulgą, pierwsza sprawa za nią. Za niezastłoniętym oknem mignęła sylwetka tamtego podejrzanego mężczyzny, ale postanowiła udać, że go nie widzi, a Żak, odwrócony plecami, nie miał szans ujrzeć, kto im się przygląda. Ona wiedziała.

Fotograf z przejęciem niósł tacę z ciastem i szklankami wypełnionymi ciemną, parującą herbatą. Posłodziła, dodała cytryny, upiła łyk, potem następny. Ugryzła kęs makowca, konstatuując, że matka jednak robi lepszy, daje więcej bakalii. Powoli, z każdym kolejnym łykiem, ogarniała ją błogość, czuła, jak przychodzi do niej pozbawiony majaków i lęków sen wieczny. Nie bronila się, nie uciekała, w końcu bezpieczna. Gdzieś z oddali dochodził do niej niecierpliwy szepc Zenobiusza Żaka, ale nie rozumiała jego słów. Wokół zapadała ciemność, zaczynała się nieskończoność. Westchnęła i odeszła na zawsze.

Człowiek przytulony do krawędzi uchylonej okiennicy obserwował tę scenę pewny, że Żak znowu napoił swoją podopieczną usypiającą herbatką. Podpatrywał podekscytowany, czekając na rozpoczęcie kolejnej bezwstydnego sesji fotograficznej. Na szyi ukryty pod kożuchem dyndał mu aparat fotograficzny. Zamierzał utrwalić na kliszy bezpieczeństwa obojga – świetny materiał do szantażu byłego esbeka i małej zdziury, której pragnął ponad wszystko. Zmarzył, eleganckie buty zdążyły mu przemoknąć.

Żak posprzątał zastawę i ruszył w kierunku okna. Mężczyzna kucnął, nie mógł dać się przyłapać. Usłyszał skrzypienie zamykanych okiennic i nagle stracił możliwość obserwowania tajemnic fotografa. Zeżłony postanowił zajrzeć na chwilę na posterunek, gdzie powinien siedzieć kolkiem do dwudziestej drugiej. Po nim przejmował dyżur Franek Karwas. Nie cierpiał chłopaka i najchętniej wnioskowałby o wydelegowanie go na jakieś zadupie, ale na rozum lepiej było mieć Karwasa na oku. Tak latał koło starej Królikowskiej, wyciągając od niej kasę za opiekę, że w sposobnym momencie wylata sobie wylot ze służby i zgnije w pierdlu.

Karwas już był, nadgorliwy jak zawsze, siedział i coś tam notował w swoim kapowniku. Pozdrowił go skinieniem głowy i poszedł do siebie, napić się i pomyśleć. Po dyżurze wybierał się do pobliskiej knajpy – podobno na cały wieczór załatwili występ jakiegoś Włocha i spodziewali się tłumów. Znowu będą wyć „Nie płacz, kiedy odjadę” – uśmiechnął się do siebie ironicznie. Cóż za traf!

Przysnęła, a gdy się ocknęła, dobiegły go kobiece lamentsy i uspokajający głos milicjanta. Przetarł oczy, przeczesał włosy palcami, nasunął na nie służbową czapkę, na ramiona narzucił kufajkę. Zapalił poplarsa i nie spiesząc się, zszedł na dół. Drzwi do dyżurki były otwarte.

Leokadia Królikowska płakała, zgłaszając zaginięcie córki, a Karwas pocieszał ją niemrawo, sugerując, że w sylwestrową noc Janka mogła gdzieś zabalować.

– Ona? Nigdy, panie władzo, przecież pan ją zna! – Leokadia kręciła się nerwowo na twarzym krześle. Na razie go nie zauważyła, stanął za futryną i słuchał. Karwas zamiast pouczyć obywatelkę i wyprowadzić z komisariatu, cierpliwie spisywał zgłoszenie i pocieszał tonącą we łzach matkę.

Nie wróciła do domu? Dlaczego? Plan był całkiem inny! Przecież powinna, Żak zrobił pewnie kilka, kilkanaście zdjęć, ona oprzytomniała i poszła jak zmyta. Nie rozumiał tego dziwnego uzależnienia łączącego tę dwójkę, ale wiedział, że kiedyś ta wiedza mu się przyda. Na razie był za cienki na Żaka, ale czasy się zmieniają. Doczeka. Teraz musiał działać i sprawdzić, co tak naprawdę się stało. Dlaczego odeszła bez pożegnania? Czy wiedziała?

Po kilku dniach, towarysząc przejętemu Karwasowi, przeszukał wszystkie pomieszczenia należące do Atelier Miraż, łącznie z piwnicami, i nie znalazł śladu po Jance. Rozpłynęła się w powietrzu, wśród płatków śniegu i lodowatego wiatru. I nigdy nie wróciła.

Był pewien, że to sprawka Żaka, ale nie mógł mu tego udowodnić, a potem było już za późno. Pozostała mu jej fotografia – pełnej niepowtarzalnego wdzięku, nieco naiwnej, seksownej jak diabli oświęcimskiej Bardotki.

DUCHY PRZESZŁOŚCI

2017

Technicy kryminalni spakowali do czarnych worków to, co zostało z podrabianej kolumny jońskiej, i klnąc pod nosem, wrócili do komendy. Podobno sprawa sprzed kilkadziesiąt lat łączyła się z morderstwem dwójki staruszków w tym dziwnym domku przy wale. Tak przynajmniej twierdził podkomisarz Maciejak, a on raczej rzadko się mylił. Na miejscu dawnej zbrodni pozostała kupa gruzu i nieco oszołomieni obrotem sprawy budowlańcy.

– No i co się dziwić, że straszło. Jeżeli to prawda, to się kobita przeleżała przez lata – podsumował filozoficznie majster.

– Raczej przestała – zażartował smętnie Mieciu.

Projektant zabrał się do domu. Gdyby nie zainkasowana zaliczka, nie wróciłby już.

– Pan idzie, wypocznie, chlapnie jednego albo i pięć, bo wiadomo, nie każdemu kawałek sufitu i tej, no... kolumny na łeb spada, a potem pan wróci jak nowy i pomierzmy, co tam trzeba, żeby grało – poradził mu majster i lekko pchnął w stronę wyjścia.

Reszta po wstępnym ogarnięciu placu też zamierzała udać się do domów. W pobliżu wejścia plątał się dziennikarz z lokalnej gazety nastawiony na wydarcie najświeższych informacji.

Mieszkańcy czekali na kolejną porcję wiadomości o życiu miasta i jego mieszkańców.

* * *

Więc jednak ona tam była – pomyślał zdumiony pomysłowością fotografa. Pamiętał tę kolumnę, najczęściej leżała pod oknem, czasem Zenobiusz Żak aranżował sesje w stylu starożytnym i wtedy kolumna służyła za tło. Pamiętał też tę drugą, zwaną dorycką – była niższa, wysmukła i pięknie prezentowała się na zdjęciach. Stała tam gdzie zawsze. To ich zmyliło, brak zmian we wnętrzu. Przeszukiwali pomieszczenie po pomieszczeniu, a Żak, nie zwracając na nich uwagi, zajmował się swoimi zawodowymi sprawami. Ten człowiek musiał mieć nerwy ze stali.

Marek Wierusz-Lewandowski oderwał wzrok od ekranu monitora i przeniósł spojrzenie na wysłuchony notes. Czas dokończyć dzieła, pora wizyty tego nachalnego podkomisarza zbliżała się nieubłaganie. Może niepotrzebnie zabił Karwasa, ale nie żałował, to była wyjątkowa menda. Powinien zdążyć. Sięgnął po tabletki, popił je

ulubionym alkoholem, zapalił cygaro i przysunął do siebie notes. Zostało mu kilka wolnych stron do zapisania. Nie miał już nic do stracenia.

* * *

Drzwi do mieszkania były zapraszająco otwarte. Podkomisarz Maciejak zaniepokoił się. Zapukał, przedstawił się głośno i wyraźnie, a gdy nikt nie odpowiedział, powoli wszedł do zadymionego mieszkania. Gdy tylko spojrzał na mężczyznę, wiedział, że na wszelką pomoc jest za późno. Zresztą Wierusz-Lewandowski na pewno nie życzył sobie pomocy z ich strony. Kim był ten człowiek?

Odpowiedź na to pytanie miały przynieść wypełnione równym pismem strony starego notesu.

* * *

– Nieodnaleziona została odnaleziona – enigmatycznie stwierdził Sławomir Ożegalski, z zainteresowaniem wpatrując się w rzędy równych znaków.

– Janka zawsze chciała być sławna i dopięła swego – sarkastycznie stwierdziła Kornelia Henk, pokazując kolejny artykuł opowiadający o urodziwej blondynce z tego miasta, co to go prawie nie ma, a jednak żyją w nim ludzie i zdarzają się takie sensacyjne morderstwa, w tym jedno przed laty. No i ten Żak, Zenobiusz... Filmowa postać, gdyby żył teraz, to zrobiłby karierę, a Janka jak nic przebiłaby urodą wszystkie celebrytki i kosiła majątek za ustawki z paparazzi i reklamę wszystkiego, za co producenci są w stanie zapłacić przyzwoitą kasę.

Niedawno wrócili z cmentarza, gdzie odbyła się skromna ceremonia pogrzebowa. Czaszka rozpadła się w rękach doktora Jastrząbka, pozostały kości zmieszane z betonem. Wyblakłe blond pukle okalały czaszkę, nie pozostawiając wątpliwości co do tożsamości odnalezionej kobiety. Zresztą któż mógłby to być?

Maurycy przypilnował wszystkiego, skromny grób z lastriko w końcu się zapełnił. Kamieniarz odnowił napis i teraz można było przeczytać, że Janina Królikowska urodziła się 31 marca 1942 roku, a zmarła śmiercią tragiczną 31 grudnia 1962 roku. Pokój jej pamięci.

Ze zdjęcia spoglądała na nich uroczą dziewczyna pełna wiary w swoje możliwości i przyszłość. Zatrzymana w czasie gwiazda ze swoich snów. Wydobyli ją z mroków niepamięci, przywrócili historii miasta, które pamiętało każdy krok swoich mieszkańców. Znowu poruszała męskie serca i prowokowała plotki.

Janka Królikowska, dziewczyna z zapomnianej ulicy, z domu, którego już nie ma, z czasu, który minął bezpowrotnie.

* * *

Teraz siedzieli przy stole, racząc się zeszłoroczną nalewką na wiśniach, zamyśleni.

– Ale trzeba przyznać, że była z niej wyjątkowa laska – bezceremonialnie stwierdził Kazik, przyglądając się powiększonemu i podkoloryzowanemu zdjęciu odnalezionemu w mieszkaniu Wierusza-Lewandowskiego, który zresztą okazał się kimś całkiem innym, niż podejrzewali.

– Jak ty coś palniesz...

– No co? Sama prawda i tyle. Opuść, Maurycy, to komplement – zmytygował kolegę Sławek Ożegalski.

– Była, trafne podsumowanie. Ale mnie najbardziej interesuje zawartość tego notesu. – Kornelia spojrzała znacząco na zapisane niebieskim atramentem stronie. – To może jeszcze po jednym i czytamy – zaproponowała, sięgając po karafkę z nalewką.

– Popieram. – Kazik podsunął swój kieliszek. – No co, najwyższej mnie pani ciocia przenocuje – zwrócił się do Kornelii, mrugając filuternie.

– Przenocuje – potwierdziła zwięźle. – Reszta weźmie taksówki, jutro odbierze swoje samochody. A teraz wróćmy już do Janki. Aż mi słabo, jak pomyślę, że mogłam pójść do tego Lewandowskiego i nie wyjść od niego żywa. – Kornelia przygryzła wargi. Tylko ona wiedziała, że pod wpływem impulsu opowiedziała Maurycemu o swoich podejrzeniach i zanim jeszcze skończyła, to już żałowała swojej wylewności.

– Ale wszystko skończyło się dobrze. Przynajmniej dla ciebie – wyrwał się niezręcznie Maurycy. – Zamieniamy się w słuch – zwrócił się do Maciejaka, który czekał cierpliwie, aż się wyciszą i pełną uwagę skierują na to, co miał im do powiedzenia i przeczytania.

– Muszę przyznać, że nawet by mi do głowy nie przyszło podejrzewać tego sąsiada, staruszka u kresu życia. Nie było żadnych dowodów, że nie jest tym, za kogo się podaje. Zresztą jego tożsamość sprawdziliśmy dopiero po przeczytaniu tych zapisków. Tak naprawdę zrobił nam przysługę, wybierając śmierć. Z zapisków wynika, że miał swoje obawy i nie chciał na koniec życia odpowiadać przed sądem za grzechy sprzed lat. No i za te aktualne. Zbrodniczy staruszek... Zgroza, ilu ludzi miał na sumieniu! O niektórych zbrodniach napisał wprost, inne pominął milczeniem, ale mordowanie to była jego codzienna robota. – Podkomisarz westchnął smętnie, upił dwa łyki nalewki, otrząsnął się i sięgnął po notes.

Ludzie i tętniąca życiem przyroda wstrzymali oddech. Spowijała ich złowieszcza cisza, gdy policjant zaczął głośno i wyraźnie czytać.

* * *

Do końca życia pozostało mi niewiele czasu, który zamierzam wykorzystać do ostatniej minuty. Mógłbym odejść bez słowa, ot, ktoś po jakimś czasie odkryłby moje zaśmierdnięte zwłoki, ale to nie w moim stylu. Tak bez słowa, anonimowo. Zaczynam, a Wy, czytający moje zwierzenia, wstrzymajcie oddech i nie liczcie na spokojne sny.

Urodziłem się w 1927 roku w małej wsi pod Kielcami jako syn niepiśmiennego chłopca Waclawa Burdziaka. Mój ojciec podpisywał się trzema krzyżykami, ja miałem dużo większe ambicje. Pomiń etap mojego dzieciństwa i dorastania. Gdy miałem dwanaście lat, wybuchła wojna i wszystko zmieniła w moim życiu. Pomagałem partyzantom, jak umiałem, a byłem sprytny i zawsze wiedziałem, kogo warto się trzymać. Po wojnie trafiłem pod opiekę pewnego majora bezpieczeństwa, który posłał mnie do szkoły i któremu „zawdzięczam” to, jakim jestem człowiekiem. Nauczył mnie wszystkiego – dobrego i złego. Rodzice zginęli w czasie wojny i zostałem całkiem sam. Ochronki dla dzieci pękały w szwach, a ja chciałem być samodzielny, bo od dawna nie czułem się dzieckiem. Dorosłem zbyt szybko. Przed dwudziestką miałem pierwsze trupy na koncie, walka o utrwalenie uzyskanej władzy okazała się długa i krwawa. Pracowałem niejawnie w strukturach, mój opiekun miał na mnie oko i to on doradził, żebym poszedł do milicji. „Taki człowiek jak ty na pewno im się przyda” – powiedział. Posłuchałem i po kilku latach nienagannej służby byłem postrzegany jako dobry śledczy. Zostałem przeniesiony do Oświęcimia. Podlegałem bezpośrednio kierownictwu w województwie jako człowiek do zadań specjalnych i nie musiałem przez cały czas tkwić w mieście. Miałem inną robotę do

wykonania. Nic wam do tego jaką. W Oświęcimiu poznałem Jankę Królikowską i tak jak wielu, oczarowany urodą, wdziękiem i osobowością dziewczyny, zakochałem się na zabój. Chciałem ją mieć dla siebie, na zawsze, ale miałem pecha i znalazłem się ktoś, kto mnie wyprzedził. Nazywał się Zenobiusz Żak i był fotografem oraz czynnym, wieloletnim i bardzo zasłużonym pracownikiem służb, wiadomo jakich. Człowiek o wielu talentach, odgórnie chroniony, usidlał Jankę, oplatając ją pajęczą siecią niezsączalnych marzeń. Jakże trafnie nazwał swój zakład fotograficzny jego ojciec, seryjny morderca, ofiara własnej pasji i żony, która zdaniem Zenobiusza zamordowała męża i uniknęła kary. Do czasu. Pod koniec wojny została zabita przez własnego syna. Jej zwłoki ukrył w piwniczce pod schodami. Tak, w tej piwniczce, w której zostało odnalezione ciało Julii Kowalskiej. Mojej Julii, małej idiotki, która myślała, że wygrała los na loterii, gdy zacząłem się z nią spotykać. A ja tylko chciałem poprzez nią dotrzeć do Janki. Trochę groziłem, trochę wymusiłem... nic takiego. Gdy zniknęła Janka, i ja zniknąłem – nie mogłem patrzeć na to miasto, na tych ludzi. Każda kobieta o długich blond włosach wydawała mi się Janką. I nią nie była. Gdy po kilku latach przyjechałem do miasta służbowo, przez głupi przypadek natknąłem się na Julię i zostałem z nią dłużej, niż bym chciał. O tym, że mam syna, dowiedziałem się wiele lat później, gdy już nic nie dało się naprawić ani zmienić. Nie założyłem rodziny, nie odnalazłem Janki, a szukałem jej długo, zmarnowałem, co zostało mi dane. Ostatnie dwa lata spędziliśmy z Julią jako sąsiedzi, pogodzeni z przeszłością. Tylko ona wiedziała, że zmieniłem nazwisko, pozorując własną śmierć.

Franciszek Karwas zadzwonił do niej po wizycie Sławomira Ożegalskiego, swojego dawnego pracownika. Wiedziony impulsem dał mu teczkę z danymi dotyczącymi Janki Królikowskiej. Wiele tego nie było, ale wizyta rozbudziła ciekawość pazernej gliny. Bo Karwas był pazer jak mało kto. Leokadia Królikowska i jej koleżanki odpalały mu dołą od handlu ciuchami, brał łapówki za przemykanie oczu tu i tam. A dom Żaków przeszedł na jego własność po odkryciu, że Zenobiusz Żak poszedł śladami ojca, który niechybnie zawisłby na stryczku jako seryjny morderca, gdyby sam nie skończył jak jego ofiary. Z tego, co się po latach okazało, wynika, że ta umowa nigdy nie trafiła tam, gdzie powinna, ale nikomu chyba na tym nie zależało. Wprawdzie Żak unowocześnił system i parał się seryjną produkcją pornograficznych fotek, ale miał też na sumieniu kilka trupów. W tym, jak przeczytałem dzisiaj, Jankę Królikowską. Żak był przez nas chroniony, ale zawsze przychodzi taki moment, gdy ceniony i potrzebny współpracownik staje się balastem. Bo wokół takich ludzi powinna panować niczym niezmaczona cisza. A on jednym rzutem kamienia wzburzył spokojne wody Soły. Chytrze ukrył zwłoki Janki. Sam wiele razy byłem w niego w atelier, ale ani przez chwilę nie przypuszczałem, że ona jest aż tak blisko, wręcz na wyciągnięcie dłoni.

Wracając do teraźniejszości... Karwas zadzwonił do Julii i koniecznie chciał się z nią spotkać, żeby porozmawiać. Pamiętał, że przyjaźniła się z Janką, że kiedyś były prawie nierozłączne. Wtedy, przed laty, śledził, chodził za nimi tak samo jak i ja chodziłem. Te maskarady, żeby nie wpadać w oczy, nie dać się zauważyć – wszystko na nic. Zastraszanie Widłegi też na nic, a już to samobójstwo jego ojca... Stary był zagorzałym komunistą, ale nie mógł znieść informacji, że syn okazał się kapusiem. Skamlał, że żałuje dnia, w którym go adoptowali, a potem wziął sznur i skończył ze sobą. Słaby człowiek.

Karwas spotkał się z Julią w domku i jak twierdził, miał pecha. Julia od progu rzuciła się na niego z pięściami i zarzutami, że to on zamordował Jankę, a wcześniej pobił jej brata i zmarnował mu życie. Brata na sumieniu miał Jarek Zagórny, od

dawna rozkładający się w takim miłym, idealnym do tych celów bagienku. Tak, słusznie pomyśleliście, że to moja zasługa. Widłęga też nie żyje, ale to była jego decyzja. Sam tak powiedział chwilę przed końcem.

Franek odepchnął Julię, swoje lata miał, ale siły też więcej niż ona, no i trup na miejscu, podobno skrzyła kark. A może on jej skrzył? Nie byłem mu dłużny, umiem zabijać, że tak to ujmę, od ręki. Trochę krwi się polało, narzędzie, mały pilnik, schowałem do kieszeni płaszcz, przykryłem Karwasa kocem i kopnąłem butelki ustawione w rogu pokoju – lubił pochlać, na zewnątrz q i ę, a po kryjomu najtańsze wińska. Wyszedłem dosłownie w ostatniej chwili – minąłem rozgadaną grupę zmierzającą prosto na ten nieszczęsny, zapomniany plac Rybny. Coś mnie podkusiło, żeby zadzwonić do Pawełczyka. To wnuk mojej sąsiadki z dołu, gliniarz, w sumie uczynny chłopak, zakupy przyniesie, coś tam załatwi. Hi, hi, dawno tak się nie ubawiłem, obserwując z oddali całe zamieszanie. Frankowi ta ostatnia podróż należała się jako zwieńczenie długiej i mało chlubnej kariery. Może potem to on już złotówki nawet nie wziął, ale głowy bym nie dał i małego palca też.

Gdyby nie przypadek, zniknięcie Janki Królikowskiej nadal pozostałoby tajemnicą, także dla mnie, bo przecież, o czym nie wiedział nikt, miała zniknąć z przypadkowo poznanym Włochem. Nazywał się Alberto Tozzi i był synem Włocha i Polki zatrudnionym tam gdzie ja. Nie zamierzał z nią wyjeżdżać, nie zrobiłaby przy nim kariery w wielkim świecie. Pozostałaby ze mną, na zawsze, dopóki śmierć by nas nie rozłączyła. Alberto Tozzi, jakże to pięknie brzmi! Zniknęłaby tak, jak planowała, i nigdy się nie odnalazła. Jakże zazdroścę Zenobiuszowi Żakowi, że zdołał urzeczywistnić swój plan. Mistrz z Atelier Miraż.

Ogarnia mnie senność i wiem, że zaraz przejdę na drugą stronę i przestanę istnieć, udam się w ostatnią podróż w nicość. Nigdy nie wierzyłem w to kościelne bajdurzenie, ale jeżeli się kiedyś spotkamy po drugiej stronie, to śmiem twierdzić, że żadne z nas nie będzie się w tej wieczności nudzić, tematów do rozmowy nam nie zabraknie.

Z uszanowaniem

Antoni Burdziak vel Marek Wierusz-Lewandowski

PS Ukłony dla panny Kornelii, gdyby nie Janka...

OD AUTORKI



Wprawdzie jakiegokolwiek podobieństwo osób i zdarzeń jest absolutnie niezamierzone i przypadkowe, ale jak w każdej opisaney przeze mnie historii, tak i w tej, fakty mieszają się z fikcją, a granica pomiędzy wspomnieniem tego, co się wydarzyło, a tym, co mogło się wydarzyć, jest płynna, czasami wręcz niedostrzegalna.

Janka Królikowska przyszła do mnie pewnego dnia i opowiedziała swoją historię. To nie była prosta opowieść, Janka nie znała wszystkich szczegółów, bo i znać ich nie mogła, ale bardzo chciała dowiedzieć się, dlaczego stało się tak, jak się stało. Obiecałam, że się dowiem, nie zważając, że Janka Królikowska jest postacią fikcyjną, a przyszła w momencie, gdy myślałam nad tematem powieści z komisarzem Ożegalskim w roli prowadzącego kolejne śledztwo. Już prywatnie, ale z całym zaangażowaniem, na jakie go stać.

Oświęcim to miasto wielu fascynujących historii, ale ta opisana w książce nie ma swojego pierwowzoru. Zenobiusz Żak, demoniczny fotograf, nigdy nie istniał, także domek przy placu Rybnym oraz kamienica, w której umiejscowiłam Atelier Miraż, są wytworem mojej wyobraźni.

Budynki na Berka Joselewicza i kamienica Haberfeldów popadły w ruinę i zostały wyburzone, ale jeżeli los i ciekawość poznawania nowych miejsc zawiedzie Was do Oświęcimia, to zajrzyjcie na tę ulicę – mieści się przy niej siedziba Stowarzyszenia Romów w Polsce, a w miejscu kamienicy Haberfeldów powstał hotel Hampton by Hilton.

W atmosferę początku lat sześćdziesiątych wprowadziły mnie opowieści mojej mamy Krystyny Mejzy z domu Matyja. Każda z nich ma dla mnie bezcenną wartość. „Przekroje” z 1962 roku pół wieku temu uratowałam przed spaleniem, tak jakbym wiedziała, że kiedyś odegrają swoją rolę. Moje wspomnienie ostatniej wizyty u babci Zosi w domu na Berka Joselewicza jest tak żywe, jakbym była tam wczoraj, ale upływ czasu sprawił, że zatarła się granica pomiędzy rzeczywistością a wyobraźnią dziecka.

Dziękuję, że towarzyszyliście mi w tej podróży w przeszłość, oby to, co wtedy się działo, nigdy nie wróciło.

Z wyrazami szacunku,

Iwona Mejza

SPIS TREŚCI

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Wstęp

Rozdział pierwszy. Ostatni dzień roku

Rozdział drugi. Więzy rodzinne

Rozdział trzeci. Każda droga ma swój początek

Rozdział czwarty. Taki piękny maj

Rozdział piąty. Styczniowe plany

Rozdział szósty. Zgubna ciekawość szperacza

Rozdział siódmy. Zimowa magia Atelier Miraż

Rozdział ósmy. Dziewczyna z zapomnianej ulicy

Rozdział dziewiąty. Atelier fotograficzne Zenobiusza Żaka

Rozdział dziesiąty. Szczęście spadkobiercy

Rozdział jedenasty. Suma doświadczeń

Rozdział dwunasty. Zlecenie z niespodzianką

Rozdział trzynasty. Mężczyzna, który chciał więcej

Rozdział czternasty. Wtedy i teraz, zagadki z przeszłości

Rozdział piętnasty. Stracone złudzenia

Rozdział szesnasty. Czerwcowe śledztwo

Rozdział siedemnasty. Jak zły duch

Rozdział osiemnasty. Trupy w szafie i nie tylko

Rozdział dziewiętnasty. Powrót do przeszłości

Rozdział dwudziesty. Tajemnice piwniczki domu przy placu Rybnym

Rozdział dwudziesty pierwszy. Walka sezonu

Rozdział dwudziesty drugi. Po nitce do kłębka

Rozdział dwudziesty trzeci. Zdradliwy uśmiech losu

Rozdział dwudziesty czwarty. Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę

Rozdział dwudziesty piąty. Nadzieja na lepsze jutro

Rozdział dwudziesty szósty. Na własnych warunkach

Rozdział dwudziesty siódmy. Listopadowe memento

Rozdział dwudziesty ósmy. Nieoczekiwane konsekwencje remontu

Rozdział dwudziesty dziewiąty. Cień w grudniowej mgle

Rozdział trzydziesty. Duchy przeszłości

Od autorki